

---

**LEONID OSTROWSKI**

## **POLSCY WOJSKOWI NA SYBERII (1904-1920)**

Na początku XX wieku wśród syberyjskich Polaków szczególną grupę stanowili wojskowi powołani do służby w armii carskiej. Byli to głównie żołnierze tzw. armii mandżurskiej, którzy zostali wysłani na wojnę rosyjsko-japońską w 1904 roku. Wielu z nich odznaczyło się w tych walkach odwagą i bohaterstwem. Na przykład polski generał Roman Jasiński, który służbę wojskową w garnizonach na Syberii i tam w 1896 roku otrzymał awans na podporucznika. W czasie wojny rosyjsko-japońskiej Jasiński był już w stopniu kapitana i dowodził obroną jednego z fortów w mieście Port Artur. Po kapitulacji twierdzy wysadził fort w powietrze, sam odniósł ciężkie rany i trafił do niewoli. Za odwagę Jasiński został odznaczony orderem i złotą szablą.<sup>1</sup> Po demobilizacji część polskich wojskowych pozostało na Syberii. Można założyć, że do wybuchu I wojny światowej nie było ich zbyt wielu na Syberii, ale sytuacja zmieniła się po przystąpieniu Rosji do wojny.

Wraz z wybuchem I wojny światowej ziemie polskie stały się terenem intensywnych działań wojennych. Do armii austro-węgierskiej powołano około 1,4 mln Polaków, a do niemieckiej – 800 tysięcy. Według danych rosyjskich historyków około 100 tysięcy spośród nich znalazło się w niewoli rosyjskiej.<sup>2</sup> Znaczna część polskich jeńców trafiła do obozów położonych na terytorium Syberii, między innymi w Tomsku i okolicach. Według stanu z 15 lutego 1916 r. w Tomsku było 368 „galicyjskich” Polaków – żołnierzy armii austro-węgierskiej. Stanowili oni 8,8 proc. wszystkich jeńców wojennych. Do 15 marca ich liczba wzrosła do 525 osób.<sup>3</sup> Przytoczone dane o liczbie polskich jeńców wojennych są jednak przybliżone, ponieważ nie ma dotychczas dokładnych informacji o polskich jeńcach będących poddanyami Niemiec oraz o polskich oficerach.

<sup>1</sup> *Polski słownik biograficzny*, t. XI/1, zeszyt 48, Wrocław 1964, s. 32.

<sup>2</sup> A. J. Manusiewicz, *Polskije internacjonalisty w bor`bie za pobiedu sowietskoj własti w Rossii. Fiewral-oktiabr` 1917*, Moskwa 1965, s. 19.

<sup>3</sup> Archiwum Państwowe Obwodu Tomskiego (*Gosudarstwiennyj archiw Tomskoj oblasti* – dalej GATO), f. 416, op. 2, d. 8, l. 483, 584a.

Ciężkie warunki bytowe i trudy życia w niewoli były przyczynami wysokiej śmiertelności wśród jeńców wojennych. Najbardziej rozpowszechnionymi chorobami były dur brzuszny, dur plamisty, gruźlica i zapalenie płuc. Szczególnie niebezpieczny był tyfus, dlatego też Zarząd Główny Sztabu Generalnego nie chcąc, aby informacje o umieralności jeńców na tyfus rozeszły się za granicą, polecił naczelnikom wewnętrznych okręgów wojskowych, by w aktach zgonu wysyłanych do Centralnego Biura Informacji i Ministerstwa Spraw Zagranicznych nie podawać tyfusu jako przyczyny śmierci.<sup>4</sup>

Polacy, którzy trafili do niewoli z armii austro-węgierskiej lub niemieckiej, mieli jednak pewne przywileje, podczas gdy jeńców narodowości niemieckiej zalecano przetrzymywać pod ścisłym nadzorem. Na przykład w rozkazie z dnia 26 października 1914 roku wydanym przez tomskiego powiatowego naczelnika wojskowego stwierdzano, że w celu ułatwienia losu słowiańskich jeńców wojennych wszystkich narodowości rozkazuje się złagodzić reżim ich przetrzymywania. Na przykład zezwalano na wyjścia do miasta bez konwoju lub zwalniano słowiańskich jeńców z robót przymusowych i dawano im prawo zatrudnienia w przedsiębiorstwach państwowych i prywatnych.<sup>5</sup> Co prawda, wychodząc do miasta musieli mieć na rękawie opaskę z literami „WP” [*wojennoplennyj* – przyp. tłum.] i nie mogli chodzić do teatrów, kin, kawiarni, cukierni, klubów, bibliotek.<sup>6</sup> W listopadzie 1916 roku – jak wynika z dokumentów urzędu naczelnika Omskiej Brygady – duchowni katoliccy odwiedzali jeńców w obozach, dzięki czemu jeńcy „nigdy nie byli pozbawieni pomocy duchowej”.<sup>7</sup> W niedziele jeńcy pochodzenia słowiańskiego mogli chodzić do cerkwi i kościołów, tyle że obowiązkowo razem z całą kompanią, a po nabożeństwach wracano do koszar.<sup>8</sup> Organizacje dobroczynne udzielały jeńcom wszelkiej pomocy – zarówno materialnej, jak i moralnej. Na przykład w październiku 1916 roku do Tomska przyjechała Jadwiga Dziubińska, która otrzymała od Zarządu Głównego Sztabu Generalnego pozwolenie na odwiedzanie miejsc przetrzymywania polskich jeńców wojennych w celu udzielania im pomocy dobroczynnej.<sup>9</sup> Jeńcom pomagało również miejscowe „Dobroczynne towarzystwo pomocy dla rodzin Polaków walczących na wojnie i biedującej ludności polskiej”. Było ono oddziałem Komitetu Piotrogrodzkiego w Tomsku. W skład tego towarzystwa po rewolucji lutowej 1917 roku weszli przedstawiciele polskich jeńców wojennych – Jan Frydlewicz i Edward Święcicki, którym powierzono sporządzenie spisów polskich jeńców wymagających pomocy.<sup>10</sup>

<sup>4</sup> GATO, f. 416, op. 2, d. 1, l. 551.

<sup>5</sup> GATO, f. 416, op. 2, d. 2, l. 1.

<sup>6</sup> GATO, f. 416, op. 1, d. 2, l. 495.

<sup>7</sup> GATO, f. 416, op. 2, d. 6, l. 226.

<sup>8</sup> GATO, f. 416, op. 2, d. 2, l. 71.

<sup>9</sup> GATO, f. 416, op. 2, d. 6, l. 325.

<sup>10</sup> GATO, f. 416, op. 2, d. 28, l. 8.

Sytuacja jeńców polskich zmieniła się zasadniczo po zwycięstwie rewolucji lutowej w Rosji. Z jednej strony poprawiła się ich sytuacja materialna. Zezwolono im na zamieszkiwanie poza obozami i na zarabianie na życie w dowolny sposób. Zgodnie z przepisami zatwierdzonymi przez ministra wojny Aleksandra Kiereńskiego 30 czerwca 1917 roku jeńcy polscy mogli być zwalniani z obozów, jeśli poręczyły za nich miejscowe organizacje polskie.<sup>11</sup> Ucieczki jeńców z obozu w Tomsku były zjawiskiem dość powszechnym, ale od 1917 roku wzrosła liczba ucieczek jeńców z innych miejsc przetrzymywania. Na przykład latem 1917 roku Zarząd Główny Sztabu Generalnego informował, że jeńcy uciekając z obozów kierują się do Moskwy do Komitetu Polskiego, który zaświadczał o ich służbie wojskowej, wydawał im legitymacje i wypłacał pieniądze.<sup>12</sup> Z drugiej strony w Rosji w tym okresie powstają organizacje i stowarzyszenia zrzeszające polskich wojskowych. Takie organizacje były również zakładane przez polskich wojskowych w miastach na Syberii (w Omsku, Nowonikołajewsku, Tomsku, Irkucku). Opowiadały się one za prowadzeniem wojny aż do zwycięstwa, ponieważ – zdaniem ich członków – tylko porażka Niemiec mogła zwrócić Polsce wolność. Organizacje polskich wojskowych stały się załącznikiem powstających na Syberii polskich jednostek wojskowych.

Polskie jednostki powstały najpierw na zachodzie Rosji (trzy polskie korpusy zostały utworzone na Białorusi, w Besarabii i na Ukrainie). Trzeba podkreślić, że po obaleniu caratu dowódcy polskich jednostek wojskowych w Rosji za głównych wrogów niepodległości Polski uważali kraje Bloku Centralnego. Dlatego gdy w lutym 1918 roku zaczęła się niemiecka ofensywa na froncie wschodnim i korpusy polskie na Ukrainie i Białorusi zostały rozformowane, w Rosji centralnej, na Powołżu i na Syberii zaczęto pospiesznie organizować nowe polskie jednostki.

Bunt w Korpusie Czechosłowackim w maju 1918 roku przyspieszył organizację polskich oddziałów w większych miastach Powołża i Syberii. Kierownictwo polityczne nad oddziałami polskimi objął utworzony w lipcu 1918 roku Polski Komitet Wojskowy w Rosji (PKW). Ponieważ nie dysponował on zasobami materialnymi, w lipcu tegoż roku zawarł porozumienie z filią Czechosłowackiej Rady Narodowej. Zgodnie z tym porozumieniem oddziały polskie weszły w skład armii czechosłowackiej, a w zamian za to otrzymały niezbędne uzbrojenie, umundurowanie, żywność i środki finansowe.<sup>13</sup> Są informacje świadczące, że większość polskich jeńców wojennych wstąpiła do powstających polskich oddziałów. Jednak w trakcie formowania dywizji polskiej na Syberii na polskich oficerów i żołnierzy, którzy nie chcieli do niej wstąpić, wywierali nacisk werbownicy, białogwardziści i Czechosłowacy.<sup>14</sup> Do poważnego konfliktu doszło na zebraniu polskich jeńców wojennych w miasteczku wojskowym w Nowonikoła-

<sup>11</sup> R. Dybowski, *Siedem lat w Rosji i na Syberii (1915–1921)*, Kraków 1922, s. 58.

<sup>12</sup> GATO, f. 416, op. 2, d. 18, l. 71.

<sup>13</sup> W. Scholtze-Srokowski, *Geneza Wojska Polskiego na Syberii*, „Sybirak” 1936, nr 1 (9), s. 13.

jewsku zimą 1918 roku, ponieważ większość jeńców nie chciała walczyć.<sup>15</sup> Niestety nie wiemy, ilu jeńców nie zamierzało wstąpić do oddziałów wojskowych i pozostało w obozach jenieckich, można jednak założyć, że była ich mniejszość.

Po dojściu do władzy na Syberii Aleksandra Kołczaka w grudniu 1918 roku do tego regionu przybyła misja przedstawicieli Ententy kierowana przez Francuza M. Janina. 16 stycznia 1919 roku podpisano porozumienie o przystąpieniu przedstawiciela Najwyższego Dowództwa M. Janina do pełnienia obowiązków głównodowodzącego wojsk państw sojusznicznych na Wschodzie Rosji i na Zachodniej Syberii. Celem porozumienia było przygotowanie i koordynacja działań białogwardzistów i ich sojuszników na Syberii. W styczniu 1919 roku oddziały polskie przeszły pod dowództwo Francuzów, którzy przyznali wojsku polskiemu kredyt w wysokości 19 mln rubli.

Do tego czasu dowódca wojsk polskich na Syberii pułkownik Walerian Czuma zdołał połączyć rozproszone oddziały w jednolitą 5. Dywizję Strzelców Polskich. Do końca 1919 roku liczebność dywizji wzrosła do 12.700 osób. Jej skład nie był jednolity. Około 90 proc. żołnierzy i 70 proc. oficerów było dawnymi jeńcami wojennymi z armii niemieckiej i austro-węgierskiej, pozostali byli Polakami zdemobilizowanymi z armii rosyjskiej lub ochotnikami wywodzącymi się z Polaków zamieszkałych na Syberii. W związku z tym powstawały różnice zdań na temat udziału dywizji polskiej w działaniach wojennych. Dawni jeńcy wojenni marzyli o powrocie do Polski i nie chcieli uczestniczyć w działaniach wojennych na terenie Syberii. W odróżnieniu od nich wojskowi wywodzący się z armii rosyjskiej, zwłaszcza oficerowie, którzy wrogo przyjęli przewrót bolszewicki, opowiadali się za obaleniem bolszewickiego rządu i byli skłonni osobiście się do tego przyczynić.<sup>16</sup> Wyrazem tego antagonizmu było powstanie dwóch sztabów dowodzących polskimi wojskami na Syberii. Na czele sztabu wszystkich polskich sił zbrojnych stał były oficer polskich Legionów, emisariusz generała Józefa Hallera – Walerian Czuma. Stał on po stronie tych polskich żołnierzy, którzy pragnęli powrócić do ojczyzny. Natomiast dowództwo 5. Dywizji Strzelców Polskich objął były oficer armii rosyjskiej Kazimierz Rumsza – zwolennik wykorzystania polskiego wojska do walki z bolszewikami.<sup>17</sup> Pewną rolę odegrały także podejmowane przez część legionistów próby poprawienia własnej sytuacji materialnej. Czechosłowacki generał R. Gajda pisał w swoim dzienniku, że w większo-

---

<sup>14</sup> P. Smolik, *Przez lądy i oceany (sześć lat na Dalekim Wschodzie)*, Warszawa [b.r. wyd.], s. 99-100.

<sup>15</sup> Archiwum Państwowe Obwodu Nowosybirskiego (*Gosudarstwiennyj archiw Nowosibirskoj oblasti* – dalej GANO), f. P-5, op. 7, d. 33, l. 5.

<sup>16</sup> P. Smolik, op. cit., s. 60-70.

<sup>17</sup> R. Dybowski, op. cit., s. 111.

ści polscy legioniści widzieli w służbie wojskowej sposób na zapewnienie sobie utrzymania i wygodną okazję do zajmowania się handlem.<sup>18</sup>

W marcu 1919 roku oddziały polskie zostały odesłane z frontu do Nowonikołajewska, który stał się miejscem stacjonowania dywizji polskiej. Dowództwo dywizji przywiązywało dużą wagę do działalności kulturalno-oświatowej wśród swoich żołnierzy. Urządzano wykłady na różne tematy, założono bibliotekę i teatr.<sup>19</sup> Jako przykład można podać działalność prowadzoną wśród żołnierzy i oficerów przez kierownika komisji kulturalno-oświatowej 5. Dywizji, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego Romana Dybowskiego. Dybowski wygłaszał odczyty z historii i literatury polskiej.<sup>20</sup> W dywizji ukazywała się gazeta „Żołnierz Polski”. Adwokat Kazimierz Goński z Buffalo dostarczał do dywizji polskie gazety z Ameryki. Z dość dużym powodzeniem działał również „Polski Teatr Żołnierski” kierowany przez Czesława Kadena. Na przykład w rocznicę bitwy pod Grunwaldem wystawiono spektakl na podstawie „Krzyżaków” Henryka Sienkiewicza.<sup>21</sup> Żołnierze mogli uczyć się na kursach felczerów, sanitariuszy i piekarzy.

Do grudnia 1918 roku 5. Dywizja składała się z czterech pułków piechoty, pułku ułanów, pułku artylerii i brygady inżynieryjnej. Pierwszy pułk strzelców nosił imię Tadeusza Kościuszki. Zdaniem Romana Dybowskiego wśród ułanów i artylerzystów, spośród których duży procent stanowili byli żołnierze armii rosyjskiej, duże wpływy mieli bolszewiccy agitatorzy. Jak pisał Dybowski, w Nowonikołajewsku nie jeden raz rozstrzeliwano żołnierzy za udział w tajnych organizacjach bolszewickich.<sup>22</sup> Jak uważa jedna z działaczek podziemia bolszewickiego A.W. Bierdnikowa sieć grup konspiracyjnych w 5. Dywizji utworzono w styczniu–lutym 1919 roku.<sup>23</sup> O ujawnieniu „bolszewickiego” spisku wśród żołnierzy 4. Pułku, pisał również gen. M. Janin. Pułk ten zresztą często nazywano „sowieckim”, co świadczy o poważnych wpływach agitatorów z partii lewicowych na żołnierzy. Wiosną 1919 roku pułk został rozformowany. Co prawda niektórzy uczestnicy tamtych wydarzeń uważają, że spisek nie był „bolszewicki”, lecz był protestem jeńców przymusowo zmobilizowanych do polskiego wojska.<sup>24</sup> Bez względu na to jak było, fakt rozstrzeliwania polskich żołnierzy koło magazynów w Nowonikołajewsku potwierdzają również członkowie podziemia bolszewickiego.<sup>25</sup> Wg danych podawanych przez Bierdnikową, w jednym z oddziałów, który la-

<sup>18</sup> GANO, f. P-5, op. 4, d. 1524, l. 420.

<sup>19</sup> J. Rogowski, *Dzieje Wojska Polskiego na Syberii*, Poznań 1927, s. 565.

<sup>20</sup> R. Dybowski, op. cit., s. 127.

<sup>21</sup> R. Dybowski, op. cit., s. 130.

<sup>22</sup> R. Dybowski, op. cit., s. 119.

<sup>23</sup> GANO, f. P-5a, op. 1, d. 276, l. 3.

<sup>24</sup> H. Bagiński, *Wojsko Polskie na Wschodzie 1914–1920*, Warszawa 1921, s. 38-39.

<sup>25</sup> GANO, f. P-5, op. 3, d. 92a, l. 28.

tem 1919 r odmówił wykonania rozkazu o wystąpieniu przeciwko chłopom, rozstrzelano ponad 60 polskich żołnierzy.<sup>26</sup>

Gdy głównodowodzącym siłami państw sojuszniczych został M. Janin, sojusznicy przejęli ochronę linii kolejowej Omsk – Władywostok. Polakom powierzono ochronę kolei na odcinkach Nowonikołajewsk – Tatarskaja, Tatarskaja – Sławgorod i Nowonikołajewsk – Barnauł.<sup>27</sup> Gdy Polacy starali się zachować neutralność i nie włączać do wewnętrznego konfliktu rosyjskiego, położenie armii Kołczaka na froncie uległo pogorszeniu. W tej sytuacji na rozkaz generała Janina na początku maja 1919 roku 3. pułk strzelców polskich wyjechał w celu ochrania koleji od miejscowości Tatarskaja do Sławgorodu. Działo się to w warunkach, gdy wojska Kołczaka zaczęły ponosić porażki, a partyzanci starali się zablokować linie kolejowe, aby odciąć kołczakowcom i ich sojusznikom drogę odwrotu.

W maju 1919 roku oddział majora Wernera wysłano na północ od miasta Barabińsk w celu rozgromienia partyzantów zagrażających magistrali kolejowej od północy.<sup>28</sup> Oddziałom polskim następującym od strony Kainska i Tatarskaja udało się rozproszyć partyzantów.<sup>29</sup> W czasie gdy oddziały polskie były zajęte likwidowaniem powstańców na północy, dowództwo polskie otrzymało informacje, że na południe od magistrali szykuje się nowe powstanie. Bolszewicy postanowili rzucić główne siły na drogę ąłtajską i kułundyńską. Plan ten zagrażał interesom wojsk czeskich i polskich. Polacy starali się nie dopuścić do tego, by odcięto im drogę ewakuacji. Na południe od Nowosybirsk wysłano oddziały pod dowództwem polskich oficerów – Worobieja, Ankowicza i Dojana. Nie udało się jednak rozbić głównych sił partyzanckich. Działaniom wymierzonym przeciwko partyzantom towarzyszyły represje wobec chłopów. Na przykład szef nowonikołajewskiej milicji powiatowej informował 16 lipca 1919 roku o rozstrzelaniu przez polski oddział 50 osób pod pretekstem buntu i niesubordynacji.<sup>30</sup> W Nowonikołajewsku, jak wynika ze wspomnień uczestników podziemia bolszewickiego, polski kontrwywiad dopuszczał się okrucieństw. Jak mówił jeden z działaczy podziemia „biali Polacy w sposób barbarzyński rozprawiali się z robotnikami, zabierali robotników z ulicy, ze stołówek często tylko na podstawie tego, jak byli ubrani”.<sup>31</sup>

Jesienią 1919 roku, kiedy porażka wojsk Kołczaka stała się już pewna, partyzanci przejęli inicjatywę i starali się przeciąć linię kolejową Sławgorod – Tatarskaja. Rząd Kołczaka, widząc poważne zagrożenie, wydał 22 września 1919 roku rozkaz o wprowadzeniu stanu wojennego

<sup>26</sup> GANO, f. P-5a, op. 1, d. 276, l. 14.

<sup>27</sup> A. Domaszewski, *Generał Janin o Dywizji Syberyjskiej*, „Sybirak” 1936, nr 3 (11), s. 9.

<sup>28</sup> H. Bagiński, op. cit., s. 355.

<sup>29</sup> GANO, f. P-5, op. 4, d. 962, l. 7-9.

<sup>30</sup> GANO, f. P-5, op. 3, d. 129, l. 99.

<sup>31</sup> GANO, f. P-5, op. 3, d. 92, l. 229.

na terenie 18 powiatów Zachodniej Syberii. Jak wynika ze wspomnień partyzanckiego dowódcy I.W. Gromowa, Kołczak skierował przeciwko partyzantom ze stepu kułundyńskiego 9 tysięcy żołnierzy.<sup>32</sup> Polacy przystąpili wówczas do trzeciej ofensywy przeciwko partyzantom, jednak po raz kolejny bezskutecznie. Z miasta Kamień w głąb stepu posuwał się legion pod dowództwem pułkownika Kogutniewskiego. Do największej bitwy partyzantów Mamontowa i Gromowa z Polakami doszło koło wsi Siodorki. Według danych Gromowa Polacy i kozacy stracili w tej bitwie setki ludzi.<sup>33</sup> Dowództwo polskie zdawało sobie sprawę, że walka z partyzantami nastawiała masy ludności przeciwko Polakom, tym bardziej że zdarzały się przypadki maruderstwa i grabieży. Jak wynika ze wspomnień syberyjskich partyzantów, Polacy przyprowadzali do Nowonikołajewska krowy i świnie, przywozili dobra domowe i sprzedawali je na bazarze jako swoją zdobycz.<sup>34</sup> We wsi Orlean na Ałtaju w czasie wyprawy wojsk polskich pod dowództwem pułkownika Kogutniewskiego rozstrzelano 10 osób, spalono domy, a chłopom odebrano odzież, buty, bieliznę i maszyny do szycia.<sup>35</sup> W październiku 1919 roku oddziały polskie dokonały najazdu na wsie w rejonie stacji Kargat, we wsiach Biełoje, Irbizino i Łotosznoje rozstrzelano ludzi i podpalano domy.<sup>36</sup> Roman Dybowski pisze we wspomnieniach o wystawie 180 samowarów przywiezionych jako trofea.<sup>37</sup> Inny pamiętnikarz, P. Smolik, opisywał kilkakrotnie triumfalny powrót polskich batalionów, które pędziły ze sobą stada bydła i koni oraz wiozły wozy ze zdobyczą.<sup>38</sup> Chłopi zwracali się do władz kołczakowskich z prośbami o wynagrodzenie strat. Za przykład można podać petycję chłopów ze wsi Jarki w powiecie barnaulskim, zawierającą prośbę o wynagrodzenie poniesionych strat. We wspomnianej wsi wojska polskie odebrały chłopom owies, mąkę, olej, ziemniaki, jajka, miód oraz 23 sztuki bydła.<sup>39</sup> W tym czasie upadał duch bojowy polskiego wojska. Potwierdzeniem tego było pijaństwo znacznej części żołnierzy, zwłaszcza oficerów batalionu szturmowego.

Po zajęciu przez bolszewików Omska 14 listopada 1919 roku sojusznicy byli zmuszeni do ewakuacji na wschód. Polacy zaczęli ewakuację z Nowonikołajewska 7 grudnia. Do tego czasu według niektórych danych dysponowali mniej więcej 5 tysiącami wagonów.<sup>40</sup> Poza tym dzięki przedsiębiorczości żołnierzy z dywizji miała ona trzy pociągi pan-

<sup>32</sup> GANO, f. P-5, op. 1, d. 205, l. 229.

<sup>33</sup> GANO, f. P-5, op. 1, d. 205, l. 245.

<sup>34</sup> GANO, f. P-5, op. 3, d. 145, l. 5.

<sup>35</sup> GANO, f. P-5, op. 3, d. 212, l. 11-74.

<sup>36</sup> GANO, f. P-5, op. 1, d. 69, l. 25.

<sup>37</sup> R. Dybowski, op. cit., s. 125.

<sup>38</sup> P. Smolik, op. cit., s. 109.

<sup>39</sup> GANO, f. P-5, op. 4, d. 1437, l. 13.

<sup>40</sup> K.W. Sacharow, *Bielaja Sibir`*, [w:] *Graždanskaja wojna w Sibiri i Siewiernoj oblasti*, Moskwa 1927, s. 88.

cerne, dwa pociągi sanitarne i kilkadziesiąt lokomotyw. Według danych M. Janina do czasu ewakuacji dywizja liczyła 1050 oficerów i 11200 żołnierzy. Razem z dywizją ewakuowało się 3 tysiące członków rodzin, 284 inwalidów oraz 2071 sztuk koni. Dywizja dysponowała zapasami żywności i paszy dla zwierząt na około cztery miesiące. Pułkownik Kazimierz Rumsza rozkazał dostarczyć wagony z węglem, którego powinno było wystarczyć na dotarcie dywizji do Aczyńska.<sup>41</sup>

Ewakuacja odbywała się w bardzo trudnych warunkach. Magistrala transsyberyjska była zatłoczona przez eszelony z wycofującymi się białogwardzistami i ich sojusznikami. Czechosłowacy, w których rękach była cała linia kolejowa na wschód od Nowonikołajewska, poruszali się w kierunku wschodnim z prędkością 20 kilometrów na dobę, podczas gdy bolszewicy następowali z prędkością 35-40 kilometrów na dobę. Pociągi 5. Dywizji utrzymywały gotowość bojową. Na przedzie jechał pociąg pancerny „Warszawa”, a z tyłu pociąg pancerny „Poznań” oraz ariergarda pod dowództwem kapitana Wierobieja. Na stacjach Litwinowo, Tutalskaja i Tajga oddział Wierobieja zmuszony był podjąć walkę z nacierającymi jednostkami 5. armii „czerwonych”.

Na stacji Tajga doszło do największej bitwy między Polakami a nacierającymi wojskami „czerwonych”. Bitwa zaczęła się 22 grudnia wieczorem i trwała do późnego wieczora następnego dnia – 23 grudnia. „Czerwoni” starali się przeciąć polskiej dywizji drogę odwrotu na wschód. Jednostkom polskim udało się jednak przedostać się do stacji Anzerka.<sup>42</sup> Według danych strony polskiej w walce tej poległo ponad stu polskich żołnierzy i kilkuset żołnierzy wojsk „czerwonych”. Natomiast jak wynika ze wspomnień A.P. Kuczkiń, komisarza 27. dywizji 5. armii w bitwie pod Tajgą polska dywizja została całkowicie rozbita.<sup>43</sup>

Gdy oddziały polskiej dywizji podchodziły do Krasnojarska, doszło do przewrotu politycznego i władzę przejęli eserowcy. W tej sytuacji dowódca wojsk polskich Walerian Czuma zwrócił się do wojska z listem, w którym wyjaśniał cel ewakuacji i ogłosił nieingerencję w wewnętrzne sprawy Rosji, zaś starcia z bolszewikami tłumaczył koniecznością samoobrony. Tymczasem wśród żołnierzy zaczęła szerzyć się epidemia tyfusu. 7 stycznia 1920 roku jednostki dywizji polskiej dotarły do stacji Kukwienajaja (120 wiorst na wschód od Krasnojarska). Stało się jasne, że nie ma dalszej drogi, ponieważ cała linia kolejowa jest zatarasowana przez czeskie eszelony, które z braku paliwa i z powodu niesprawnych lokomotyw nie mogły poruszać się dalej. Polacy stanęli wobec wyboru: kontynuować walkę albo ogłosić kapitulację. Kiedy 10 stycznia komisarz woj-

<sup>41</sup>J. Rogowski, op. cit., s. 41.

<sup>42</sup>J. Skorobohaty-Jakubowski, *Cieniom towarzyszy broni pod Tajgą*, „Sybirak” 1935, nr 4.

<sup>43</sup> GANO, f. P-5a, op. 1, d. 112, l. 27.



skowy 5. armii zaproponował Polakom złożenie broni, Czuma po naradzie wojennej z najwyższymi oficerami dywizji przyjął tę propozycję.<sup>44</sup>

Warunki kapitulacji były następujące: polska dywizja składa broń, oficerowie i żołnierze są uznawani za jeńców wojennych, polscy wojskowi mają zagwarantowaną nietykalność osobistą. Ci, którzy nie uznali kapitulacji, z pułkownikiem Rumszą na czele, postanowili przedostać się przez Irkuck do Mandżurii. Po dwóch miesiącach udało im się dotrzeć do Harbinu, a 1 lipca 1920 roku na brytyjskim okręcie „Jarosław” 120 oficerów i 800 żołnierzy z 5. Dywizji Polskiej przyplłynęło do Gdańska.<sup>45</sup>

Większość żołnierzy i oficerów dywizji polskiej przyjęła warunki kapitulacji, ale ich sytuacja nie była łatwa. Jak wynika z relacji byłych jeńców polskich, żaden z punktów porozumienia o kapitulacji nie został przez bolszewików spełniony. Oficerowie, żołnierze i ich rodziny zostali ograbieni. Kobiety i dzieci znalazły się w Krasnojarsku na ulicy – bez środków do życia. Co prawda część żołnierzy, korzystając z zamętu, jaki panował w okresie wprowadzania władzy radzieckiej, ukryła się w różnych miejscowościach w guberniach tomskiej, jenijskiej i irkuckiej. Na przełomie 1919 i 1920 roku, po tym jak rząd Kołczaka został zastąpiony przez rząd bolszewików, ci ostatni zaczęli stosować wobec wszystkich warstw ludności konsekwentny terror. Czerwony bandytyzm był niejako kontynuacją wojny domowej i przejawiał się w porachunkach zwycięzców z licznymi zwolennikami władzy „białych”.<sup>46</sup> Polscy oficerowie i żołnierze z 5. Dywizji byli traktowani przez nowe władze jak białogwardziści. Nie przypadkowo polska dywizja w niektórych dokumentach radzieckich organów władzy nazywana była „polską syberyjską dywizją kołczakowską”.<sup>47</sup>

Początek masowych czystek na terenie Syberii, prowadzonych przez organa WCzK [Wszzechrosyjskiej Komisji Nadzwyczajnej do Walki z Kontrewolucją, Spekulacją i Nadużyciami Władzy – przyp. tłum.], datuje się na wiosnę 1920 roku, kiedy nowym przedstawicielem pełnomocnym WCzK na Syberii został I. P. Pawłunowski.<sup>48</sup> Na dodatek wiosną 1920 roku wybuchła wojna polsko-bolszewicka, która stała się pretekstem do nowych represji wobec Polaków na terytorium Syberii. Zaczęły się aresztowania polskich żołnierzy, które objęły niemal wszystkie większe miasta – Omsk, Nowonikołajewsk, Krasnojarsk, Tomsk. Czełkiści stawiali polskim jeńcom następujące zarzuty: służba w legionie polskim i ograbianie cywilnych mieszkańców, udział w „organizacji kontrrewolucyjnej”, agitacja antysowiecka, przyznawanie się do „obywatelstwa polskiego” itd. W charakterze kary stosowano uwięzienie w obozie koncen-

<sup>44</sup> H. Bagiński, op. cit., s. 363.

<sup>45</sup> Ibidem, s. 592.

<sup>46</sup> A. Tieplakow, *Krasnyj banditizm*, „Rodina” 2000, nr 4, s. 81.

<sup>47</sup> GANO, f. 1, op. 1, d. 492, l. 200.

<sup>48</sup> A. Tieplakow, op. cit., s. 81.

tracynym lub prace przymusowe na okres od 6 miesięcy do 15 lat.<sup>49</sup> Ze szczególną surowością działały organy WCzK na kolei. Tak zwane „rejonowe transportowe komisje nadzwyczajne do walki z kontrrewolucją” skazywały w Tomsku i Krasnojarsku polskich żołnierzy na rozstrzelanie. Często po kilku dniach wyrok był wykonywany. W 1921 roku po podpisaniu traktatu pokojowego między Rosją Radziecką a Polską polska delegacja do spraw repatriacji żądała przeprowadzenia śledztwa w sprawie rozstrzelania przez WCzK polskich jeńców wojennych w Krasnojarsku. W Irkucku gubernialne CzK rozstrzelało w lipcu 1921 roku grupę polskich obywateli, to samo miało miejsce w Nowonikołajewsku, gdzie 8 maja 1921 roku rozstrzelano dwóch Polaków<sup>50</sup>. Dopiero po 1922 roku, kiedy miejscowa władza się umocniła i zaczęły działać organy prokuratury, „krwawe napięcie z okresu wojny domowej zaczęło stopniowo odchodzić w przeszłość”<sup>51</sup>.

Z żołnierzy polskich, którzy uznali kapitulację, ale nie zgodzili się wstąpić do Armii Czerwonej, utworzono „Jenisejską Brygadę Robotniczą”. W sumie w łagrze w Krasnojarsku znalazło się około 8 tysięcy polskich jeńców.<sup>52</sup> Racja żywnościowa wydawana jeńcom była niewystarczająca. Początkowo jeńcy otrzymywali pół funta chleba, koninę i ryby. Strażnicy będący osobami różnych narodowości (Niemcami, Łotyszami, Węgrami) ograbiali jeńców. W rezultacie jeńcom pozostały łachmany.<sup>53</sup> Setki jeńców stały się ofiarami epidemii tyfusu. Ciężka była również sytuacja jeńców przebywających w Tomsku na robotach przymusowych, gdzie byli tak głodni, że nie mogli chodzić.<sup>54</sup> Roman Dybowski łącznie szacuje, że ze składu polskiej dywizji zabito, zamęczono, doprowadzono do śmierci około 1,5 tysiąca osób.<sup>55</sup> Z relacji byłych jeńców wynika, że w obozach wyżywienie było bardzo złe, ale wynikało to nie z wrogości wobec jeńców, lecz z ogólnie fatalnej sytuacji gospodarczej Rosji Radzieckiej.<sup>56</sup>

Pewna część jeńców od samego początku pobytu na Syberii zatrudniła się u bogatych chłopów. Ludzie ci wracali do Polski w 1921 roku w doskonałej kondycji.<sup>57</sup> Władze radzieckie przywiązywały dużą wagę do działalności kulturalno-oświatowej i polityczno-wychowawczej wśród jeńców. Uznawano, że dzięki tego rodzaju pracy wśród szeregowych (oficerów uważano za kontrrewolucjonistów) można będzie ukształtować

<sup>49</sup> GANO, f. 1, op. 1, d. 492, l. 25, 70, 149, 189.

<sup>50</sup> GANO, f. 1, op. 1, d. 492, l. 93-94, 101.

<sup>51</sup> A. Tieplakow, op. cit., s. 83.

<sup>52</sup> I.I. Kostiuszko, *K woprosu o polskich wojennoplennych 1920 goda*, „Sławianowiedienije” 2000, nr 3, s. 45.

<sup>53</sup> GANO, f. P-5a, op. 1, d. 276, l. 364.

<sup>54</sup> P. Tyszka, *Z tragicznych przeżyć w 5. Syberyjskiej Dywizji i w niewoli (1918–1921)*, „Sybirak” 1936, nr 4 (12), s. 24.

<sup>55</sup> R. Dybowski, op. cit., s. 142.

<sup>56</sup> I.I. Kostiuszko, op. cit., s. 47.

<sup>57</sup> R. Dybowski, op. cit., s. 48.

ich „klasową świadomość” i sprawić, że staną się zwolennikami władzy radzieckiej.<sup>58</sup> Zajmowali się tym głównie polscy komuniści. Są jednak podstawy do stwierdzenia, że w łagrze w Krasnojarsku praca polityczno-wychowawcza nie odniosła sukcesu. W 1921 roku spośród ponad 7 tysięcy jeńców do organizacji komunistycznych wstąpiło tylko 61 osób.<sup>59</sup>

Po zwycięstwie bolszewików w wojnie domowej dla syberyjskich Polaków nastąpił okres głębokich przemian. Po pierwsze zlikwidowano liczne polskie organizacje społeczne. Po drugie rząd radziecki zaczął prowadzić politykę antyreligijną. W związku z tym tysiące Polaków zaczęły starać się o wyjazd do Polski. Większość członków polskich jednostek wojskowych również dążyła do opuszczenia Syberii.

12 października 1920 roku zostało podpisane porozumienie między RFSRR i USRR z jednej strony a Polską z drugiej, zaś 24 lutego tegoż roku podpisano protokół o przedłużeniu rozejmu i porozumienie o repatriacji. Po zawarciu traktatu pokojowego w Rydze 18 marca 1921 roku polska delegacja do spraw repatriacji przyjechała do Moskwy, a 1 września jej przedstawiciele pojechali na Syberię. W czasie repatriacji z lat 1921-1922 z Syberii do Polski wyjechało około 27 tysięcy osób.<sup>60</sup> Polscy jeńcy wojenni otrzymali więc możliwość powrotu do kraju. Należy podkreślić, że wśród repatriantów dużą część stanowili przedstawiciele polskiej elity, zwłaszcza przedsiębiorcy, pracownicy naukowcy, wojskowi. Burzliwe wydarzenia z lat 1917-1920 – polityka partii bolszewików, udział Polaków w działaniach wojennych po stronie „białych” – wszystko to przyczyniło się do likwidacji syberyjskiej polonii jako zjawiska kulturowego.

*Z języka rosyjskiego tłumaczyła  
Ewa Rybarska*

---

<sup>58</sup> I.I. Kostiuszko, op. cit., s. 48.

<sup>59</sup> R. Dybowski, op. cit., s. 122.

<sup>60</sup> W. Masiarz, *Polaki w Wostocznoj Sibiri (1907–1947 gg.)* [autoreferat], Irkuck 1995, s. 21.

---

**MARIA GLUSZKOWSKA**

## **KIEDYŚ TO BYŁY ŻMIJE...**

Wszystko zaczęło się od cara. Na początku XX wieku car Mikołaj II postanowił zasiedlić tajgę. Dzikie tereny, odwiedzane tylko czasami przez buriacką ludność. Buriaci łowili ryby, zbierali jagody, ale gęsta przestrzeń lasu pozostawała nietknięta. Każdemu, kto zechciałby się tam osiedlić car ofiarował 100 rubli, niemałą kwotę jak na ówczesne czasy. Polacy z Zagłębia Dąbrowskiego i Małopolski zaczęli rozważać tę propozycję. Wielu z nich cierpiało biedę, niektórzy chcieli uciec przed długami. Zmiana miejsca pobytu była nadzieją na lepsze życie. Każdy boi się nieznanego. Wyobraźmy sobie odległość dzielącą Zagłębie Śląsko-Dąbrowskie od Syberii, początek XX wieku, tamte metody podróżowania. A przede wszystkim zestawienie tego, co bliskie, znajome. Nie wyda się dziwne, że pragnęli oni swoją podróż choć trochę oswoić. Najpierw wyruszyli chodacy, ludzie, których zadaniem było obejrzenie ziemi, wybór odpowiedniego miejsca. Po powrocie chwalili tamtejsze tereny. Żyzne gleby, bogactwo lasu, rzeki.

Duża liczba rodzin, także z małymi dziećmi, podjęła decyzję o wyjeździe. Wyjazdy odbywały się falami. Najwięcej osadników przybyło jesienią 1910 roku. Dotarli na miejsce po dwóch tygodniach podróży, przywieźli ze sobą cały, zabrany z domu dobytek. Pierwszą, najcięższą próbą było przetrwanie zimy, zderzenie z syberyjskim klimatem. Schronieniem stały się budowane w pośpiechu ziemianki. Na żywność i ubranie zarabiali wykonując zlecane przez Buriatów prace. Gdy śnieg stąjał rozpoczynało się karczowanie tajgi, walka z przyrodą. Niektóre rodziny zdecydowały się na powrót, ale były i takie, którym brak pieniędzy uniemożliwił ten krok. Większość jednak została. Ciężka praca nie poszła na marne. Polacy pobudowali porządne, drewniane domy. Suche i ciepłe, opalane drzewem z tajgi. Od tej pory syberyjski mróz zostawał za progiem. Uwagę przyciągają oryginalne zdobienia domów. Rzeźbione kwiaty, serca, elementy ludowej wycinanki. Każdy z przyszłych gospodarzy dostawał 16 hektarów ziemi. Zaczęto uprawiać ziemniaki, groch, jęczmień, żyto, a także tatarkę, zwaną potocznie gryczuchą. Zajęto się również hodowlą zwierząt, mówiąc po tutejszemu – gadziny. Bydła, trzody chlewnej, koni.

W centrum wsi Polacy zbudowali kościół. Niewielki budynek z jasnego drewna. Świeżo osiedlone rodziny były mocno związane ze swoją tradycją, religią, z niej czerpały siłę. W ten sposób powstała Wierszyna. Niewielka wieś na Syberii, położona nad rzeką Idą, 130 kilometrów na północ od Irkucka. Fragment Polski prawie w samym centrum Ordyńsko – Buriackiego Okręgu. W Wierszynie, która w swój obręb wchłonęła również dawne buriackie osiedla Honzój i Naszate, mieszka blisko 120 polskich rodzin. Na wsi młodsze dzieci mają możliwość nauki w miejscowej szkole, w której jako jeden z przedmiotów wprowadzony został język polski. Mieszkańcy starszego pokolenia posługują się między sobą gwara z południowej Małopolski. Im młodsze pokolenie, tym znajomość polskiego wydaje się słabsza. Choć zależy to od poszczególnych rodzin. Niedaleko Wierszyny znajduje się Tichonowka, miejscowość założona przez Ukraińców. Przybyli oni na Syberię w tym samym czasie i na tych samych zasadach, co osadnicy polscy. W sąsiedztwie mieszkają także rodziny rosyjskie, tatarskie i osetyńskie. Mniejsza czy większa, ale właśnie tolerancja jest tutaj pojęciem podstawowym. Bez niej, codzienne życie byłoby niemożliwe. Surowe tereny tajgi są ziemią, na której trzeba żyć wspólnie.

Wieś leży na wyżynie, jej krajobraz można podziwiać z góry o nazwie Miru Mir (Pokój światu). Skąd ta nazwa? Nie wiadomo, jednak pragnienie pokoju jest bardzo silne wśród mieszkańców. Może dlatego, że dobrze znają jego brak. Echa światowych konfliktów wcześniej czy później docierają wszędzie. Nawet do zakątków, gdzie ludzie mają zbyt wiele ciekawych zajęć, żeby interesować się polityką. Największe represje dotknęły mieszkańców wsi w 1937 roku. Skazanych w sfingowanym procesie i rozstrzelanych zostało 30 mężczyzn. Gospodarzy, ojców rodzin. W Irkucku znajduje się pomnik upamiętniający tę zbrodnię. Kobiety i dzieci cierpiały biedę. Rekwirowano zboże, zabierano całą żywność. Dzieci zamiast konia zaprzęgano do pługa, jedzono resztki, ratowano się szukaniem pokarmu w tajdze. Czas pierestrojki, ogólnej odwilży przywrócił Polakom ich prawa. Wyremontowano także zamkniętą w okresie komunizmu świątynię. Jednak pewien cień radzieckich rządów został w ludziach do dziś. Przyspieszył odejście od niektórych tradycji, osłabił związek z Kościołem.

Losy Wierszyny, jak losy każdego miejsca na ziemi, wpisują się w bieg historii. Tylko, że wielką historię tworzą mali ludzie. Ich pojedyncze drogi, zawiedzione nadzieje, spełnione radości i smutki.

### **Teraz nie ma takich zim**

Koniec wsi. Przy wyjeździe na Dundaj. Nieduży dom na górze. Drewniana furka tonie w pokrzywach. Wygląda, jakby nikt tu nie mieszkał. Jednak w środku jest Pan Izydor. Ubrany w kraciatą koszulę, wy-

prostowany jak żołnierz. Przygląda rozczochrane włosy z uśmiechem dziecka.<sup>1</sup>

\*

Pan Izidor w swoim mieszkaniu.

Dzień dobry, dzień dobry. Wy weszliście, a ja nic nie słyszałem. Tak się ze słuchem porobiło. Choroby nic nie przynosi ze sobą, ona sama przychodzi. Nogi też mnie bolą, a trza plewić. Co bydzie to bydzie, nie uplewisz nie bydzie nic. Do doktora? To trzeba pieszką do Dundaja 7 kilometrów. A na cym pójdę? Mnie tutaj też bardzo boli. Syrce, syrce. Jedna bida się zrobiła, kobita umarła. Żyli my fajnie, prosto tak żyli. Nie rugali się ni nic. Ona w bolnicy leżała kilka razy. Ja tam chodziłem, odwiedzałem. Zawsze chciała, żebym do domu ją zabierał. Roboty w domu dużo, nie bydzie leżeć. Wiecie, że jak u człowieka strach taki to bardzo niedobrze. A u mnie był taki strach. Już ją przywiozłem do chałupy, wracam od sąsiada, furka na oścież otwarta. To nic dobrego nie wróży. Syrce tak mi się ścisnęło, do dziś czuję. Zabrali ją na pogotowie, nie pomogło, zmarła. A my się prosto tak drużyli, tak lubili. Byliśmy jak jedno. To się nieczęsto zdarza, żeby ludzie byli jak jedno.

---

<sup>1</sup> Narracja tekstu jest oparta na wypowiedziach mieszkańców Wierszyny. Ich polszczyzna ma swój własny, niepowtarzalny charakter. Stanowi ona mieszaninę gwar z regionów pochodzenia pierwszych osadników: z okolic Częstochowy, Piotrkowa Trybunalskiego, Błędowa, Zawiercia, Dąbrowy Górniczej, Kielc i innych miejscowości położonych w Małopolsce i w Zagłębiu Śląsko-Dąbrowskim. Mieszkańcy Wierszyny przez sto lat istnienia ich wsi mieli bardzo ograniczony kontakt z dawną ojczyzną i jej językiem. Dlatego w ich mowie zachowało się wiele słów, które już wyszły z użycia w południowej Polsce, a także specyficzne, gwarowe formy gramatyczne, np. *nauczycielów* zamiast *nauczycieli* lub *pojedymy* zamiast *pojedziemy*. Jednocześnie żyjąc w obcym otoczeniu, syberyjscy Polacy przejmowali coraz to nową leksykę z języka rosyjskiego, zwłaszcza w dziedzinach związanych z techniką, której wyjeżdżający z Polski na początku XX wieku emigranci jeszcze nie znali, np. *chłodilnik* zamiast *lodówka*. W artykule zastosowano zapis, który w możliwie najbliższy sposób oddaje wymowę mieszkańców Wierszyny.

Bochnia to dalej, a Tichanowka bliżej. Tam Ukraińcy żyją. Buriaci? No, nawet tu mieszkało kilka rodzin. One dobre ludzie, nie wredne, ino, że u nich płaskie nosy. Jak my byli mali to się często z nimi bawili. Wystarczyło się pokłócić, a już krzyczeliśmy płaskie nosy, płaskie nosy. Jak to dzieci. W Naszacie głównie mieszkali, teraz tam więcej Polaków. Te Buriaty to ludzkie ludzie, uczyć się lubią, mnogo w instytucy wychodzi. Święte miejsca? Tak mają, szamanić lubią. One wybierały miejsce na górze, przed lasem, bliżej do Boga, żeby wszystko spełniło się. Śpiewały, skakały, tarasun brały, to taki ichni spiryt. Kałakolczyki sobie wiązali, żeby brzęczało, uni się tym cieszyli.

W Polsce byłem, mnie się tam oczeń panrawiło. Ładne miasta. Jak my wyjeżdżali zawsze musieli taki papirek podpisać, że się nie będziemy w polityczeskije sprawy mieszać. Ja pracowałem w kołchozie, na traktorz. Ciężka praca, ale solidnie robiłem. Potem ja nie stał robić, na pensje poszedł. Moja robota upadła.

Mrozy? Oj, były mrozy. Teraz nie ma takich zim. Zima przychodzi, a ja nie widzę zimy. W przodzie to było słycać jak ziemia pękała. Taki mróz. Pękała ziemia, a tam mróz dochodzi. I to taki jakby z piekła, z takiej głębokości.

Wezmę ten wazonik, coś nam tu gawędzi. No, teraz was widzę, lepiej się gada.

Pamiętam. Byłem malutki, obcy ludzie na podwórku. Jak się przewracałem na łóżku wyrzałem przez okno, a tam jakieś chłopcy nieznakome chodzą. Pytam mamy, a kto to był? Po jakiemu? Kaj ojciec pojechał? Mama nic, tylko płacze. Bo już poniatno, że nie wróci, że to na wsiu żyżń. Mój ojciec i dwóch braci, Stefek, Jarek. Krow z mołokom, ile by te ludzie na miejscu zrobiły, jakby żyły. Jak mietłom zamietło, nie ma nikogo. My tę wsie gorycz łykali. Co zrobisz? Nikomu nie powiesz. Zbierają tam w Moskwie centralny komitet. Stalin siada mówi. Co mówi, tak bydzie. Dlaczego? Bo się wszyscy go bali. Jak umarł, demokratia poszła. Wiecie co jest ważne, nie dopuszczać nigdy więcej tego stalinizma. Teraz jest lepiej, idę do magazynu kupuję co chcę. Po mojemu lepiej, w końcu świeży wozduch. Teraz jestem sam, to ja bardzo dużo myślę. Wyjdę do ogródka poplewie, za chwilę wrócę, usiądę, myślę. Potem znowu wyjdę poplewie. Aż sam się śmieję, że się tak w kółko krynce. Siadam, myślę. Jak było rańsze. Takie różne myśli przychodzą. I te, że mogli tak gnębić. Czy to możliwe? Prosto, bukwalno zabierali z domu. Tam w Polsce, wy o tym wiecie?

### **Kiedyś to były zmije**

W tej części wioski droga jest lepsza. Więcej piachu, mniej gliny. Z boku błyska Ida. Srebrna, nerwowa w swoim biegu. Za domami Miru Mir. Wysoka góra, ciemna, trochę śpiąca. Przed każdą chałupą ławeczka. Kobiety siedzą, rozmawiają. Odpędzają natrętne muchy, niespokojne myśli. Niektóre są same, wypatrują czy kto nie idzie, obserwują drogę. Wciąż biegnie pod górę. Wyżej i wyżej, aż znika w ciemnym kwadracie lasu.

Pani Maria siedzi na ławce. Czerwona, zawiązana z tyłu chustka, śniada karnacja, ciemne oczy. Grzeje na słońcu nogi, mocno spuchnięte, w wełnianych skarpetach.

Mogę chwilę porozmawiać. A czemu nie? Mam czas. Ja do roboty już nie chodzę. Tak, żeby posiedzieć, dzieci przypilnować. Nogi się zepsuły. Nie przyjmą do bolnicy. Stara baba powiedzą, pora umierać. Teraz takie życie, że ani się żyć nie chce. Moja mama miała dziewięćdziesiąt trzy jak zmarła, no ale ja do maminych nie dożyję. Skąd moi rodzice przyjechali? Babka to taka cinna była, ona mało opowiadała. Z Częstochowy czy kaj? Moje dzieci to nawet w Polsce były. Wszystko ładne, ino do kościoła prowadzali to nie mogli ustać. Nieprzywyczone. Nasz, w jakim roku postrojony? Oj dawno, dawno, z samego naczała. On bardzo długo był zamknięty, ludzie odwykli. Tu jakiś czas przedstawicielem była baba. A baba to diabeł, gorsza niż chłop.

\*

Pani Maria na werandzie.

Ja się do córki przybrałam. Dzieci dużo, sześć wnuczków, dwanaście prawnuczków, u każdego po dwa. No, ale część żyje w Irkucku. Imiona to mają różne, polskie, rosyjskie. Jedna jest Diana. To ani polskie, ani rosyjskie, chyba z tych cornych murzynów wzięte. Moja synowa, to ona jest ruska. A dzieci nie wiem jak nazwać? Chyba minszane. Po polsku nie wszyscy mówią, ale każdy rozumie. Teraz takich rodzin jest wiele. Kiedy było najlepiej? Za Stalina. Jak ta pierestrojka poszła, ceny skoczyły. W sklepie pełno, a w kieszeni pusto. Ech, tego Gorbaczowa to trzeba było dawno zastrzelić. Im to się dobrze żyje, a my? Przy kolchozie nie było tak źle, mniej można było robić. Tak się troszku poobijać. W Dundaju też był jeden, nazywał się Czerwony Sztandar. Które nie chciały tam robić, szły do naszego. Ale jak kolchoz sadził ziemniaki to śmich. Przelewali z pustygo w próżne. Kopali, zasypywali, wsio gniło.



Zachodźcie do środka, poczęstuję czymś. Nie ścieśniajcie się, zachodźcie! Oj, teraz nie ma na cym chodzić, na próg trudno doleźć. Z młodości przestudzone, przemarzninte. Ino ciut ciut śnieg stajał, to już my poszli kartofle zbierać, bo nie było co jeść. Kilka lat przed wojną i we wojne to bida była jak diabli, aż piszczało. Siadajcie, siadajcie. Ogórecki swoje, słodkie. Chlebuś krojcie. Na front kazali wszystko zdawać. Dojechało tam, nie dojechało, kto wie? Zbirali my kartofle, suszyli, tłukli, na ziarnach mlili, kluski gotowali. Jedliśmy, co się pod rękę nawinęło, korpiele, rzypeę, czeremszą. Wszystkiego my popróbowali. Kieckę trzeba było kaj uszyć, szło się do kołchozu worek kraść. Z worka zeszyć. Potem do lasu, skóry narznąć i okraścić toto. Jak ja wnukom opowiadam, one nie wierzą, że to prawda. W tym domu mieszka Sierioża, często mówi, babko opowiadajcie jeszcze. Syn mi zmarł, już jedenaście lat jak go nie ma, ostało się dwoje dzieci. Już jedenaście lat.

W Polsce jakie domy? Murowane. W murowanych, mi się widzi, chyba zimno? U nas tera trudno stawiać. Drzewa nie rusz, zachapily te chapugi. Taki jeden, na którego my głosowali, okazał się zwirz. Zwirz po prostu. Wszystko do siebie. A co te pieruny wykluczyły światło? Herbaty chciałam zrobić. Bierzcie stopki, cosik mocniejszego naleje. My to nazywamy tarasun, z buriackiego. Po polsku bimber. Czy polują? Nu, jak mają papirek, jeżdżą jesienią. Lisów chyba ni ma. Powychytywali na copki, na kołnierze. W przodzie to były lisy, kasik daleko łosie, zubry. Niedźwiedź? Do wsi nie przychodzi, za mądry. Zaraz by go zjedli. Po jakimu zostawiacie? Pierwszy trzeba pełny pić, potem można po połowie. To już bez nijakiej papraniny, cyste. Aparat nam przywiózł znakomy z Irucka. Łatwo się robi, drożdże, cukier, wsio. Tu jest kilka rodzin, co piją jak psi. W Polsce też są pewnie? Chodzą umazane, w brudnej odzieży, ale pieniądze połączają. Zupełnie za darmo. Na 12 tysięcy rubli to ile trzeba plecy giąć. Ksiądz im całą obstanówkę do kuchni przywiózł, zru-gałabym tego księdza jak nie wiem co. Był tu taki jeden herny. On się ze mną kłócił, na co wy to robicie. Pani chce dobrze żyć, a ten co będzie kupował, będzie bidnie żył. Nie kupi u mnie, kupi u drugiego. A sam nie pił, chciałam go napoić, ale się nie dał. Tyle było księdzów, a nie było takich hernych jak on. Nu, jeszcze dobry był Ignacy. Tylko trochu wypił, zaraz ciungnęło go na spanie. Rumieńców dostaliście, mocne, mocne. Więcej niż 60 procent, silniejsze cym wódka. Oj, śpiewało się dawniej, pewnie. Po polsku, po rusku, po chachłacku. Bida bywała jak diabli, ale smutno nie było. Taką piosenkę znacie? To po polsku:

Dziewczyno woły masz  
obiecałaś dać dziubaka  
daj zaraz  
Ja bym dziubaka nie załowała  
gdyby matula w progu nie stała  
Dziewczyno, szachrajko,

obiecałaś, a nie dałaś  
cyganko  
Dziewczyno...

Wybieracie się na Miru Mir, to już nie ta góra. Glinę wyplukało, zmalala. Żmije? Boicie się? Teraz ni ma. Kiedyś to były żmije.

\*

Jarek, wnuk pani Niny.

### **Ja tylko komandir**

Wysoki, zielony płot. Z drugiej strony migają ręce. Niezbyt czyste. Chwytają i puszczają ogrodzenie. Za nimi pokazuje się twarz. Chłopak, nieduży, wczesna podstawówka, wyteża muskuły usiłując nie spaść. Uśmiecha się szeroko. Jest, jest. Zawołać? Bose stopy biegną w stronę domu. Za chwilę wychodzi furtką. Przylizana fryzura, sandały. Oznajmia oficjalnym tonem: baba zaraz wyjdzie. Witam, witam. Skąd jesteście? Zachodźcie do środka, nie będziemy na dworze stać. No jak wam na tej Sybiri? Jarek, weź te poduszki, zrób miejsce. Ładnie? Świeży wozduch mamy, pewnie. Oni tak daleko przyjechali, w dziesiuntym roku, na goły kamień. Nie wiem, nie wiem po jakiemu zostali. Cinżko było. Jak w jednym roku posadzili kartofle, zaczęli płakać, że wszystko zamarznie. Raz babcia zebrała dzieci i mówi, pojedymy nazad. Tu za zimno. Dziadek: nie, nie. Mnie wstyd Antosiu, ja uszedł stamtąd, żeby coś zarobić, żyć dobrze. U nich w Polsce kamienica była. Babcia pojechała, pożyła trochu sama i wróciła nazad. Pani Nina poprawia chustkę, śmieje się. A gdzie Andriuszka? Nie, Andriuszka to nie brat. To jego kolega. Włóczykij, on może w domu nie nocować, od takiego dziecka zawędrować do drugiej wsi. Jak się spotkają dokazują, po dachach latają, na rowerach jeżdżum. Ja rańsze uczyłam w szkole, młodsze dzieci, pierwsza, trzecia klasa i przy gospodarce pomagałam. Gdyby nie wypadek, pracowałabym do tych pór. Jak my wieźliśmy siano, spadłam z wozu. Jedno oko straciła, a drugie operacja. Nie nadaję się do pracy. Jedynie zawiadować robotą mogę, ja tylko komandir.

W Irkucku, operacja na operację, później konsultacja w Moskwie. Jak jaśniutkie słońce, coś widzę. Widzę, że ludzie siedzą. Iść to dają radę tak ot, ale gdzieś jechać samej już nie. Teraz wszystko wiem gdzie jest. Jakby kto przełożył kaj szukać? Co zrobisz? Zamyśla się, potem uśmiecha. Eee, niejedna pewnie taka w całym świecie. Nie?

Panią Marysię Dobrowolską znacie? Nauczycielkę z Polski? Ona była osoba oczeń charosza. Umiała z wszystkimi się porozumieć, z Rosjanami, z Buriatami. W każdej kompanii była swoim czelowiekiem. Mam ją na zdjęciu, zaraz wam pokażę. Jarek, znajdź album ze snirkami. Jaki? No ten z cwiernymi fotografijami, maminy. Nie, to nie eta. W tym jest moja córka. O tu, w berecie, w Polsce, dziewięćdziesiąty szósty rok. Gdzie mieszkacie? W domu polskim. Wiecie, to dom mojej siostry, teraz mieszka na Kaukazie. Wyjeżdżała, myślała komu sprzedać. Przyszedł ojciec Ignacy, potem konsul. Prosili, namawiali, zgodziła się. Dawno tam nie byłam, dawno. Jarek, co tam naszoł? Robokopa i zażygałkę? No, ładna. Szukaj albumu dla baby. Nie, to nie eta, to książka z odkrytkami, tam fotografii nie budut. Moja mama to była Rosjanka, a tata Polak. Był we wojsku koło Biełgorada. Tak się poznali. Potem my tam wszyscy jeździli. Odwiedzać wujków, ciotce, ale poumierali. Teraz ostały się drugie dzieci, podobnie jak u nas. Moja siostra z Kaukazu do Biłgoraja ma blisko, często jeździ. Ja też byłam. Samolotem do Moskwy, później pociągiem.

No, no, mamusia przybyła tu z daleka. Ale pokochała naszą wieś, nauczyła się mówić po wierszynie. Ja wiem, że lodówka to lodówka. Ale nikt z miejscowych nie powie inaczej niż chołodilnik. Nasz język taki mieszany. Jarek, państwo cię pytają. Odpowiedz ładnie. Ile polskiego? Skolka uroków? Dużo macie godzin? Poniedziałnik jest, srieda jest i sobotu. Kryncisz, w sobotu nie ma, we wtornik jest. Całe 6 dni się uczą, informatyka, szachmaty. Kompjutyery mają. Po mojemu to konsul przywiózł. Mały przychodzi ze szkoły i woła; baba kompjuter nada. Nu, nada. W szkole? Dobrze mi się pracowało, lubiłam swoją pracę. Dużo było nauczycielów Buriatów. U nas też był jeden, ale on nie mieszkał w Wierszynie, żył w Dundaju. Starszy był człowiek, bardzo chwalił Poloków. Często chodził popatrzeć jak się zbirają, modlą. Kak ładnie oni pieją, mówił. Takuju wysoku kulturu przywieźli siuda. Mój dziadek miał młyn. Gdy zmarł, Buriaci bardzo płakali. Charoszy czelowiek, nikagda nie odkazywał. Choć dzień, choć noc przyjmie, tak go wspominali. Ludzie to różne są i Buriaci różni. Niektórzy gadali; wyście przyjechali na naszą ziemię. Wśród ludzi, to nie bez tego. U mojej cioci, starszego syna kobita jest Buriatka. Takie małżeństwo, że jedno ze wszystkich, więcej ni u kogo. Skoro sto lat Poloki i Buriaci koło siebie żyją, a pierwszy raz się zdarza. Ich syn jest jaśniutki, nos prosty, a córka wykapana Buriatka. Więcej wam powiem, taka buriatka, że i u Buriatów takich ni ma. Dzieci gdzie się modlą? Jakiego są wy-

znania? Nie wiem, Buriaci niby muzułmanie<sup>2</sup>, my niby katoliki. Nu, ale jak to u nas w Rosji było. Kto my teraz? Nichto. Jarek naszoł album ili nie? Nie naszoł, on takoj maleńki, może gdzieś z wiercha? Tak wam chciałam naszą Panią pokazać. Jak do nas przyjechała, to aż energia od niej biła, wszędzie jej było pełno. Czasem sama do niej mówiłam; Marysiu usiądź, odpocznij, nie biegaj. Syn Radek do niej przyjechał, podobało mu się tutaj. Chwalił, że mamie nasz wozduch służy.

Święte miejsca widzieliście? Nawiunżom wstążeczek na drzewach, potem tam się modlą, szamanią. My jak jedymy, ciepniemy co niebądź. Buriaci wierzą, że trza na tym miejscu coś ostanowić; konfietku ili sigaretku. Takie szamanienie. Jak raz zapomniałam ciepnać, samochód stanął, nie chciał jechać. Zawsze jakaś kopijeczkę się ostanowi, potem chodzą pijoki, dzieci i zbierają. W dole Miru Mira, niżej, jest taka kupa kości. Uni tam żertwę odprawiali. Kręgi z wyłożonych kamieni, kotły stoją. Prosilili dyszcza czy pogody, co im było trza. Na żertwę, po polskiemu jak będzie? Ofiarę, na tę ofiarę przywodzili konia albo barana. Zabijali toto, bryzgali krwią. Z mleka robili tarasun, samogon. A słyszeliście jak naszamanili wiosną? Opowiadali wam? W Honzoju, za rzeką, spalili dom. Tego roku, w maju ni jednego dyszcza nie było, trowa strasznie sucha. Uni jak szamanią, wszystko muszą polać spirytem; ziemię, próg, przyzbę. Ogień palili, jak jeden bryzgnął po trawie, wiatер poszedł, wsio się spaliło. Chłop się spalił, ostało się troje dzieci. Malutkich. Nie daj Bóg nikomu tego. Nu, uni pewnie i tego nie chcieli, ale pijani byli. Może się zgodzą, czy zapłacą, czy dom postroją. Kiedyś to Buriaci bardzo ciekawe ubiory mieli, ja jeszcze pamiętam. Na nogach iczki, lekkie ze skóry zeszyte. Na zimę inne i na lato inne. Krasiwyje hałaty, do nich kopijeccki poprzyszywane. Błyszczało się, brzęczało pięknie. Capy mieli z wilka, czasem z lisa. Wszystko się zmienia. Teraz w Dundaju każda rodzina buriacka ma swój mały smentarz, albo na ogólnym chowają. Wprzodzie tak nie było, do ziemi nie grzebali. Owinęli w skóry i tak to wisiało, patom upadywało. Czasem dzikie zwierzęta roznosiły. Tylko szamanów przykrywali gałęziami, palili. Raz ze szkołą pojechali do lasu kartofle kopać. Idziemy w las, do toalety, a tam z liści jakieś nogi stercą. Myśle, co te nogi tak stercą? Nu, to już było dawno, dwadzieścia pięć, trzydzieści roków temu. Buriaci do Mongołów jeżdżą, znają się z nimi, ale język inny. Za Bajkałem i tutejsze Buriaty, jedni drugich nie rozumieją. Parę lat temu nazad, wele Userdy, zacharanienie wykopali. Czelawiek był mongolskiej rasy, Azjat. Nawet odieżdza się zachowała. Mówią, że to ciało Czyngis – chana.

Teraz? Jestem sama. Mój mąż był z Ukrainy. Umarł na robocie, cztery lata nazad. Czekamy w domu i czekamy, nie wraca. Córka pojechała sprawdzić. Przyjeżdża, na progu stoi, nic nie mówi. Boi się powiedzieć. Dopiero siostra przyszła, powiedziała. Ech, ta śmierć, ta śmierć. W naszej wsi sporo wypadków na motorze. Tako dziewczyna ładna była, do

<sup>2</sup> W ten sposób rozmówczyni określa religię Buriatów.

Polski się zbirała uczyć. Jechały we dwie, dziewięćdziesiąty siódmy rok, w słup uderzyły. Jednej nogi złamało, a tę drugą zabiło. Wielka szkoda.

Wiecie, że jest ksiużka o Wierszynie? Chcę kupić, ale nie mogę trafić do tego dziadka. Materiał? Oj, on zbiroł parę lat, do archiwa jeździł. Opisał też takie familie, których już ni ma: Różańskie, Grele. Mówią, że nawet zaznaczył, kto ile kartofli sadił. Pani Nina przeciera okulary. Grube szkła odbijają spojrzenie. Ciepłe, rozbawione. U nas się sadiło różne sorta: białe, różowe, takie aż niebieskie. Jeden rok się rodzi jedno, drugi drugie. W kartoflach to lubią żmije siedzieć. Taka gadziuka, to się szczytomordnik nazywa. Teraz już mniej, rzadziej niż kiedyś. Trzeba ostrożnie ino chodzić, patrzeć. One niewielkie, ale jak ugryzie to wsio. Jednego razu trzepali siano, z tym sianem trzepnęli żmije. Chłopak na wóz ładował, ugryzła go w szyję. Na wienę, żyłę trafiła. Do szpitala zawieźli, ale chłopak pogibł. Bywa, że leczymy się sami. Na przeziębienie najlepszy psi albo borsuczy żyr. Borsuki one takie żyrnije, okrągłe. Niedźwiedzi? Też dobry. Słoninę z niedźwiedzia widziałam, ona aż się rusza, jak żywa. Na skaleczenia dobra macierzanka, dzieci w niej często kąpali. Nasza pani Marysia dużo różnych ziół nzbierała, nasuszyła i do Polski powiozła. Jarek, naszoł album? Ach, gdzieś się przed nami schowała, nasza Marysia kochana.

### **Tak mało żyjemy**

Naszata, część Wierszyny za rzeką. Kiedyś mieszkali tu Buriaci, teraz stoją polskie domy. Krajobraz wydaje się zatrzymany, wyłączony z biegu. Szkiełko zegarka omszało, spadło na dno studni. Kobieta w ciąży stoi przy płocie. Powolnym ruchem wiesza kocyk. Niebieski materiał ocieka wodą. Płyną leniwe strumyki. Dziecko siedzi w piachu, zamarło z łopatką w ręce. Drogą idzie Pan Walenty. Utyka lekko, drepcze w stronę domu. Orli nos, szare, bystre spojrzenie. Przypomina zranionego jastrzębia. Szlachetny, ginący gatunek.

Poloki z Polski? No, ładna. Zachodźcie, ale u mnie bałagan, hazajki nie ma. Ja siódmy rok żyję bez Helusi. Uszanowuję jeszcze to, co mam. Staram się, utrzymuję toto. U mnie jest nawet krowa. Jak wieczorem moczy, wydoić trzeba. Masło, mliko domasznie, nie muszę kupować. Wczoraj na gwóźdź wlałem, paprze się brzydsko. Kulfon chyba byde. Zdejmuje nitkę z rękawa, śmieje się. Stare ludzie to są bardzo kapryśne, a dlaczego? Bo stare. Śmiech przechodzi w kaszel, suchy, gwałtowny. Po chwili patrzy przed siebie, nuci:

Szła dziewczeczka  
przez zielony las  
spojrzałem ja na nią  
tylko jeden raz

Czyje słowa? Nie wiem, ale je pamiętam. Śliczne słowa, złote. Przed wami odkryta cała dopiero panorama życia, wy możecie i robić, i czuć, i pisać jak chcecie. Cała miłość, lubow przed wami.

Szła dziewczeczka  
przez zielony las  
skończył się już dla mnie  
kawalerski czas...

\*

Pan Walenty w letniej kuchni.

No, no, żurnał z Polski. Bardzo miło i przyjemno, dzięki wam. Ja tam interesuję się trochę informacją, dużo przeczytał książek, u mnie literatura oczeń bogata. Mówicie, że chcecie moją książkę? Ja byde bardzo rad, jak kupicie. Zaraz przyniosę. Moja wnuczka żyje w Moskwie, kredyt wzięła, żeby wydać. Jak wydali, przyjechały córki, jedna z Moskwy, druga z Norylska, przywiozły 50 egzemplarzy. Ja chronię tradycję Wierszyny, tu o wszystkim po trochu. Najpierw jak Poloki przybyły, jak się na Sybiri urządzały. Takie stare fotografije. U mnie jest trzysta zdjęć, ile one przeszły. Niektóre chodziłem, po ludziach zbierałem. Ale nie wszystkie są w książce, jakaś jedna trzecia. Na więcej to trzeba piniędzy dużo. Widzicie, wydanie ładne, albumowe. Robiłem na stanowisku agronoma, samolotem nad lasami latałem Tu wszystko dokładnie opisane, nawet ilość gadziny, ziemi, upraw. Sporo pamiętam, ale i do archiwa jeździł. Ja już stary, uchodzę z tego świata, więcej bym wam pokazał, więcej opowiedział.

Poświęcam swojej Helusi, to dedykacja. Przeżyliśmy pięćdziesiąt pięć lat. Zawsze razem. Na tym zdjęciu mój tatuś, a dalej mamusia. Tutaj pole, młode dziołchy przy pracy. Zobaczcie, jakie u nas dziołchy były. Wszystko mieszkańcy Wierszyny, fotografije ze ślubów, z dziećmi, przy robocie. O, ta koło kołchoza, tu dojarki stoją. Z naszej wsi wyszło więcej niż tysiąc nowych rodaków. Ja wkleił tablice gdzie są całe klasy. Widzicie? Lata siedemdziesiąte, osiemdziesiąte, większość nauczycielów; Buriaci. Jest nawet dietskij sad, snimki najmniejszych dietiej. Z naszej wsi dużo młodych połączyło wyższe obrazowanie, skończyli uniwersytet. To

ich zdjęcia: Rusłana Pośpiech, Ludmiła Figura, Elena Mitrega, jeszcze więcej. Piszę listy z polską nauczycielką Marianną. Pani Marianna Dobrowolska, znacie? My drużyli się i ze Zdzisławem Soską, on tożę wykładał polski. U mnie jest zdjęcie z Hanną Krall, siedzimy w ogródku, rozmawiamy. Książkę mi podarowała. Wy wiecie kto to Hanna Krall?

Ostatnie strony to wszyscy moi, cała rodzina. Brat, dzieci, wnuki. Moja córka na pensję w tym roku uchodzi. A prawnuczka w Narylsku uczitsa akrobatikie, sukcesy ma. Dla ciebie w życiu już drugiego szczęścia nie bydzie, najważniejsze to dobre potomstwo zostawić. Ono jest jak twój sl'ed w świecie. Mnie dzieci szanują, odwiedzają, ostawię dobry sl'ed.

Jedliście kiedyś kiedrowe orzeszki? W Polsce ni ma? To sobie weźcie, mam cały koszyk, ja już nie używam. Trzeba rozłupać szyszkę i wyjąć, są takie maleńkie. Z nich jest dobre masło, nalewka dobra. Więcej bierzcie, więcej, po kilka!

Książkę? Ile lat pisałem? Ja całe życie pisał swoją książkę.

Czynsto dumaju, że między Polokami dużo odważnych, wielkich ludzi było. Nasze przodki, które tu przyjechały, dały sobie radę. Bez żadnego gospodarskiego przygotowania. W miejscu, gdzie diabeł mówi dzień dobry, a może i dobranoc. A taki Kopernik, też wielki. Ile to teorii szło. On na przekór wszystkim ustanowił po swojemu, okazało się prawdą. Trzeba podziwiać własną kulturę, obcą też. Taki buriacki ansambl, jedyny w swoim rodzaju. Nichto tak nie zaśpiewa, nie zatańczy. Przeżyłem prawie sto lat, czegoś takiego nie naszoł. A jak Rosja z Polską? Bo w gazecie cytał, że Polska z Rosją dobrze żyje?

Wierszyna to piękna wioska, oddałem się jej. Pamintajcie, że w Wierszynie jest tako Polska.

U mnie Biblia leży, studiuję czasem, bardzo ciekawe. Jezus Chrystus szedł po brzegu. Biją, rzucają kamieniami w jedną osobę żeńską. On się zatrzymuje, mówi; kto kamień rzucił? Kto nie był grzyszny? Kto nie był grzyszny? To ciekawe.

Bywa, że wypiję, ale picie, niedobra rzecz. Jak się napijesz jesteś bardzo mądry, a nawet zanadto głupi. Wódka to jest zło, mnie się widzi, dziś w świecie nawet dziewczęta piją. Wy ruską klasykę uczyli w swoich Uniwersytetach? Jesienina znacie?

A miesiec  
wsio budet płyt' i płyt'  
ranniej wiosnoj po ozioram  
a Ruś wsio bud'et  
żyt' i żyt'  
i pit', i płakat' pod zaborom

(w wolnym tłum.)

A księżyc  
będzie płynął i płynął  
wczesną wiosną po jeziorach

a Rosja zawsze, Rosja potem  
będzie pić, płakać pod płotem

Ech, kiedyś dużo poezji czytał i żurnalów. W takim jednym rysunek; polska paninka stoi na bulwarze, w cieniutkich pantofelkach. Chociaż mówi zimno, ale czekam cierpliwie, ciekawe czy przyjdzie. Wiecie, ja nie wiem jak dziołcha lubi chłopaka, ja ino wiem, jak chłopak lubi dziołchę. Mnie się przypomina jeszcze takie coś śmieszne, też po polsku:

W każdej wiosce  
jest kapela,  
która dziatwę rozwesela.  
Na przemianę psy szczekają  
konie rżaniem się witają,  
woły porycują...

No, już troszku zapomniał. My się tak uczyli w szkole, wy jakie wierszyki pamintacie? Im człowiek starszy, tym więcej pamięci, za siebie zyrka. Choć czasem widzi mi się, że ja stary, a na duszy młody. Trudno pojąć. Zdjęcie chcecie? Nieładne bydzie, z takim starym dziadkiem.

Ja już jestem stary  
młodej mi potrzeba,  
żeby zarobiła  
na kawałek chleba.

Ech, tak mało żyjemy. Tak mało żyjemy na świecie. Można by jeszcze więcej opowiedzieć o sobie, o ludziach. Nie zapomnijcie zabrać kiedrowych szyszek, dam wam foliowy woreczek, dla wygody. Pan Walenty wraca szeleszcząc folią, siada przy stole. Przymyka oczy, po chwili zaczyna mówić. Cicho, patrząc przed siebie:

Jadą, jadą dzieci drogą  
siostrzyczka i brat  
i nadziwić się nie mogą  
jaki piękny świat.

Nad Wierszyną zapada zmierzch. Czerwień, łagodny fiolet obejmują wszystko; drzewa, ludzi, zwierzęta. Przez drewniany mostek biegnie żrebak. Czarny, nerwowy. Pewnie zgubił stado, szuka swoich. Ida wygasa kolory, rozpuszcza resztki dnia. Wokół ciemne góry porośnięte tajgą. Budzą lęk, uspokajają. W mroku zarysy krowich pysków, błyskają brązowe oczy. Mądre, pełne smutku. Zbliża się pora dojenia, czas powrotu. Całe stado ciągną do zagród, w stronę domu. Nawołują się przeciągłym muczeniem. Nikt ich nie prowadzi, znają drogę.

Skóry dotyka lekki chłód, powietrze pachnie wilgocią. W mojej głowie pełno myśli, pełno pulsujących historii. Czuję ogromną wdzięczność dla ludzi starszych. Oswajają nas z naszą przeszłością, z życiem. Przygotowują na moment, gdy sami zanucimy tę zwykłą piosenkę: kiedyś to były zimy, kobiety i żmije, a my byliśmy młodzi.





---

AGATA CUTTER

## LOSY KOBIET W RADZIECKICH OBOZACH PRACY (1920-1953)

Zjawisko przymusowej pracy istniało już w czasach Rosji carskiej, zaś swoją nową formę osiągnęło po Rewolucji Październikowej. W roku 1929 Józef Stalin zdecydował o wykorzystaniu systemu pracy przymusowej dla przyspieszenia rozwoju przemysłowego oraz industrializacji Związku Radzieckiego. Masowe aresztowania w latach 1937-1938 rozpoczęły okres dynamicznej ekspansji oraz rozwoju GUŁagu.<sup>1</sup> Okres istnienia ZSRR to powołanie około 476 niezależnych kompleksów obozowych oraz tysięcy pojedynczych obozów, gdzie w każdym przebywało od kilkuset do kilku tysięcy więźniów. Szacuje się, iż od 1929 do 1953 roku (śmierć Stalina), przez łagry przewinęło się około 18 milionów osób. Kolejne 6 milionów tworzyli zesłańcy i przesiedleńcy, deportowani głównie do Kazachstanu oraz na Syberię.

Wśród wyżej wspomnianych milionów znajdowały się także kobiety. Obowiązywały je te same normy pracy, ta sama żywność, te same warunki transportu, odzież oraz zasady więziennego życia. Jednak ich sytuacja w łagrach różniła się od sytuacji skazanych mężczyzn. Kobiety w obozach pracy stanowiły zdecydowaną mniejszość, co spowodowane było przekonaniem o ich mniejszej sile fizycznej. Kierowano je do prac, w których mogły być szczególnie użyteczne – do zakładów przemysłu lekkiego, włókienniczych i metalurgicznych, prac przy rozładunku oraz niektórych prac rolnych i leśnych. W otoczonych złą sławą łagrach Dalekiej Północy więźniarki były „towarem deficytowym”, którego odczuwano nieustanny brak.

Artykuł ukazuje pewien fragment życia kobiet, którym jest obraz rozpoczynającego się roboczego dnia łagrowego oraz czas przedpołudniowej pracy. Wśród źródeł literackich dominowały pamiętniki, wspomnienia oraz dzienniki. Ten gatunek literacki posiada jedną, poważną wadę – ówczesna rzeczywistość została ujęta subiektywnie. Wiele po-

---

<sup>1</sup> Głównie Urządzenie Łagieriej – Główny Zarząd Obozów, w skrócie GUŁag, instytucja powołana do koordynowania systemu pracy niewolniczej oraz jego form.

trzebnych informacji zawarła w swoim dziele Marta Rudzka (Beata Obertyńska), opublikowanym w 1946 roku pt. *W domu niewoli*. Niezwykle cenny pod względem sytuacji kobiet w łagrach radzieckich okazał się pamiętnik Eugenii Ginzburg, która opisała w nim swoją długą drogę przez liczne więzienia oraz obozy w Związku Radzieckim. *Stroma droga* (1989) było drugim po dziele *W domu niewoli* podstawowym źródłem, potrzebnym do napisania pracy. Ostatni pamiętnik *Po wyzwoleniu...* z roku 1990 Barbary Skargi (Wiktoria Kraśniewska) oddał obraz rodzajów miłości, jej patologicznych, homoseksualnych odmian, transseksualizmu oraz tzw. małżeństw obozowych. Trzy tomy *Opowiadań kołymskich* Warłama Szalamowa (1991) były źródłem dla opisu wielu patologicznych sytuacji, mających miejsce w obozach. Okrucieństwa obozu na Sółwkach zawierają wspomnienia Olega Wołkowa *W otchłani* (1994) oraz trzypomowe dzieło Aleksandra Sołżenicyna *Archipelag GULag. Próba dochodzenia literackiego* (1998). Wśród opracowań monograficznych znalazła się pozycja *Człowiek i stal. Radzieckie przeobrażenia 1928-1941* Mariana Wilka (1988), *Pod osąd historii. Geneza i następstwa stalinizmu* (1990) Roja Miedwiediewa oraz *Rewolucja rosyjska* (1994) Richarda Pipes'a, gdzie autor przedstawił historyczne przesłanki wybuchu dwóch rewolucji rosyjskich. W pracy *GULAG* Anne Applebaum (2005) autorka opisuje całą historię działania obozów pracy w ZSRR, zasady funkcjonowania oraz wpływ historii na ich kształt. Zebrane relacje ustne stanowią dwa wywiady: z Zofią Helwing (Honorowym Prezesem Oddziału Związku Sybiraków we Wrocławiu) oraz Jackiem Malko (obecnie profesorem Politechniki Wrocławskiej). Wyżej wymienione osoby były bezpośrednimi uczestnikami niektórych opisywanych w tejże pracy wydarzeń. Rozmowa z nimi stanowiła bogate dopełnienie licznych publikacji.

## 1. Początki obozów pracy 1917-1939

### 1.1. Okres bolszewizmu

Lecz, mój piękny, biedny wieku,  
Twój kręgosłup przetrącony.  
Teraz z uśmiechem bezmyślnym  
Patrzysz wstecz, okrutny, słaby,  
Niby zwierz niegdyś sprężysty  
Na łap swoich stare ślady.  
Osip Mandelsztam *Wiek*<sup>2</sup>

Rok 1917 był dla Rosji rokiem niezwyklej wydarzeń. Przez kraj przetoczyły się dwie, bogate w skutki rewolucje. Z antyrządowych rozruchów oraz aktów przemocy wobec władzy cara Mikołaja II w roku 1905, które ostatecznie doprowadziły do pierwszego konstytucyjnego ekspery-

<sup>2</sup> O. Mandelsztam, *Poezje*, tłum. B. Zadura, miejsce i rok wydania, s. 227.

mentu rosyjskiego oraz powołania Dumy, państwo rosyjskie nie wyciągnęło daleko idących wniosków. Wojna okazała się dla Rosji przekleństwem – powszechne stały się strajki, głód i społeczne niezadowolenie. Obrazu sytuacji dopełniła, ostrzejsza niż zwykle, zima 1916-1917 r. Spadki temperatur średnio do 14,5° poniżej zera w lutym spowodowały problemy z obsługą maszyn parowych, co z kolei pociągnęło za sobą kryzys zaopatrzenia, przemysłu opałowego oraz w konsekwencji unieruchomienie piekarń. Dodając do tego decyzję cara o wyjeździe do Mohylewa, uzyskujemy obraz, stojący tuż przed rewolucją, Rosji.

21 lutego stolica Rosji – Piotrogród znalazła się pod dowództwem dwóch niedoświadczonych ludzi: generała Bielajewa (ministra wojny) oraz generała Chabałowa (wojskowego dowódcy miasta). Od tego czasu, aż do momentu obalenia cara, rozpoczęła się fala rozruchów i manifestacji. Brak dostatecznej reakcji władz stolicy wydawał się uzasadniony, gdyż początkowe manifestacje w istocie miały charakter antygłodowy. Dopiero nadanie im politycznego wymiaru diametralnie zmieniło sytuację w stolicy. Stało się tak 26 lutego wraz z buntem garnizonu piotrogrodzkiego, złożonego głównie ze świeżo wcielonych rekrutów lub rezerwistów, których liczba znacznie przewyższała możliwości koszar (160 tys. żołnierzy zajmowało koszary przewidziane dla 20 tys.). Główny „strażnik” carskiego reżimu, jakim było wojsko, zawiódł, a wobec rozkazu strzelania do nie uzbrojonych tłumów, wręcz się zbuntował. Trzon rewolucji lutowej stanowiło więc nie powstanie robotnicze, ale bunt żołnierzy, wywodzących się z warstwy chłopskiej.<sup>3</sup>

Za datę rozpoczęcia rewolucji uważa się 27 lutego, kiedy to Pułk Pawłowski przegłosował odmowę posłuszeństwa rozkazowi strzelania do tłumów. W sytuacji tej car Mikołaj II podjął decyzję o powrocie do Carskiego Sioła. Przybycie cara do Piotrogradu nie miało już wówczas wielkiego znaczenia. Mikołaj II przekonywany o słuszności ustępstw wobec Dumy oraz własnej abdykacji, nie sądził, iż walka o władzę toczy się między Dumą oraz Radą Piotrogrodzką.<sup>4</sup>

Sama Duma działała zbyt opieszale, aby zahamować skutki rewolucji. Powołała egzekutywę – Tymczasowy Komitet Członków Dumy Państwowej dla Przywrócenia Porządku w Stolicy i Utrzymywaniu Kontaktów z Osobistościami i Instytucjami na czele z Michaiłem Rodzianko. Nieporęczność nazwy tego ciała oddawała bojaźliwość jej członków w postępowaniu z rewolucją. Ostatecznie utworzony Rząd Tymczasowy nie miał już dostatecznej legitymizacji. Inicjatywę wskrzeszenia drugiego, aspirującego do władzy ciała – Rady Piotrogrodzkiej, podjęli mienszewicy (przewodniczący Centralnej Grupy Robotniczej – Gwozdiew i sekretarz tejże Grupy – Bogdanow), apelując do mieszkańców Piotrogradu o wybieranie przedstawicieli na inauguracyjną sesję Rady. Wówczas po-

<sup>3</sup> R. Pipes, *Rewolucja rosyjska*, Warszawa 1994, s. 224-225.

<sup>4</sup> *Ibidem*, s. 226-230.

wołano Tymczasowy Komitet Wykonawczy z Nikołą Czcheidze (członek Socjaldemokratycznej Partii Robotników Rosji) jako przewodniczącym. Głównym trzonem Rady byli umiarkowani socjaliści, partie ekstremistyczne uzyskały jedynie 10% głosów (bolszewicy, eserowcy i międzydzielnicowcy). Ostatecznie podejmowanie decyzji w imieniu Rady przeszło w ręce Komitetu Wykonawczego, który reprezentował nie robotników i żołnierzy, ale organizacje partyjne, głównie umiarkowanych socjalistów oraz bolszewików. Już 1 marca Komitet podjął decyzję nie przystępowania do powoływanego przez Dumę rządu, umożliwiając sobie tym samym krytykę tego nowego ciała. W ten sposób powstał specyficzny system rządów, który przetrwał aż do następnej rewolucji w październiku. Obok Komitetu Tymczasowego (później przemianowanego na Rząd Tymczasowy), odpowiadającego za administrację, władzę sprawowała Rada, posiadająca funkcje kontrolne wobec rządu. Ten system „dwuwładzy” skazany był jednak na niepowodzenie, gdyż obydwa ciała działały nie współpracując i nie informując siebie nawzajem, posiadając przy tym wykluczające się cele dotyczące rewolucji, Duma – jej zatrzymanie, Rada – jej pogłębienie.<sup>5</sup>

Zmuszony do abdykacji car, podpisał ją w nocy z 15 na 16 marca w Pskowie. 22 marca cara wraz z rodziną aresztowano, a w sierpniu przewieziono do Tobolska na Syberii. Rząd Tymczasowy próbował wprowadzić szereg reform, które umacniałyby władzę centralną i pozyskiwały poparcie opinii publicznej.<sup>6</sup> Rada Piotrogradzka zdominowana przez koalicję mienszewicko-eserowską, nie stanowiła dla Rządu dużego zagrożenia. Sytuacja zmieniła się w kwietniu, kiedy to do stolicy, dzięki pomocy rządu niemieckiego,<sup>7</sup> powrócił Lenin (Włodzimierz Ulianow) i wraz z grupą radykalnych socjaldemokratów rozpoczął próbę przejęcia władzy, przedstawiając wizję nowego państwa w tzw. tezach kwietniowych.<sup>8</sup>

Podstawowym założeniem Lenina była eliminacja Rządu Tymczasowego, gdyż uważał go za groźniejszego przeciwnika niż demokratycznych socjalistów, zgromadzonych w Radzie. Rząd dysponował siłami zbrojnymi oraz poparciem chłopstwa i klas średnich. Jednocześnie zmie-

<sup>5</sup> Ibidem, s. 231-236.

<sup>6</sup> A. Czubiński, *Historia powszechna XX wieku*, Poznań 2003, s. 98-99.

<sup>7</sup> Protokół podpisany przez Lenina oraz socjalistów niemieckich zawierał takie słowa: [...] Jest rzeczą jasną, że rząd niemiecki umożliwi przejazd rosyjskich internacjonalistów w nadziei, że powrót przyczyni się do umocnienia nastrojów antywojennych w Rosji... (L. Gyurko, *Lenin – Październik*, Warszawa 1970, s. 131).

<sup>8</sup> Leninowski program działania opierał się na: braku poparcia dla wojny, przejściu do „drugiego” etapu rewolucji, braku poparcia dla Rządu Tymczasowego, przekazaniu władzy radom, zniesieniu armii i zastąpieniu jej milicją ludową, konfiskacie własności i upaństwowieniu ziemi, połączeniu banków w Bank Narodowy, kontroli nad produkcją i dystrybucją, utworzeniu Międzynarodówki Socjalistycznej (R. Pipes, op. cit., s. 314).

rzanie Lenina do władzy odbywało się poprzez dosłownie rozumianą walkę klas, czyli wojnę domową, fizyczne unicestwienie poszczególnych warstw społecznych oraz założenie o umiędzynarodowieniu rewolucji, w której to Rosja była jedynie początkiem. Przygotowując grunt pod swoje działania bolszewicy nieustannie prowadzili kampanię dyskredytującą postępowanie rządu, obwiniając go za rozruchy, inflację, porażki wojenne. Przez trzy miesiące Lenin kierował zachowaniem tłumów, podsycając niezadowolenie społeczne przez przedstawianie Rządu jako zdrajcy rewolucji, podżegając ludność do nieposłuszeństwa wobec władzy, robotników do przejmowania fabryk, wojsko do niewykonywania rozkazów. Październikowe zwycięstwo to w znacznej większości zasługa psychologicznych działań, zastosowanych przez bolszewików.<sup>9</sup>

Kolejne próby puczu (kwiecień – pretekstem był kryzys polityczno-wojenny dotyczący rezygnacji Rosji z aspiracji względem terytorium Austrii i Turcji; czerwiec – bolszewicy próbowali sięgnąć po władzę dzięki podległym sobie komitetom fabrycznym oraz zdobywaniem poparcia wśród wojska, ostatecznie bolszewików oskarżono o korzystanie z niemieckiej pomocy finansowej, zaś sam Lenin zbiegł do Finlandii; lipiec – za pretekst posłużyła decyzja rządu o wysłaniu garnizonu piotrogrodzkiego na front przed spodziewaną kontrofensywą wroga) nie przyniosły spodziewanego efektu w postaci całkowitego przejęcia władzy. Koniec sierpnia okazał się dla bolszewików czasem próby własnych sił. Wtedy to głównodowodzący armią rosyjską gen. Ławr Kornilow wtargnął do Piotrogradu z zamiarem obalenia Rządu Tymczasowego i wprowadzenia dyktatury. Jedynie mobilizacja rewolucyjnych grup żołnierskich i robotniczych udaremniła pucz. Fakt ten upewnił Lenina w przekonaniu, iż nadeszła odpowiednia pora do wcielenia w życie rewolucyjnego planu. Lenin powrócił do stolicy, Rada zaś powołała Komitet Wojskowo-Rewolucyjny. Przewrotu dokonano 25 października, kiedy to oddziały Gwardii Czerwonej opanowały kluczowe miejsca: dworce, banki, poczty i elektrownie, w nocy zaś został zdobyty (bez większych start po obu stornach) Pałac Zimowy – siedziba Rządu Tymczasowego. Już następnego dnia przeprowadzono obrady II Ogólnorosyjskiego Zjazdu Rad, który poparł przewrót (po wcześniejszym opuszczeniu obrad przez mieńszewików i eserowców) oraz uchwalił tzw. „Dekret o pokoju”,<sup>10</sup> „Dekret o ziemi”<sup>11</sup> oraz dekret o powołaniu rządu robotniczo-chłopskiego.<sup>12</sup> Dalsze działania rządu wprowadziły m. in. ośmiogodzinny dzień pracy oraz ka-

<sup>9</sup> R. Pipes, op. cit., s. 314-319.

<sup>10</sup> Głosił on wycofanie się Rosji z wojny i wezwanie innych państw do podobnych działań oraz zawarcie pokoju bez aneksji i kontrybucji.

<sup>11</sup> Znosił on istnienie prywatnej własności ziemi, z zakazem jej sprzedawania, kupowania oraz dzierżawienia, prawo użytkowania ziemi przyznawał zaś wszystkim obywatelom Państwa Rosyjskiego, którzy chcieli uprawiać ziemię własną pracą.

<sup>12</sup> Na czele rządu Rady Komisarzy Ludowych stanął Włodzimierz Lenin.

lendarz gregoriański. Popularna idea powołania ciała ustawodawczego znalazła odbicie w wyborach do Zgromadzenia Narodowego (Konstytuanty) na przełomie listopada i grudnia 1917 roku. W głosowaniu przewagę osiągnęli eserowcy (na 36 mln głosów uzyskali 21 mln), bolszewicy zdobyli 9 mln głosów. Wobec wizji znalezienia się rządu w mniejszości wobec Konstytuanty, bolszewicy uznali, iż to Ogólnorosyjski Zjazd Rad ma znaczenie nadrzędne, Zgromadzenie Narodowe zaś ogłoszono organem antyrewolucyjnym i rozwiązano. Powyższa sytuacja obrazuje niemal cały okres sprawowania rządów przez bolszewików, w którym umacniana była dyktatura proletariatu, natomiast trwająca wojna domowa przyczyniła się do upowszechnienia kategorii „wroga klasowego”.

Okres rozpoczynający rządy bolszewików w już Sowieckiej Rosji pokazał zupełny brak przygotowania tej formacji do kierowania państwem. Lenin rozpoczął krwawą wojnę domową, tłumiąc wszelkie oznaki protestu w tym intelektualną i polityczną opozycję. W takiej atmosferze pojawiły się pierwsze sowieckie obozy pracy.

Obozy pracy, w leninowskiej wyobraźni, miały być formą karania wrogów rewolucji, szeroko rozumianego, burżuazyjnego „elementu”, wroga klasowego, który stał się kategorią stojącą u szczytu „przestępczej” drabiny. W maju 1918 roku obwieszczono tzw. „dekret o łapówkach”, według którego karano za łapówkarstwo, ale tylko tych, którzy należeli do klas posiadających. Wkrótce wykształcił się swoisty podział więźniów na kategorie: „politycznych” i „kryminalnych”. Bez względu na przynależność do powyższych grup, więźniowie umieszczani byli w sowieckich więzieniach, co nieuchronnie doprowadziło do niewyobrażalnych przeludnień. Bolszewicy potrzebowali innego sposobu na eliminację prawdziwych wrogów sowieckiego reżimu. W czerwcu 1918 roku, przywódca Armii Czerwonej Lew Trocki umieścił w obozie koncentracyjnym buntujących się czeskich jeńców wojennych, tym samym tworząc „więzienia pod gołym niebem” dla „podejrzanych elementów”. Traktat z Brześcia Litewskiego, kończący rosyjski udział w wojnie, zakładał uwolnienie wszystkich jeńców wojennych, udostępniając miejsce w opustoszałych obozach.<sup>13</sup>

Wsierossijska Czieriezwyczajna Komissija po Bor’bie s Kontrirewolucyjej i Sabotażom (CzeKa), tajna, leninowska policja, doskonale spełniała zadanie wyłapywania i osadzania w obozach „elementów” antyrewolucyjnych. Wraz z momentem nastanie tzw. Czerwonego Terroru (we wrześniu 1918 r. jako skutek próby zamachu na Lenina), CzeKa udowodniła swoją wysoką pozycję w bolszewickim reżimie. W jednym z pierwszych dekretów o Czerwonym Terrorze widniał nakaz aresztowania przedstawicieli burżuazji, obszarników, przemysłowców, kupców, popów oraz oficerów podejrzewanych o działalność antysowiecką wraz z

<sup>13</sup> A. Applebaum, *GULAG*, Warszawa 2005, s. 36-39.

rozkazem umieszczania ich w obozach koncentracyjnych. I tak przed końcem 1920 roku istniało około 107 obozów.<sup>14</sup>

Początkowe przeznaczenie obozów nie było jasne. Wiele dekretów wskazywało, iż praca była zapłatą za utrzymanie obozów, co wydawałoby się bardzo prawdopodobne, biorąc pod uwagę fakt nieregularności w finansowaniu przez państwo „obozowego” przedsięwzięcia. Coraz większa liczba komendantów obozów zainteresowana była samofinansowaniem, co w rzeczywistości oznaczało praktyczne wykorzystanie więźniów. Chaos organizacyjny uzmysłowił konieczność podziału struktur zarządzających na dwa odrębne piony: komisariat spraw wewnętrznych, który zajmował się więźniami kryminalnymi oraz CzeKa (przemianowywana kolejno na GPU, OGPU, NKWD, MWD i KGB<sup>15</sup>), której podlegał system „obozów specjalnych” lub „obozów nadzwyczajnych”. Obozy rządziły się swoimi, znacznie ostrzejszymi prawami: wyroki zapadały bez udziału sądów, a karą za ucieczkę często była śmierć. Ostatecznie doszło do połączenia obydwu pionów zarządzających, gdzie nowy system przyjął zasady, obowiązujące w obozach specjalnych. System więzienny określany mianem „specjalnego” dotyczył między innymi popów, urzędników oraz wrogów nowego porządku, ze szczególnym uwzględnieniem tejże „politycznej” kategorii. Przydomek „polityczni” początkowo odnosił się do członków partii niebolszewickich (anarchistów, prawicowych socjaldemokratów, mienszewików), później rozszerzono go o każdego, kto z różnych powodów, nie przyłączył się do rządzącego ugrupowania i nie brał udziału w październikowych wydarzeniach. Jednak mimo sprecyzowanych, leninowskich planów, dotyczących eliminacji więźniów politycznych z życia rewolucyjnej Rosji, grupa ta była szczególnie niewygodna w kontrolowaniu. Większość z niebolszewickich partii posiadała kontakty zagraniczne. Dodatkowo doszło do reaktywowania Politycznego Czerwonego Krzyża, jako organizacji pomocy więźniom, która psuła bolszewikom reputację na Zachodzie. Przebywający w obozach członkowie ugrupowań niebolszewickich sprawiali komendantom wiele problemów, żądając gazet, książek, spacerów, wolnej korespondencji. Nie dostawszy wyżej wymienionych przywilejów, organizowali strajki, utrudniali pracę strażnikom, domagali się wyższych racji żywnościowych lub też w ogóle nie wychodzili do pracy. Władze obozów specjalnych odpowiadały albo represjami (np. rozstrzelanie 540 więźniów obozu w Pietromińsku) lub ustępstwami (np. więzienie Butyrki w Moskwie z

<sup>14</sup> Ibidem, s. 40.

<sup>15</sup> GPU – Gosudarstwiennoje Politiczeskoje Uprawlenie (Państwowy Zarząd Polityczny) od 1922 r., OGPU – Obiedinionnoje Gosudarstwiennoje Politiczeskoje Uprawlenie (Zjednoczony Państwowy Zarząd Polityczny) od 1923 r., NKWD – Narodnyj Komissariat Wnutriennych Dieł (Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych) od 1934 r., MWD – Ministerstwo Wnutriennych Dieł (Ministerstwo Spraw Wewnętrznych) od 1946 r., KGB – Komitet Gosudarstwiennoj Biezopasnosti (Komitet Bezpieczeństwa Państwowego) od 1954 r.



zagranicznymi gazetami, biblioteką oraz możliwością dowolnego poruszania się więźniów po obiekcie). Żadna z zastosowanych taktyk nie odniosła skutku, CzeKa nadal nie była w stanie kontrolować „politycznych”. Dopiero w 1923 roku znaleziono rozwiązanie, którym stały się Sołowki – pierwszy obóz GUŁagu.<sup>16</sup>

### 1.2. Sołowki oraz dalsza ekspansja obozów

Wydaje się, że w tej świetlistej przestrzeni nie ma miejsca na grzech... Przyroda tutejsza jakby jeszcze nie dojrzała do grzechu.

Michał Pryszwin<sup>17</sup>

Kreml Sołowiecki stanowił niegdyś skupisko zabudowań klasztornych i cerkiewnych, wzniesionych w XV wieku. Wraz z nadejściem nowego systemu stał się siedzibą głównego zarządu łagrów, gdzie dodatkowo mieściły się centralne baraki. Sołowki to tylko jedna z wysp, wchodząca w skład tzw. Archipelagu Sołowieckiego. Kolejne to Wielka Mucksałma, gdzie więźniowie hodowali lisy na futra; Anzer – miejsce obozu dla inwalidów, kobiet z dziećmi i byłych mnichów oraz Zajęcza Wyspa, która była miejscem umieszczenia obozu karnego dla kobiet. Historia Wysp Sołowieckich to pięć różnych okresów: przedmonasterski (do lat 30. XV wieku), monasterski (1429-1920), łagrowy (1920-1939) oraz okres obecności na wyspach oddziałów szkoleniowych Północnych Sił Marynarki Wojennej (1939-1957).<sup>18</sup> Jednak to okres obecności na Sołowkach więźniów zapisał się jako czas osobistej tragedii wielu istnień ludzkich. Już w maju 1920 roku na Sołowki dotarła pierwsza partia więźniów.<sup>19</sup>

3 października 1923 roku skonfiskowane klasztory przeszły w ręce CzeKa i przemianowane zostały na „obozy specjalnego przeznaczenia”, później określane mianem Siewiernyje Łagieria Osobowo Naznaczenija (w skrócie SŁON). Wcześniej północne Obozy Specjalne założono już w 1921 roku w Piertomińsku, Chołomogorach i pod Archangielskiem. Jednakże uregulowana gospodarka, murowane budynki, idealne położenie (o 20-40 kilometrów od lądu) Wysp Sołowieckich, uczyniły z nich pierwszy obóz GUŁagu.<sup>20</sup> Tam też, w roku 1926, powstał system przymusowej pracy jako główna metoda reedukacji więźniów.

Obóz sołowiecki charakteryzował się wyjątkowo złymi warunkami bytowymi, olbrzymią przestępczością oraz okrucieństwem - zarówno władz wobec skazanych, jak również więźniów wobec siebie. Strażnicy

<sup>16</sup> A. Applebaum, op. cit., s. 43-46.

<sup>17</sup> A. Sołżenicyn, *Archipelag GUŁag*, t. II, Warszawa 1998, s. 24.

<sup>18</sup> *Polacy w łagrach rosyjskiej północy w świetle relacji, listów i dokumentów*, wybór i oprac. H. Owsiany, Warszawa 2000, s. 181.

<sup>19</sup> A. Applebaum, op. cit., s. 47-49.

<sup>20</sup> A. Sołżenicyn, *Archipelag...*, t. II, s. 28-29.

strzelali do więźniów nie tylko w momencie zbliżenia się do kolczastego ogrodzenia (co uznawane było za próbę ucieczki), ale także gdy niefortunnie skazany zwrócił na siebie uwagę lub stał się przyczyną „złego humoru” wartownika. Zeków (zakliuczonyj – więzień<sup>21</sup>) rozlokowywano w barakach, na drewnianych pryzkach, gdzie można było spać jedynie leżąc na boku. Każdy nowy więzień musiał w niebywale krótkim czasie przyzwyczać się do wszechobecnych pluskiew oraz do natrętnych rojów komarów.<sup>22</sup> Na porządku dziennym był głód i fatalne warunki higieniczne, co skutkowało rozprzestrzenianiem się chorób zakaźnych – m.in. tyfusu. Sołowki znane były także ze stosowania wobec zeków wymyślnych tortur. Często przetrzymywano ich zimą nagich i związanych, w nieogrzewanych dzwonicach cerkwi, zmuszono do siedzenia na tyczkach nie dotykając stopami ziemi przez kilkanaście godzin, karmiono zgnitym mięsem, wyznaczano bezsensowne prace i zadania (np. przenoszenie z miejsca na miejsce śniegu) czy też oblewano wodą na mrozie. Często wspomnianą torturą było tzw. wysyłanie „na komary”. Więźniów wyprowadzano na bagna i przywiązywano do drzewa bez ubrania pozwalając, aby umarli od ukąszeń oraz utraty krwi.<sup>23</sup> Postrach budził karcer obozu sołowieckiego, umieszczony na Górze Siekierskiej (tzw. Siekierka). W karcerze mieściły się żerdzie, na których siedzieli ukarani, próbujący przez cały dzień zachować równowagę, żeby nie spaść. W razie upadku więzień był bity do nieprzytomności przez strażników. Miejscem zabijania skazanych były także, liczące 365 stopni, ciągnące się od cerkiewnego wzgórza, schody. Strącano z nich, przywiązanych do ciężkich polan, zeków, tak, by nie mieli szans przeżycia.<sup>24</sup>

Obok jawnych form okrucieństwa i brutalności, pojawiły się w obozie sołowieckim niebywale elementy kultury i sztuki. W 1923 roku powstał teatr obozowy, później biblioteka, ogród botaniczny, muzeum lokalnej fauny i flory, a także klub. Więźniowie wydawali gazety. Uroczyscie obchodzono sowieckie święta, działała restauracja, a nawet „sklepy”, gdzie ceny były dwukrotnie wyższe niż na wolności.<sup>25</sup>

Obozy SŁON nigdy nie osiągnęły stanu, w którym mogłyby być uznane za samowystarczalne. Nie przynosiły zysku, dodatkowo dopominając się o zwiększenie funduszy. Aby zapobiec przepełnieniom, co jakiś czas ogłaszano amnestie (największą w 1927 roku – zwolniono ok. 50 tysięcy więźniów<sup>26</sup>). Ale dopiero w listopadzie 1925 roku postanowiono

<sup>21</sup> A. Sołżenicyn, *Jeden dzień Iwana Denisowicza*, Warszawa 1989, s. 111.

<sup>22</sup> O. Wołkow, *W otchłani*, Warszawa 1994, s. 60.

<sup>23</sup> Ibidem, s. 63; A. Sołżenicyn, *Archipelag...*, t. II, s. 34.

<sup>24</sup> Ibidem, II, s. 33-34.

<sup>25</sup> Obrót pieniędzmi w łagrach był specyficzny - po przybyciu należało wymienić sowieckie banknoty na książeczki „kwitów”, które używane były we wszystkich obozach GPU dla operacji pieniężnych (Ibidem, t. II, s. 35).

<sup>26</sup> *Łagry. Przewodnik encyklopedyczny*, pod red. N. Ochotna i A. Rogińskiego, Warszawa 1998, s. 18.

utworzyć obozy pracy przymusowej w innych rejonach kraju (m. in. wyspa Sachalin, tereny leżące w ujściu Jeniseju, stepy Kazachstanu oraz tereny wokół miasta Nerczyńsk), a Sołowki posłużyły jako model wzorcowy dla nowego systemu, który zastąpił ostatecznie kompleks sowieckich więzień. Jak stwierdził Aleksander Sołżenicyn: „Tak oto, krok za krokiem, nieznacznie – dzięki instytucji zadań produkcyjnych, uległ rozpadowi początkowy plan stworzenia na wyspach izolowanego Obozu Specjalnego. Archipelag, który narodził się i osiągnął dojrzałość na Sołowkach, jał teraz dawać rakowe przerzuty na terytorium kraju”.<sup>27</sup>

Ewolucja obozów SŁON nastąpiła dzięki osobie Naftalina Aronowicza Frenkla (więźnia, który dzięki awansom stał się naczelnikiem obozów sołowieckich). Wielu pisarzy (m.in. Sołżenicyn) utrzymuje, iż to właśnie Frenkel opracował system przyznawania racji żywnościowych, w zależności od wykonywanej pracy. Więźniów podzielono na grupy A – zdolni do ciężkiej pracy, B – obsługę obozu, C – chorzy oraz D – siedzący aktualnie w karcerze<sup>28</sup> (Anne Applebaum wspominała o podziale więźniów na trzy kategorie – zdolnych do ciężkiej pracy, lekkiej pracy oraz inwalidów<sup>29</sup>). Według przynależności do jednej z tych grup przydzielano odpowiednią ilość pożywienia. System ten doprowadził wkrótce do eliminacji najsłabszych jednostek, którzy nie byli w stanie powrócić do zdrowia z racji niedożywienia, zaś silniejszym więźniom, żywionym dobrze, nie zagrażała śmierć z wycieńczenia lub chorób. Rządy Frenkla zmieniły charakter wykonywanych prac. Zajęto się ciężkimi pracami przy budowie dróg i wyрубie lasu, porzucono „zabawę” w hodowlę zwierząt, zaniechano reedukacji więźniów, zamknięto gazety. Frenkel zniósł także podział na więźniów politycznych i kryminalnych, od jesieni 1925 roku wszyscy skazani na łagry byli potencjalnymi robotnikami.<sup>30</sup>

Rok 1929 okazał się dla całego systemu obozowego przełomowym. Na Sołowki zawitał pisarz Maksym Gorki, który w swoim eseju przedstawił obóz jako nowoczesny kompleks, w którym następuje metamorfoza przestępców w użytecznych obywateli Związku Radzieckiego. Dzieło Gorkiego przyczyniło się do przekonania opinii społecznej o konieczności stworzenia systemu obozów w całym kraju. W tym czasie nastąpiły również ważne dla partii bolszewickiej zmiany – na czele partii umacniała się pozycja Stalina, który powoli zaczynał wprowadzać radykalne zmiany w zarządzaniu państwem. Już w grudniu 1927 roku na XV Zjeździe WKP(b) debatowano nad projektem *Dyrektyw w sprawie opracowania pięcioletniego planu rozwoju gospodarki narodowej*. Dyrektywy zakładały wzrost produkcji przemysłu ciężkiego i lekkiego, transportu i rolnictwa, „aby potrzeby produkcyjne były w zasadzie zaspakajane przez własny przemysł ZSRR”. Nacisk kładziono na rozwój tych gałęzi przemysłu, które zwiększą potęgę ekonomiczną kraju, zwiększą jego możli-

<sup>27</sup> Cyt. za.: A. Sołżenicyn, *Archipelag...*, t. II, s. 50.

<sup>28</sup> Ibidem, s. 69-70.

<sup>29</sup> A. Applebaum, op. cit., s. 62.

<sup>30</sup> Ibidem, s. 63-65.

wości obronne, zmniejszą zależność od świata kapitalistycznego oraz zwiększą technologię rolniczą.<sup>31</sup> Były to przede wszystkim: elektryfikacja, hutnictwo żelaza i metali kolorowych, wydobywanie węgla, ropy naftowej i torfu, przemysł chemiczny, elektrotechniczny, okrętowy oraz wydobywanie platyny i złota. W 1928 roku Najwyższa Rada Gospodarcza zatwierdziła plan zwiększenia nakładów finansowych na przemysł ciężki do końca pięcioletnia o 49,3%. Celem planu pięcioletniego było głównie szybkie uprzemysłowienie ZSRR i przekształcenie go z państwa rolniczo-przemysłowego w przemysłowe.<sup>32</sup> Stalinowski plan industrializacji wymagał wielkich ilości węgla, ropy, drewna i złota. Surowce te dostępne były na Syberii, czy też w Kazachstanie. Zaś więźniowie obozów koncentracyjnych posłużyć mieli jako tania siła robocza.

Również w roku 1929 przyspieszona została kolektywizacja rolnictwa. „Bogaci” chłopcy, zwani kulakami, wywożeni byli na Syberię oraz do Kazachstanu, gdzie dołączali do więźniów przetrzymywanych w obozach. Z powodu przeludnienia, chaosu i braku finansowania ze strony państwa zaistniała potrzeba reformy całego systemu. W roku 1928 Politbiuro powołało komisję, która miała się zająć „obozową” sprawą. W kwietniu następnego roku komisja zaproponowała utworzenie jednolitego systemu obozów, którym zarządzać miało OGPU, a dokładniej Główny Zarząd Poprawczych Obozów Pracy (wcześniej Wydział Specjalny, zajmujący się obozami). Wkrótce nazwę zmieniono na Głównoje Uprawlenie Łagieriej (Główny Zarząd Obozów), w skrócie GUŁag.<sup>33</sup>

Czas świetności GUŁagu przypada na połowę lat 30-tych. W obozach GUŁagu osadzonych było wówczas ok. 300 tysięcy więźniów (ok. 15 tys. w Dałłagu, 20 tys. przy budowie i produkcji w zakładach chemicznych w Wisłagu, w Sibłagu, gdzie budowano sieć kolejową i wycinano drzewa). Jednocześnie OGPU, później przemianowane na NKWD, nieustannie poszukiwało surowców do eksploatacji. Często przedsięwzięcia GUŁagu kończyły się kompletnym niepowodzeniem z powodu zwykłej niedokładności oraz braku planowania, jednak niektóre stały się prawdziwymi imperiami przemysłowymi, tak jak ekspedycja uchtyjska oraz trust Dalstroj.<sup>34</sup>

Ekspedycja uchtyjska wyruszyła w 1929 roku, celem zbadania niezamieszkanego i niezagospodarowanego obszaru. W wyprawie brali udział specjaliści (inżynierowie górnictwa), więźniowie obozu w Sołowkach. Latem tego roku łagiernicy założyli obóz we wsi Czibju, który później stał się miastem Uchta. Transporty więźniów przybywały bezustannie – pod koniec roku 1930 było ich około tysiąca. Z Uchty wyruszały ekspedycje pomocnicze, z których każda w miarę możliwości zakładała nowy łagpunkt, który zajmował się budową kolchozów lub dróg. Lasy republiki Komi zostały także zasiedlone zsyłanymi od 1929 roku przesiedleńcami

<sup>31</sup> KPZR w rezolucjach i uchwałach zjazdów, konferencji i posiedzeń plenarnych KC, t. II, Warszawa 1956, s. 73.

<sup>32</sup> M. Wilk, *Człowiek i stal*, Warszawa 1988, s. 73-86.

<sup>33</sup> A. Applebaum, op. cit., s. 72-75.

<sup>34</sup> Ibidem, s. 94-97.

(głównie kulakami), egzystujących na nieco innych prawach niż więźniowie. W zamiarach przesiedleńcy mieli mieć tzw. czas wolny, w którym uprawialiby ogródki lub hodowali zwierzęta. Nie mieszkali także w ogrodzonych obozach, chociaż wykonywali tę samą pracę co łagiernicy. Racje obozowe przyznawano im tylko na początku, później przesiedleńcy utrzymywali się sami. W 1931 roku ekspedycję nazwano Uchto-Peczorski Obóz Pracy Poprawczej (Uchtpieczłag). Do tego kompleksu zaliczono oprócz Uchtpieczłagu: Uchtizemłag (wydobywano w nim ropę naftową), Ustwymłag (zajmujący się wycinaniem lasu), Workutę i Itnę (wydobywano tam węgiel) oraz Siezeldorłag (zajmujący się budową torów kolejowych). W razie potrzeby budowano także szpitale, szkolono więźniów na felcerów lub pielęgniarki, organizowano kolchozy lub elektrownie. W pierwszej połowie lat 30-tych Republika Komi stała się dobrze zagospodarowanym, samofinansującym się przedsiębiorstwem produkcyjnym, „zatrudniającym” około 18 tysięcy więźniów.<sup>35</sup>

Drugim olbrzymim przedsięwzięciem było zorganizowanie sieci obozów pracy na Kółymie. Miejsce to budziło największą groźbę wśród więźniów ze względu na swój surowy klimat (temperatury spadały nawet do  $-45^{\circ}$ ) oraz ciężkiej pracy przy wydobywaniu złota. Pierwszym komendantem trustu Dalstroj był Eduard Berzin, który za cel swojego urzędowania postawił jak największe wydobycie cennego kruszcu. W związku z tym warunki obozowe nie były surowe, nie panował głód. Więźniowie dysponowali odzieżą, praca trwała maksimum 6 godzin zimą, latem zaś 10 godzin, dostawali również wynagrodzenie pieniężne.<sup>36</sup> Łagiernicy w latach 30-tych zbudowali port oraz samo miasto Magadan, a także szosę wiodącą na północ, wzdłuż której rozsiane były obozy Siewwostłagu. W miejscach gęstego lasu i bagien w bardzo szybkim tempie powstawały domy – GUŁag niósł cywilizację.<sup>37</sup>

Do połowy lat 30-tych wszystkie obozy pracy zarządzane były podobnie jak Sołowki – początkowy chaos, okrucieństwo oraz złe warunki bytowe ustąpiły miejsca ustabilizowanemu systemowi organizacji pracy. Wkrótce powstał Dmitłag (zajmujący się budową kanału Moskwa-Wołga), Sibłag, Dalłag, Szalłag w Uzbekistanie (więźniowie pracowali w kolchozach), Swirłag (zajmujący się wycinką lasu) oraz Karłag w Kazachstanie, gdzie pracowano na roli. W 1934 roku GUŁag funkcjonował jak dobrze naoliwiona maszyna, w Republice Komi wydobywano ropę, a na Syberii uzyskiwano drewno.<sup>38</sup>

### 1.3. Lata trzydzieste - „wielki terror”

Wielki terror – okres w historii ZSRR szeregowego nasilenia terroru w latach 30. XX wieku. W efekcie represji zamordowano miliony niewinnych ludzi, prawie wszystkich

<sup>35</sup> Ibidem, s. 97-104.

<sup>36</sup> W. Szałamow, *Opowiadania kółymskie*, t. II, Gdańsk 1991, s. 179-180.

<sup>37</sup> E. Ginzburg, *Stroma droga*, t. II, Warszawa 1989, s. 114-115.

<sup>38</sup> A. Applebaum, op. cit., s. 104-110.

działaczy partii leninowskiej, oficerów Armii Czerwonej oraz NKWD. Za jego początek uważane jest zabójstwo Kiriowa w grudniu 1934, a koniec najczęściej datowany na 1939. Hasło encyklopedyczne<sup>39</sup>

Związek Radziecki rządzony był twardą ręką przez Józefa Stalina. Charakter przywódcy w dużej mierze decydował o charakterze uprawianej przez niego polityki. W latach trzydziestych Stalinowi zaczęło towarzyszyć uczucie zagrożenia, które mało już go nie opuścić aż do śmierci. Po rozprawieniu się z opozycjonistami, Stalin postanowił pozbyć się podejrzanej grupy osób w obrębie każdej grupy społecznej. Organy NKWD przystąpiły do planowego niszczenia podstawowego personelu partii bolszewickiej. Pierwszy cios wymierzony został w Komitet Centralny WKP(b). Do 1939 roku aresztowano 110 spośród 139 członków i zastępców KC WKP(b). Rozstrzeliwano członków Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych, fala represji przetoczyła się po wszystkich obwodach i republikach ZSRR, aresztowanymi byli członkowie związków zawodowych oraz kadra Armii Czerwonej. Stalin wydał rozkaz aresztowania oraz stracenia tysięcy najlepszych dowódców oraz oficerów wśród wojskowych. Pośród nich znaleźli się Iija Garkawij, Siemion Turowski, Michaił Tuchaczewski oraz szef Sztabu Generalnego Armii Czerwonej – Aleksandr Jegorow, a także marszałek Wasilija Blucher. Represje nie ominęły dowództwa marynarki wojennej oraz kadry wszystkich akademii wojskowych. Ten krok szczególnie zadowolił władze III Rzeszy, w tym czasie planujących inwazję na ZSRR. Wśród najbliższych współpracowników Stalin wyeliminował ówczesnego szefa NKWD Jagodę<sup>40</sup> (rozstrzelano go w 1938 roku) oraz jego zaufanych ludzi – Wsiewołoda Bialickiego oraz Jakowa Agranowa. W 1937 roku zamordowano organizatora pierwszych obozów pracy na Kółymie – Eduarda Berzina.<sup>41</sup>

Osobistości zasiadające w najwyższych organach władzy państwowej, partii oraz armii zwykle skazywane były na śmierć przez rozstrzelanie. Większość jednak aresztowanych otrzymywała wyroki kilku lub kilkudziesięciu lat pobytu w obozach pracy przymusowej. Należały do nich elity radzieckiej myśli naukowej i technicznej, historycy, filozofowie (np. osobisty nauczyciel Stalina, tłumaczący mu zasady dialektyki heglowskiej – Jan Sten), pedagodzy i nauczyciele, językoznawcy, biologowie oraz przedstawiciele zawodów technicznych. Ci ostatni narażeni byli na szczególne represje, gdyż dla Związku Radzieckiego cenna była posiada-

<sup>39</sup> [http://pl.wikipedia.org/wiki/Wielka\\_czystka](http://pl.wikipedia.org/wiki/Wielka_czystka) (20.04.2008).

<sup>40</sup> Gienrich Jagoda – funkcjonariusz policji politycznej i bezpieczeństwa, od 1934 roku szef OGPU, po reorganizacji organów bezpieczeństwa szef NKWD (1934-1936).

<sup>41</sup> R. Miedwiediew, *Pod osąd historii. Geneza i następstw stalinizmu*, t. I, Warszawa 1990, s. 378-420.

na przez nich wiedza. Aresztowano grupę pracowników Instytutu Lotniczego z jego kierownikiem Nikołajem Charłamowem na czele. W więzieniach siedzieli m. in. Andriej Tupolew i Władimir Pietlakow. Aresztowani byli specjaliści w dziedzinie budownictwa, konstrukcji rakiet, uzbrojenia oraz kadra wszelkich gałęzi przemysłu. Represje nie ominęły ludzi sztuki, artystów i pisarzy. W końcu czystki dosięgły zwykłych ludzi – pracowników średniego i niższego szczebla oraz zwykłych robotników, szczególnie pracujących w amerykańskich lub niemieckich zakładach przemysłowych. Przerzedziły się szeregi, niewiele rozumiejącej, ludności wiejskiej. Aresztowaniami karano wszystkie niedociągnięcia w pracy kołchozów i sowchozów (opóźnienie zbiorów, złą uprawę ziemi, brak paszy lub pomór bydła) i traktowano jak działalność kontrrewolucyjną, ze szkodą dla państwa. Skazywano handlarzy, którzy „dopuszczali” się przerw w dostawach towarów. Zdarzały się wypadki posądzania o działalność kontrrewolucyjną dzieci. Surowe represje dotknęły warstwę duchowieństwa - duchowni oraz biskupi wywożeni byli w miejsca odosobnienia, a budynki sakralne burzono, zamykano lub tworzone z nich miejsca o innym przeznaczeniu. Aresztowano także tysiące ludzi wierzących oraz wyznawców różnych, legalnie działających na terenie ZSRR, sekt – baptystów, adwentystów. W roku 1936 NKWD wydało w sumie wyroki śmierci na 1116 osób, rok później było ich 353 680. Liczba rozstrzelanych w 1938 roku wyniosła około 200-300 tysięcy osób. Ogółem przez trzy lata aresztowano ze względów politycznych minimum 5 milionów ludzi.<sup>42</sup>

## 2. Zróżnicowanie i podziały wśród więźniarek

Sama śmietanka przestępczego świata. Wyrzutki, recydywistki, morderczynie, sadystki, mistrzyni perwersji seksualnych [...]. W ciągu sekundy zaczęły terroryzować „frajerów” i „kontrów” – jak nazywali nas, politycznych. Wprawiało ich w zachwyt, że są na świecie ludzie zwani „wrogami ludu”, jeszcze bardziej pogardzani, jeszcze bardziej wyklęci niż one [...].”  
Jewgienia Ginzburg<sup>43</sup>

Społeczność obozowa charakteryzowała się podobnymi cechami jak każda inna ludzka zbiorowość. Widoczne były w niej podziały według różnych kryteriów. Najważniejszym z nich, określającym pozycję więźnia w obozie, było kryterium pochodzenia społecznego, a co za tym idzie – rodzaj wykroczenia, na podstawie którego wydano wyrok.

Więźniowie dzielili się na trzy ogólne kategorie – skazanych za przestępstwa kryminalne („urki” lub „błatni”), polityczne („kontriki”) oraz pospolite („bytowyje”). Jednocześnie żadna z powyższych grup nie

<sup>42</sup> Ibidem, s. 420-435.

<sup>43</sup> E. Ginzburg, op. cit., t. I, s. 169.

stanowiła monolitu. Wśród kryminalistów największymi względami cieszyli się zawodowi przestępcy, mordercy oraz skazani za najgorsze przestępstwa, za nimi plasowali się kryminalni z wyrokami za kradzieże, czy też naruszenie dyscypliny pracy. Niepodzielnie od czasów istnienia obozów pracy w ZSRR to właśnie kryminalni sprawowali władzę. Ten stan rzeczy powodowały dwie zasadnicze przyczyny. Po pierwsze, urkowie w doskonały sposób potrafili przystosować się do życia w fatalnych, łagrowych warunkach. To co dla innych było nie do zniesienia, dla kryminalnych stanowiło chleb powszedni. Po drugie, urkowie byli gwarancją utrzymania w łagrze porządku. Mimo, iż nie pracowali w ogóle lub wykonywali najłżejsze czynności, zapewniali spokój, zastępując tym samym obozową administrację.<sup>44</sup> Większość pamiętnikarzy wspomina kryminalnych jako okrutne, pozbawione ludzkich odruchów istoty. Anatolij Żygulin opisał sytuację, w której dwóch kłócących się o łyżkę więźniów zostało „rozdzielonych” przez wysokiego rangą urkę, w wyniku czego obydwaj zwaśnieni stracili oczy.<sup>45</sup>

Kobiety skazane za przestępstwa kryminalne rządziły barakami oraz brygadami kobiecymi. Były silne, głośnie, odmawiały pracy, przy czym rzadko spotykała je za to kara, gdyż obozowa administracja po prostu się ich bała. Wśród bandytek królowały Rosjanki. Zdarzały się przypadki odsiadywania przez nie któregoś z kolei wyroku. Sam wygląd „urkaczek” zdradzał ich kryminalną przeszłość. Tatuowały uda, piersi lub ręce, zwykle też nie posiadały zębów.<sup>46</sup> Więźniarki kryminalne posługiwały się również wulgarnym językiem, który stawał się jeszcze bardziej poniżający w momencie wybuchania licznych awantur.

Nazwa „urki” oraz „błatni” stosowana była przez więźniów zamiennie, zdarzały się jednak wyjątki rozgraniczające te pojęcia. Grażyna Lipińska napisała:

W celi znajduje się 70 więźniarek politycznych i kilkanaście bytowniczek, ale wszystkie one razem nic nie znaczą wobec kilkudziesięciu kryminalistek, które zajęły lepsze miejsca i terroryzują całą celę. Najbardziej władcze i najwstrętniejsze pośród nich zwą siebie błatnymi albo woronkami, a całą resztę podwładnych sobie kryminalistek – urkami.<sup>47</sup>

Bytowniczkami były kobiety skazane za przestępstwa administracyjne, błatnyje (wory) posiadały wyroki kryminalne.

Politycznymi byli więźniowie skazani na podstawie artykułu 58 kodeksu karnego, traktującego o przestępstwach „kontrewolucyjnych”. W latach Wielkiej Czystki (1937-1938) „polityczni” stanowili około 12-18 % wszystkich skazanych w obozach, w latach II wojny światowej liczba ta wzrosła do 30-40 %, największy zaś odsetek „politycznych” zanotowano w 1946 roku – 60 % (w wyniku

<sup>44</sup> A. Applebaum, op. cit., s. 276.

<sup>45</sup> A. Żygulin, *Czarne kamienie*, Warszawa 1992, s. 202.

<sup>46</sup> B. Skarga (W. Kraśniewska), *Po wyzwoleniu... 1944-1956*, Poznań 1990, s. 114-115.

<sup>47</sup> Cyt. za.: G. Lipińska, *Jeśli zapomnę o nich...*, Warszawa 1990, s. 284.



amnestii ogłoszonej dla więźniów kryminalnych), ostatecznie ich liczba ustabilizowała się do 25 % pod koniec epoki stalinowskiej.<sup>48</sup>

Więźniowie polityczni w większości mieli niewiele wspólnego z zarzucanymi im czynami kontrrewolucyjnymi. Byli oni zwykłymi ludźmi, którzy padli ofiarą nadmiernej podejrzliwości władz. Beata Obertyńska napisała:

Dostał się nam chyba najspokojniejszy kąt celi [...], gdzie zgrupowały się same „polityczne” i „ograniczniki” – osoby, które nigdy dotąd nie miały z więzieniem nic do czynienia, a które obecnie pod byle pozorem za to aresztowano, że przynależą do zamożniejszej warstwy społecznej tej, którą Sowiety – wytepiwszy doszczętnie u siebie – postanowiły z kolei wytepić i na okupowanych terenach Polski.<sup>49</sup>

Rozporządzenie Jeżowa (ówczesnego szefa NKWD) z 2 października 1937 rozszerzało kategorie osób aresztowanych na żony skazanych oraz dzieci powyżej lat 15, które uznano za „społecznie niebezpieczne”. Spowodowało to lawinowy napływ wyżej wymienionych osób do więzień i obozów, co poskutkowało ich przepełnieniem. Jeżow zmuszony był do zmiany części rozporządzenia i nakazanie wysiedlania żon skazanych i dzieci z dotychczasowych miejsc zamieszkania.<sup>50</sup> Jerzy Głowala wspominał o sytuacji zwiększenia się liczby kobiet w obozie spowodowanej skazaniem ich w ramach zbiorowej odpowiedzialności. Kobiety te bezpośrednio niczym nie zawiniły, były zaś matkami, córkami, siostrami lub krewniaczkami skazanych za kolaborację z Niemcami.<sup>51</sup>

Artykuł 58 podzielony był na szereg paragrafów, z których najłagodniejszy wyrok gwarantował paragraf 10 – „agitacja antysowiecka”. Więźniów skazanych według tego przepisu nazywano „gadulami” – opowiedzieli antypartyjny dowcip lub w nieodpowiednim towarzystwie skrytykowali Stalina. Za „działalność kontrrewolucyjną” więźniowie dostawali wyższe wyroki, zaś za „kontrrewolucyjną działalność terrorystyczną” groził największy wymiar kary.<sup>52</sup>

Oprócz więźniów kryminalnych oraz politycznych największą społeczność stanowili skazani za przestępstwa pospolite. Były to drobne kradzieże, oszustwa, pobicia. Niektóre „zbrodnie” w innych krajach nigdy nie byłyby uważane za złamanie prawa (spóźnienia do pracy w fabryce lub kradzież obuwia na bazarze). Kobiety skazane za przestępstwa pospolite były głównie złodziejkami, paserkami lub prostytutkami. Zachowywały się niezwykle głośno, toczyły kłótnie o każdą najmniejszą rzecz, gardziły

<sup>48</sup> A. Applebaum, op. cit., s. 282.

<sup>49</sup> Cyt. za.: M. Rudzka (B. Obertyńska), *W domu niewoli*, Rzym 1946, s. 40.

<sup>50</sup> *Polacy w łagrach rosyjskiej północy...*, op. cit., s. 300.

<sup>51</sup> J. Głowala, *Purga. Wśród więźniów i zesańców w ZSRR 1945-1955*, Warszawa 1990, s. 109.

<sup>52</sup> E. Ginzburg, op. cit., t. I, s. 52.

więźniarkami politycznymi, jednak nie były dla nich bezpośrednim zagrożeniem – kończyły się zwykle na złośliwościach i zaczepkach.<sup>53</sup>

Odrębną kategorię więźniarek stanowiły tzw. monaszki. Kobiety te należały do różnego rodzaju rosyjskich sekt protestanckich. Odmawiały jakiegokolwiek współpracy z administracją obozową, nie wychodziły do pracy, nie nosiły ubrań oznaczonych numerami (numery malowano im na plecach, natomiast na apele stawiały się nago). Monaszki (zakonnice, mnieszki) trzymały się na uboczu, mieszkaly w jednym baraku, często śpiewając religijne pieśni lub modląc się. Pozostali więźniowie odnosili się do członków sekt z nienawiścią, spowodowaną odmawianiem przez nich pracy, a co za tym idzie zaniżanie norm.<sup>54</sup>

Swoistego podsumowania kategorii więźniarek dokonała Beata Obertyńska:

Mam tu przed oczyma dosłowny przekrój całego społeczeństwa, począwszy od różnorodnego typu złodziejek, prostytutek, dzieciobójczyń i paserek – poprzez wszystkie szczeble socjalne - po czcigodną, siwą matronę włącznie! Cóż kiedy ten wrzask, ten wrzask, ten nieustający wrzask, tak człowieka ogłupia, że w ogóle przestał myśleć.<sup>55</sup>

## • Poranek

### 1. Budzenie i toaleta

W uszy wdziera się piekielny hałas gongu – nabatu, zrywając obóz na równe nogi. Krótka, biała noc ustępuje pod naporem wstającego słońca, co dla pluskiew i owadów jest hałasem zawieszenia broni i co pogryzieni, drapiący się ludzie wykorzystują bez zwłoki.

Krystyna Lubieniecka-Baraniak<sup>56</sup>

Dzień każdego więźnia radzieckich obozów pracy (w tym również kobiet) rozpoczynał się tak samo. Budzenie w większości przypadków odbywało się przy użyciu tzw. gongu. Gong tworzył żelazny łom (niekiedy szyna kolejowa), którego uderzenia o miedzianą blachę wywoływały głośny i przenikliwy dźwięk. Odgłosy gongu, doskonale słyszalne w najdalszych nawet miejscach pracy, podzielone były na etapy. Pierwszy oznaczał czas wstawania, drugi wyznaczał czas wyjścia do pracy, trzeci określał przerwę na obiad, czwarty jej koniec, ostatni zaś koniec pracy i powrót do obozu.<sup>57</sup>

<sup>53</sup> M. Rudzka (B. Obertyńska), op. cit., s. 40-47.

<sup>54</sup> A. Applebaum, op. cit., s. 294-295.

<sup>55</sup> Cyt. za.: M. Rudzka (B. Obertyńska), op. cit., s. 41.

<sup>56</sup> K. Lubieniecka-Baraniak, *Sybirski Odyseja*, Warszawa 2004, s. 120.

<sup>57</sup> Ibidem, s. 127.

W innych obozach gong oznaczał szybkie wyjście przed baraki w pełnej gotowości pójścia do pracy około godziny 5-6. Do tego czasu należało wykonać wszystkie poranne czynności: umycie się (tylko pod warunkiem posiadania własnej miski), sprzątnięcie pryczy (w niektórych wspomnieniach pojawiły się czynności służące zamaskowaniu rzeczy, które mogłyby być skonfiskowane lub ukradzione), udanie się do stołówki celem odebrania przydzielonego posiłku oraz oczyszczenie paleniska pieca (zimą) lub przygotowanie drewna do łaźni (czynności te wykonywali wyznaczeni dyżurni).<sup>58</sup>

Gong nie był zwykłym wyznacznikiem czasu w obozowym życiu. Owszem, pełnił rolę zegara, lecz jego dźwięk traktowano wręcz z namaszczaniem. Nie liczone godzin pracy, mimo, iż były z góry wyznaczone. Przed usłyszeniem gongu żadna brygada nie miała prawa odejść od stanowiska pracy. Zofia Tarkocińska wspominała o sytuacji, w której obozowiczki udały się do stołówki po 8 godzinach pracy, wyznaczonych przez zegarek, a nie gong. Drzwi stołówki były zamknięte, a komendant obozu powitał je tymi słowami:

Żadnych zegarków! Rozumiecie? Żadnych. Żaden zegarek nie jest zegarkiem, żaden zegarek nie wyznacza zakończenia pracy! Dla was zegarkiem jest gong. Gong, który dźwięczy na początek i na zakończenie waszej pracy. [...] Nie wy jesteście tutaj od ustalania godzin. Zrozumiano?!<sup>59</sup>

Wcześniejsze ukończenie pracy również nie było powodem do powrotu przed gongiem. Uprzątnięcie drogi z konarów i gałęzi zajęło dziewczętom jednej z brygad kobiecych mniej czasu, co wobec dokuczliwego mrozu, skłoniło je do powrotu do obozu. Za samowolne opuszczenie pracy zostały ukarane - potrącono im 75 % zarobku przez okres półroczny.<sup>60</sup>

Gong często zastępowany był syreną. Jej pierwszy odgłos budził więźniów. Obozowicze udawali się do stołówki po wyznaczoną żywność, korzystali z latryn lub załatwiali inne sprawy. Na dźwięk drugiej syreny więźniowie ustawiali się na apel - tak rozpoczynał się dzień roboczy.<sup>61</sup>

Innym, bardziej pracochłonnym sposobem budzenia, były osobiste wizyty członka administracji obozowej. Zazwyczaj wyznaczano jednego brygadiera na jeden barak. Obowiązkiem tej osoby było postawienie wszystkich obozowiczek „na nogi” o wyznaczonej godzinie. Beata Rudzka napisała: „Zatem o czwartej rano budzi nas co dzień brygadier. Wpada do „pałatki” i póty jej nie opuszcza, póki wszystkie z nar się nie zwłoka”.<sup>62</sup>

<sup>58</sup> Wywiad z Zofią Helwing, 19 kwietnia 2008.

<sup>59</sup> Cyt. za.: Z. Tarkocińska, *Ociosani*, Wrocław 1996, s. 59.

<sup>60</sup> K. Lubieniecka-Baraniak, op. cit., s. 162.

<sup>61</sup> A. Applebaum, op. cit., s. 196.

<sup>62</sup> Cyt. za.: M. Rudzka (B. Obertyńska), op. cit., s. 163.

„Na środku w podłodze dziura, przez którą widać ziemię i tory – jest to prowizoryczna ubikacja bez żadnej osłony” – tak o toalecie napisała Barbara Piotrowska-Dubik.<sup>63</sup> Dzisiejsze rozumienie słowa „toaleta” wskazuje zwykle na dwa znaczenia tego pojęcia – toalety w sensie ubikacji, miejsca załatwiania potrzeb fizjologicznych oraz toalety jako czynności pielęgnacyjnej, mycie się. W sowieckich łagrach drugie znaczenie słowa toaleta było niespotykane (lub w postaci łaźni – bani, której częstotliwość bywała bardzo mała), warunki higieniczne w obozach pracy były nadzwyczaj złe. Nie inaczej przedstawiał się obraz toalet.

Z ubikacjami więźniowie spotykali się już podczas transportu. Wagony bydłące „wyposażone” były w dziurę w podłodze służącą za klozet. Transportowani ludzie wypróżniali się na oczach współpodróżujących, niekiedy próbowano ustawiać parawan wokół „toalety” lub wyznaczać dyżurnych do jej oczyszczania, co w obliczu złego pożywienia, brudnej wody i zmieniającego się klimatu, było nierealne (problemy gastryczne pasażerów powodowały uciążliwe biegunki lub wymioty).<sup>64</sup> Niektóre kontyngenty ładowane były do wagonów towarowych, gdzie „w ścianę [...] wmontowano czworokątną „rurę” z desek służącą do załatwiania potrzeb fizjologicznych”.<sup>65</sup>

W obozie widok oraz korzystanie z toalet było równie uciążliwe oraz upokarzające. Zazwyczaj obozową latrynę tworzył wykopany w ziemi rów oraz umieszczona nad nim żerdź, na której musiał przykucnąć więzień. W zależności od inwencji samych korzystających z toalety zależało jej obudowanie, chroniące przed niepożądanymi spojrzeciami lub podział na część damską oraz męską.<sup>66</sup> Korzystanie z tego rodzaju „toalet” było niezwykle niebezpieczne. Zimą oparte na brzegach rowu deski były śliskie do tego stopnia, że trzeba było posypywać je popiołem. Latryny służyły także za miejsce porzucania, zamordowanych wcześniej w obozowych parachunkach, więźniów.<sup>67</sup>

Najpełniej oddający opis obozowych latryn umieściła jednak w swoich wspomnieniach Beata Obertyńska:

Ach! Ta niezapomniana „uborna”! Przybytek ohydy, bezwstydu i naszej udreki! Jest to szopa długa na kilkanaście metrów, od strony sadu prawie zupełnie otwarta. [...] Środkiem biegnie rów głęboki a nad rowem chybotliwe deski, z wąską szczeliną po środku. Deski te – o ile nie są złamane – są tak sprężyste, że trzeba dobrze się trzymać, aby nie stracić równowagi, gdy ktoś drugi na nie wchodzi. Po prostu złowroga huśtawka nad kloacznym dołem! Wszystko zaś razem zalane, zamazane, upaprane chlorem i czymś innym oczywiście, jest tak śliskie, że każdy nieuważny krok grozi wywróceniem się.<sup>68</sup>

<sup>63</sup> B. Piotrowska-Dubik, *Kwiaty na stepie. Pamiętnik z zesłania*, Warszawa 1997, s. 27.

<sup>64</sup> M. J. Łęczycka, *Zsyłka. Lata 1940- 1946 w Kazachstanie*, Wrocław 1989, s.13.

<sup>65</sup> D. Rogut, *Polacy na Wileńszczyźnie z obozach sowieckich „saratowskiego szlaku” (1945-1949)*, Toruń 2003, s. 66.

<sup>66</sup> Wywiad z Zofią Helwing i Jackiem Malko, 19 kwietnia 2008.

<sup>67</sup> B. Skarga (W. Kraśniewska), op. cit., s. 112; J. Głowala, op. cit., s. 153.

<sup>68</sup> Cyt. za. M. Rudzka (B. Obertyńska), op. cit., s. 113.

## • Południe

### 1. Praca

Przez trzy dni usiłowałyśmy z Galą dokonać niemożliwego. Biedne drzewa! Jak one musiały cierpieć, ginąc z naszych niewprawnych rąk! My – nie-doświadczone i półżywe - jakże miałyśmy obalić kogoś drugiego. Siekierka ześlizgiwała się, obsypując twarz drobną drzazgą. Piłowałyśmy kurczowo, nierytmicznie. [...] Piła co chwilę zaciskała się. Ale najgorszy moment nadchodził, kiedy podcięte drzewo nareszcie gotowe było upaść, a my nie wiedziałyśmy, w którą stronę się przechyliła.”

Jewgienia Ginzburg<sup>69</sup>

Nie bez powodu sowieckie obozy są nazywane obozami pracy. Praca była ich główną funkcją, w głównym stopniu wpływała na organizację obozowego życia. Ze względu na wykonywaną pracę więźniów mógł cieszyć się dobrym lub złym zdrowiem, większą lub mniejszą racją żywnościową. Wykonywano nie tylko typowe prace fizyczne przy budowach dróg, w kopalniach cennych kruszców, przy wyrębie lasu, na roli lub też przy innych inwestycjach gospodarczych Związku Radzieckiego. Cenni ze względu na swoje doświadczenie skazani zajmowali się projektowaniem nowych typów samolotów, rakiet balistycznych, nowych technologii wojskowych lub obsługiwali elektrownie jądrowe. Naukowców zamknięto w obozach zwanych „szaraszki”, gdzie wykorzystywano ich specjalistyczną wiedzę techniczną.<sup>70</sup> „Szaraszki” budowano za Uralem, często w miejscach, których nie było na mapie.<sup>71</sup>

Rodzaj wykonywanych prac różnił się w zależności od obozu. Te o lżejszym reżimie były głównie związane z jednym zakładem produkcyjnym. Kierowano tam więźniów z karą poniżej trzech lat. Większe obozy posiadały rozwiniętą działalność gospodarczą, kierowały pracami w elektrowniach, kopalniach, cegielniach, na placach budowy. Więźniowie z długimi wyrokami kierowani byli do różnego rodzaju prac, w zależności od ich aktualnej sytuacji życiowej w obozie. Wspomniany przez Anne Applebaum Leonid Sitko pełnił w ciągu jedenastu lat funkcję spawacza, kamieniarza, pracownika budowlanego, tragarza, górnik oraz cieśli.<sup>72</sup>

Po przybyciu do obozu i przejściu okresu kwarantanny zeków przydzielano do pracy. Zdecydowaną większość kierowano do robót ogólnych – ciężkiej fizycznej pracy, garstkę więźniów, trudniących się zawodami przydatnymi dla łagru (inżynierowie budowlani, chemicy itd.) wykorzystywano do pracy intelektualnej. Wśród więźniów znajdowali

<sup>69</sup> E. Ginzburg, op. cit., t. I, s. 194-195.

<sup>70</sup> M. Wojciechowski, *Sołżenicyn opowiada z za kadru o stalinizmie*, <http://www.gazetawyborcza.pl/1,75248,3275855.html> (5.04.2008).

<sup>71</sup> Wywiad z Jackiem Malko, 19 kwietnia 2008.

<sup>72</sup> A. Applebaum, op. cit., s. 218.

się także tzw. „pridurki” – więźniowie funkcyjni, często donosiciele, współpracujący z administracją obozową, dzięki czemu unikali najcięższej pracy.<sup>73</sup> Skierowani do robót ogólnych zekowie grupowani byli w brygady, liczące w zależności od wykonywanej pracy, od 4 do 400 więźniów (zazwyczaj jednak była to liczba nie przekraczająca 50).

„Brygadzysta w łagrze jest wszystkim, dobry brygadzysta drugie życie ci podaruje, przy złym nogi wyciągniesz”<sup>74</sup> – tak funkcję brygadzysty opisał Iwan Denisowicz, bohater opowiadania *Sołżenicyna*. Istotnie, z licznych wspomnień wynika, że brygadzysta, jako człowiek o podobnej pozycji co obozowa administracja, mógł uczynić wiele dobrego dla swoich podopiecznych (m.in. przekupić kucharzy lub krajaczy chleba). Jednak wykorzystując swoją uprzywilejowaną pozycję mógł także sprawić, że jego brygada głodowała (zaniżając wykonanie normy). Więźniowie, jeśli było to możliwe, próbowali sami decydować, kto będzie brygadystą. Władzom obozowym było obojętne, kto kieruje brygadą, interesowała ich głównie wykonana norma pracy. Stąd też brygadystą zostawał często starosta wagonu. Wiktoria Kraśniewska napisała:

Brygadierkami zostały porządne dziewczyny, trochę Rosjanek, wiele Ukraińek, jedna Polka. Na ogół były inteligentkami i trzeba przyznać, że dzielnie walczyły, aby nie dać zmarnować ludzi.<sup>75</sup>

„Norma” stanowiła w łagrze świętość. Dzięki jej wykonaniu plan produkcji łagru zostawał wypełniony. Normą mogła być ilość ściętego drzewa, głębokość wykopanego rowu, liczba wypalonych cegieł lub długość zbudowanej drogi. Od wykonania normy zależał przydział żywności. Słowa majstra nadzorującego pracę przy wykopach, we wspomnieniach Zofii Tarkocińskiej, doskonale zobrazowały siłę „normy”:

Co to, dziewczyny!?! Przerwę robiecie? Siedzenia wam się zachciewa? A norma gdzie? Już czas kończyć, a normy nie widać! Kto nie wykonuje normy, ten nie dostaje pełnego przydziału żywnościowego! Uwzględnijcie to! To nie są żarty. Tutaj też jest front! Tylko front pracy!<sup>76</sup>

Więźniowie z brygad wyrabiających więcej niż 100% normy dostawali dodatkowe jedzenie. Brygada Wiktorii Kraśniewskiej, pracująca w cegielni nie schodziła poniżej 130%, wobec czego otrzymywała do podstawowego posiłku kaszę z mięsem, cukier i chleb.<sup>77</sup> Same „normy” nie sprawiałyby zekom problemu, gdyby nie ustalanie ich na nieprawdopodobnie wysokim poziomie. Z trudem wypracowana „norma” ulegała w krótkim czasie podniesieniu, co wynikało ze specyfiki funkcjonowania pionu gospodarczego ZSRR, zakładającego coroczny wzrost produkcji.

<sup>73</sup> Pridurok – slangu rosyjskim znaczy „przygłup”, więzień funkcyjny.

<sup>74</sup> Cyt. za.: A. Sołżenicyn, *Jeden...*, op. cit., s. 29.

<sup>75</sup> Cyt. za.: B. Skarga (W. Kraśniewska), op. cit., s. 91-92.

<sup>76</sup> Cyt. za.: Z. Tarkocińska, op. cit., s. 282.

<sup>77</sup> *Ibidem*, s. 95.

Jedynym sposobem sprostania zawyżonym liczbom było oszukiwanie, czego dopuszczali się zarówno więźniowie, jak i władza łagru.

Zdecydowana mniejszość więźniów starała się pracować uczciwie. Niektórzy robili to z pobudek patriotycznych, inni chcieli jedynie wyrobić normę i stać się przodownikami pracy, zdobywając przy tym większą rację żywnościową. Istniały brygady, w których praca była marzeniem niejednego skazanego. Jednakże takie grupy nie tolerowały słabych jednostek. Zek nie wytrzymujący tempa zmuszony był do opuszczenia brygady. Normy obliczane zespołowo likwidowały poczucie solidarności więziennej, zastępując ją nieludzką pogonią za procentami.<sup>78</sup> Więźniowie „zaharowywali” się na śmierć, aby tylko wypełnić normę. Twierdzenie, iż więzień w zdecydowanej większości przypadków nie mógł przetrwać, bazując na własnej pracy, potwierdzić mogą słowa Solżenicyna:

Słuszne to przysłowie: większa pajka<sup>79</sup> chleba przyznawana przodownikom ludzi gubi. Najsilniejszy drwal wykańcza się w ciągu jednego sezonu przy wytażaniu ściętych pni. Wówczas przyznany zostaje mu status tymczasowego inwalidy: 400 gramów chleba i najgorszy kocioł. Zimą większa ich część umiera (no, powiedzmy 725 na 800). Pozostali przenoszani są do „lekkich prac fizycznych” i umierają nieco później.<sup>80</sup>

Sposobem na sprostanie normom pracy (oraz innym codziennym sprawom) była tufta – oszustwo oraz błat – układy. Nie sposób było bez nich przetrwać. Wręcz absurdalne normy powodowały, że system przekształcał ludzką mentalność. Aby przeżyć należało przekreślić zasady moralne i zacząć „kombinować”. Sposobów na oszukanie systemu było wiele. Wspomniana przez Anne Applebaum Halina Strożuk pracowała w wytwórni konserw. Jedyną formą wypełniania zawyżonych norm było pakowanie do puszek nie wszystkich, ale dwóch kawałków ryb. Walerij Fred wraz ze swoją brygadą budował łaźnie. Tam nauczył się jak upychać w szpary ścian mech zamiast zaprawy, tak by brygadzista tego nie zauważył.<sup>81</sup> Jewgienia Ginzburg, zaraz po rozpoczęciu pracy przy piłowaniu drzewa, nauczyła się jak wykonywać nałożony na skazanych plan: należało do odciętych przez siebie sągów dołożyć drzewo, przygotowane przez poprzednie etapy i odpowiednio je „przygotować” (spiłować tylko pociemniałą część). Czynności tej nadano nazwę: „odświeżanie kanapek”.<sup>82</sup> Tufta bez błatu istnieć jednak nie mogła. Władzę zmieniania liczb w statystykach posiadali brygadziści, wobec czego tufta najlepiej udawała się na poziomie całej brygady roboczej. Dlatego też ważną rzeczą było posiadanie dobrego brygadzisty, dobrego znaczy umięjącego

<sup>78</sup> G. Herling-Grudziński, *Inny świat*, Warszawa 1989, s. 56-57.

<sup>79</sup> Pajka – porcja chleba, kromka.

<sup>80</sup> Cyt. za.: A. Solżenicyn, *Archipelag...*, op. cit., t. II, s. 183.

<sup>81</sup> A. Applebaum, op. cit., s. 336-337.

<sup>82</sup> E. Ginzburg, op. cit., t. I, s. 196-197.

zorganizować zbiorowe oszustwo. Tuftę i błat panujące w obozach trafnie podsumowała Wiktoria Kraśniewska:

Jak wykonać plan wyrębu drzewa, skoro normy są wysokie, ludzie słabi, piły tępe, dzielanki odległe czasem i o dwie godziny drogi, komunikacji żadnej, śnieg powyżej pasa. Co miał robić planowik w Uchcie, ażeby nie zostać posądzonym o brak organizacji pracy, o niedbalstwo, nawet o umyślny sabotaż? Był skazany na pomoc najpierw zaopatrzeniowca w centrali, aby zdobyć lepsze topory i choć jedną elektryczną piłę, był skazany na fałszywe raporty z wyrębu, musiał podczas kontroli przymykać oczy na sągi, wyraźnie stawiane na pniach i na kupie ziemi, udawać, że nic nie wie o do połowy naładowanych wagonach. Zanim je rozładują, można będzie powiedzieć, że je rozkradziono w czasie drogi i niech się kolej tłumaczy. On plan wypełnił na 100 z górą procent.[...] Oszukuje zek, przymyka na oszustwo oczy prorab, dodając jeszcze coś od siebie, przymyka oczy dyrektor przedsiębiorstwa, kombinatu, republiki, aż do Moskwy w górę wyniki rosną, procenty biją rekordy, tylko produktów nie przybywa, gdzieś, nie wiadomo gdzie, topią się one wraz z przygrzanym wiosennym słońcem śniegiem.<sup>83</sup>

Jednym z kilku czynników utrudniającym wykonanie normy była pogoda. Najgorzej przedstawiała się sytuacja w obozach, położonych na Dalekiej Północy (Kołyma, Workuta, Norylsk). Zimą średnia temperatura wynosiła minus 35 stopni, bywały jednak okresy, że dochodziła do minus 45, 50 stopni. Lato arktyczne, chociaż krótkie, męczyło z kolei wysokimi temperaturami (do plus 30 stopni), zamieniając ziemię w bagno i powodując wylęganie olbrzymich rojów komarów. Rekordowo niskie temperatury zimą zmuszały więźniów do trwania w ciągłym ruchu, chwilowy zastój powodował powstawanie licznych odmrożeń. Zekowie pilnowali, aby nie dotykać gołym ciałem żadnych metalowych przedmiotów, gdyż przymarzała do nich skóra. W tych warunkach śmiercią groziło wyjście do latryny, nie wspominając o ciężkiej, fizycznej pracy.<sup>84</sup> Zimowa pora była uciążliwa zwłaszcza dla więźniów pracujących w kopalniach. Co prawda pod powierzchnią temperatura była znacznie wyższa, jednak bezustannie ze stropów lała się lodowata woda. Górnicy, stojący w takim „arktycznym basenie” wychładzali gruntownie swoje ciało. Pracowali w kopalniach zwykle parę miesięcy po czym zapadali na rozmaite choroby i umierali.<sup>85</sup> Zdarzały się także burze śnieżne (buriany), które dla kilku skazanych, wracających z pracy, kończyły się śmiercią. Ich ciała odnajdywano dopiero wiosną, często kilkadziesiąt metrów od obozowych bram.<sup>86</sup> Rzadko jednak zdarzały się zwolnienia z pracy spowodowane zbyt niską temperaturą. Zofia Tarkocińska opisała sytuację, w której jedna z dziewcząt, pracujących w młodzieżowej brygadzie, oceniła temperaturę na 40 stopni poniżej zera (ślina, którą splunęła momentalnie zamar-

<sup>83</sup> Cyt. za.: B. Skarga (W. Kraśniewska), op. cit., s. 89-90.

<sup>84</sup> J. Bardach, K. Gleeson, *Człowiek człowiekowi wilkiem. Przeżyłem Gulag*, Kraków 2002, s. 254.

<sup>85</sup> A. Applebaum, op. cit., s. 223.

<sup>86</sup> J. Bardach, K. Gleeson, op. cit., s. 252-253.



zła na sopel). Cała brygada wróciła do obozu. „Winowajczyni” została ukarana za samowolne opuszczenie stanowiska pracy.<sup>87</sup> Prace w brygadach leśnych należały zimą do niezwykle ciężkich. Samo oddychanie powodowało unoszenie się gęstej pary i osiadanie na włosach i rzęsach białego szronu. Młodzieżowe i kobiece brygady, kierowane do lasu, zwykle pełniły funkcje pomocnicze. Na dużym mrozie odkopanie podstawy drzewa spod śniegu, bez odpowiedniej odzieży (zwłaszcza butów i rękawic), z licznymi odmrożeniami kończyn, było morderczą pracą.<sup>88</sup> Lato wydawało się być ocaleniem. Nic bardziej mylnego. Upał dawał się we znaki szczególnie pracującym na roli. Często brakowało wody, co w połączeniu z palącym słońcem i brakiem wiatru czyniło z pracy ciężką harówkę.<sup>89</sup> Uciążliwa bywała praca przy sianokosach z powodu plagi drobniutkich muszek, przed którymi nie chronił nawet „nakomarnik”. Muszki, mimo szczelnego zapinania ubrań, wlatywały pod odzież, kłusząc więźniarki. Jedynym sposobem poradzenia sobie z owadami, było przyzwyczajenie się do nich.<sup>90</sup>

Brygady kobiece w łagrach były przydzielane zazwyczaj do prac „łżejszych”. Prace były jednak niejednorodne, jedne należały do wyjątkowo ciężkich, inne do lekkich. Wszystko zależało od kategorii obozu oraz tego, jaką więźniarka posiadała w nim pozycję. Będąc własnością tzw. obozowego męża lub oddając swoje ciało uprzywilejowanemu kryminaliście (lub pracownikowi administracji obozowej), miała szansę na dostanie lepszej roboty. W obozach pracy o łagodniejszym reżimie prace, wykonywane przez kobiety również nie należały do najcięższych. Brygady pracujące przy wyrębie lasów budziły w więźniarkach największy strach. Na samo miejsce pracy trzeba było chodzić kilka lub kilkanaście kilometrów. Praca była ciężka, fizyczna, wymagała dużo siły. Polegała na piłowaniu piłami lub cięciu drzewa siekierą. Trwała długimi godzinami, z krótką przerwą na niskokaloryczną zupę. Narzędzia powodowały bolesne pęcherze i otarcia, a nade wszystko potężne zmęczenie niedożywionego organizmu.<sup>91</sup> Pracę swoją i swojej matki zapamiętała Zofia Helwing:

Praca polegała na spiłowywaniu drzew w tajdze, gdzie normę obliczano w metrach kubicznych, zajmowała się tym brygada starszych. Brygada młodzieżowa odpiłowywała oraz układała grube konary. Zajmowała się również korowaniem siekierami spiłowanych sosen, świerków i modrzewi. Osobno była spiłowywana brzoza – na krążki grubości około 10 cm. Następnie krążki były rąbane na wymiarowe klocki (ok. 10 x 3 cm). Surowiec ten, zwany urobkiem był gromadzony w skrzyni i wliczany do objętej normą pracy.<sup>92</sup>

<sup>87</sup> Z. Tarkocińska, op. cit., s. 72-73.

<sup>88</sup> K. Lubieniecka-Baraniak, op. cit., s. 167-168.

<sup>89</sup> M. J. Łęczycka, op. cit., s. 111.

<sup>90</sup> M. Rudzka (B. Obertyńska), op. cit., s. 162.

<sup>91</sup> Ibidem, s. 193-194.

<sup>92</sup> Wywiad z Zofią Helwing, 19 kwietnia 2008.

Praca przy karczowaniu pni była równie trudna. Należało oczyścić karczowisko o wymiarach dziesięć na piętnaście metrów. Kobiety i dziewczęta musiały przy pomocy motyki wydobyć splecione korzeniami pnie z ziemi. Do lżejszych robót w lesie należało zbieranie i gromadzenie mchu.<sup>93</sup> Młode dziewczęta często były odpowiedzialne za dostarczanie do obozu opału. Odbywało się to już po godzinach pracy, w półmroku. Dzieci siłowały się z drzewami, dopóki nie przyniosły drewna na opał dla siebie i swoich rodzin, a także dla członków NKWD.<sup>94</sup>

Praca na roli była równie ciężka. Skazane na łagier Loch-Workuta kobiety latem pracowały przy sianokosach. Przy użyciu kosi ścinały wielkie obszary trawy, znosząc muszki popołudniu i komary wieczorem.<sup>95</sup> Plan pracy przy sianokosach był dokładnie sporządzony. Określono normę oraz czas trwania koszenia. Nie uwzględniono niestety, że żaden z więźniów nigdy nie miał w rękach kosi oraz że kosi były całkowicie nieużyteczne jako narzędzia (nieostre i niewyklepane). Podobną „logiką” wykazywała się administracja łagrowa w innych pracach rolnych. Często wysiłek skazanych szedł na marne z powodu marnotrawstwa i złego zarządzania. Opracowany plan zbioru kartofli, według którego więźniowie pracowali po 12 godzin przez 10 tygodni, okazał się bezużyteczny. Z powodu nie przybycia barek (przed przewidzianym ochłodzeniem i mrozami), które miały zebrane kartofle odebrać, praca poszła na marne. Cały zbiór zniszczył mróz.<sup>96</sup>

Budownictwem kobiety zajmowały się rzadziej. Często pracowały w cegielniach, wyrabiając bloki żużlowe. Bywało, że kierowano je systematycznie do aktualnych przedsięwzięć. Wiktoria Kraśniewska pracowała przy budowie nasypu kolejowego. Była to ciężka, fizyczna praca polegająca na kłuciu ziemi kilofem lub wbijaniu w nią klina młotem i wykopywaniu rowu.<sup>97</sup> Zofia Tarkocińska została skierowana do prac przy spławie drewna:

Przygotowujemy długie, niezbyt grube drągi. To nasze nowe narzędzie pracy. Za ich pomocą, stojąc na szczycie ułożonych brewion, należy równomiernie, w dwie osoby, podważając bierwiono osobno, podsunąć do samego brzegu i wówczas podważając po raz ostatni zepchnąć w dół... do rzeki.<sup>98</sup>

Praca ta wymagała wielkiej zręczności i ostrożności. Nieuwagą można było skierować ciężką belkę w nieodpowiednim kierunku i narazić stojącą niżej osobę na niebezpieczeństwo. Wypadek opisany we wspomnieniach Zofii Tarkocińskiej, zakończył się śmiercią koleżanki autorki. Brygady kobiece w liczbie 20 osób pracowały także przy kopaniu rowów pod

<sup>93</sup> K. Lubieniecka-Baraniak, op. cit., s. 126.

<sup>94</sup> J. Czernik-Spyrkowa, *Gorzki miód. kronika pamięci i pejzażu*, Wrocław 1998, s. 215.

<sup>95</sup> Ibidem, s. 189.

<sup>96</sup> A. Kant, N. Kant, *Skazani na zagładę*, Londyn 1990, s. 35-41.

<sup>97</sup> B. Skarga (W. Kraśniewska), op. cit., s. 100-101.

<sup>98</sup> Z. Tarkocińska, op. cit., s. 101-102.

gazociąg Saratów-Moskwa w 1945 roku. Dzienna norma wynosiła około 3,6-4,5 m<sup>3</sup> na osobę. Za pomocą kilofów i łopat należało wykopać w gliniastym podłożu rów o długości i głębokości 2 m. Uciążliwa praca oraz upały powodowały omdlenia przede wszystkim kobiet.<sup>99</sup> Więźniarki pracowały także przy różnego rodzaju rozładunkach. Mimo małej liczby kobiet w obozach na Kołymie zatrudniano je przy rozładowywaniu tytoniu, przywiezionego na okrętach. Pracowały także w magazynach.<sup>100</sup>

W 1930 r. zdecydowano o budowie Białomorsko-Bałtyckiej Drogi Wodnej – największego kompleksu hydrotechnicznego. Specjalistów i inżynierów pozyskano z obozów pracy (zostali wcześniej aresztowani na skutek „szkodnictwa gospodarczego”). W 1931 roku powołano do istnienia BBŁag – Łagier Białomorsko-Bałtycki i skierowano do niego pierwsze transporty więźniów, mających zajmować się budową kanału Białomorsko-Bałtyckiego. Były wśród nich także kobiety. Więźniarki uczestniczyły właściwie we wszystkich pracach: w pralniach, przy wywózce kamienia, przy wylewaniu betonu, w stołówkach, w szpitalach, w warsztatach krawieckich, przy wyrębie lasu. Dodatkowo normy ich pracy nie odbiegały od norm wytyczanych mężczyznom. W sytuacji, gdzie każda para rąk do pracy była potrzebna, nie wahano się zatrudniać do pracy kobiet. Kobiety wzięły ciężkie taczki z kamieniami, zimą oczyszczały wykopy ze śniegu, dźwigały ciężkie betonowe bloki. Mimo zmobilizowania do pracy tak dużego potencjału ludzkiego, w 1933 roku budowie kanału zaczęła grozić zapaść. Administracja łagru postanowiła skorzystać z kobiet, jako niewłaściwie zagospodarowanej siły roboczej.<sup>101</sup> Zapadły decyzje o wyciszeniu przemocy seksualnej stosowanej w łagrze wobec kobiet i wydaniu Zarządzenia nr 54, w którym była mowa także o „opracowaniu i wprowadzeniu w życie sposobów jak najbardziej celowego wykorzystania kobiet w pracach produkcyjnych i w przedsiębiorstwach”.

Wśród prac lekkich dominowały prace porządkowe oraz praca w przemyśle produkcyjnym. Kobiety zatrudniano w fabrykach konserw oraz przetworów owocowo-warzywnych, w kuchniach obozowych bądź fabrycznych, w magazynach odzieżowych. Bywały wykorzystywane do tłumaczenia na język rosyjski korespondencji więziennej, mnóstwo z nich znajdowało zatrudnienie w obozowych lub kolchozowych szpitalach.<sup>102</sup>

## 2. System kar i nagród

Obozy są pomyślane nie tylko jako miejsce eksterminacji i poniżenia istot ludzkich, ale służą również do odrażających eksperymentów na usuwaniu, w naukowo kontrolowanych warunkach, samej spontaniczności jako wyrazu ludz-

<sup>99</sup> D. Rogut, op. cit., s. 85.

<sup>100</sup> J. Siemiński, *Moja Kołyma*, Warszawa 1995, s. 29.

<sup>101</sup> *Polacy...*, op. cit., s. 287-296.

<sup>102</sup> D. Rogut, op. cit., s. 152.

kiego zachowania i na przekształceniu ludzkiej osobowości w zwyczajną rzecz, w coś czym nie są nawet zwierzęta. [...] Stworzenie systemu przywilejów i nagród dla więźniów, których posiadanie lub nie, było nieraz kwestią życia lub śmierci.

Hannah Arendt<sup>103</sup>

Sterowanie oraz manipulowanie człowiekiem są znane od zarania ludzkości. Zmuszając ludzi do wykonywania pożądaných czynności można posługiwać się różnymi technikami. W radzieckich obozach pracy system kar i nagród nie należał do najbardziej skomplikowanych. Generował to głównie sam obiekt manipulacji. Więzień obozu pracy był istotą przede wszystkim znużoną głodem, ciężką pracą i licznymi chorobami. Jego myśli błądziły niemal wyłącznie wokół jedzenia lub sposobu jego zdobycia. Dlatego wystarczyła prosta obietnica dodatkowej porcji chleba, aby uzyskać upragnione zachowanie. Groźba zmniejszenia racji żywnościowej była dla zeków jedną z najsurowszych kar, jednocześnie stając się dla administracji obozowej jedną z najłatwiejszych i najczęściej stosowanych kar w łagrze. System kar i nagród był stosowany na wszystkich szczeblach drabiny hierarchicznej w obozie. Poczynając od najsilniejszego w brygadzie lub baraku więźnia, który mógł postarać się o lepszą porcję bałandy<sup>104</sup> lub poprosić kolegów kryminalistów o pobicie innego zeka, poprzez brygadzystę, który w przyływie złości oddawał jedynie połowę z paczki przysłanej z domu, kończąc na komendancie, który jednym słowem przydzielał jednych do katorżniczej pracy w lesie, a innych do lekkiej w kuchni.<sup>105</sup> Zofia Helwing wspomniała, iż zejście ze stanowiska przed wyznaczonym czasem było zaliczane do sabotażu i podlegało karze, którą zasądzała milicja lub NKWD. Za niewykonywanie wyznaczonej normy karano zmniejszeniem racji żywnościowych. W sowchozach specyficznym rodzajem kary była praca do późnych godzin nocnych.<sup>106</sup> Biorąc pod uwagę korupcję, uprawianą w obozach na wielką skalę, system układów administracyjno-więziennych oraz wszechobecne oszukiwanie „norm” i liczb, system kar i nagród był sprawdzającym się narzędziem sterowania ludzkim zachowaniem.

Jedną z powszechnych kar stosowanych w obozach GUŁagu było osadzanie więźniów w izolatorach karnych – karcercach. Taki własny blok karny posiadał każdy łagpunkt lub ich zespół. Izolator mieścił się poza zoną, jeśli zaś zdecydowano na wybudowanie go w zonie<sup>107</sup> był szczelnie ogrodzony murem. Karcery w większych obozach posiadały cele i zbiorowe i pojedyncze. Więźniowie trzymeni byli w ścisłej izola-

<sup>103</sup> H. Arendt, *Korzenie totalitaryzmu*, Warszawa 1993, t. I, s. 471.

<sup>104</sup> Bałanda – wodnista, obozowa zupa.

<sup>105</sup> B. Skarga (W. Kraśniewska), op. cit., s. 45-46.

<sup>106</sup> Wywiad z Zofią Helwing, 19 kwietnia 2008.

<sup>107</sup> Zona – strefa, w której przebywali więźniowie.

cji, nie wychodzili do pracy, ani na spacer, rekwirovano im papierosy, papier czy zapalki, zakazano odbierania i wysyłania korespondencji. Karcer był podstawową metodą zastraszania więźniów odmawiających pracy (tzw. „otkazczików”) oraz tych, którzy popełnili w łagrze przestępstwo morderstwa lub ucieczki. Powyższe wykroczenia popełniali zwykle kryminaliści w związku z tym karcerzy w większości były wypełnione tą kategorią więźniów. W izolatorze zamykano także specyficzną grupę skazanych – duchownych i sekciarzy, w tym kobiety „mniszki”. W łagpunkcie Potma wybudowano baraki karne dla tych właśnie kobiet. Kategorie odmawiały pracowania, bezustannie się modliły, a karne porcje jedzenia spożywały nie z innymi więźniarkami, ale w swoich barakach. „Mniszki” od czasu do czasu dodatkowo bito, co jednak nie przyniosło skutków. Wkrótce zabrano je z obozu i prawdopodobnie zabito.<sup>108</sup> Jednym z najgorzej wspomnianych przez pamiętnikarzy karcerów był ten na Wyspach Sołowieckich. Franciszek Olechnowicz, przebywający w obozach sowieckich w latach 1927-1933, napisał:

Najczęściej do karceru trafiały kobiety. Nieraz słyhać było dochodzące z korytarza ich histeryczne krzyki, gdy gepiści wlekli je do pomieszczenia pod schodami – wilgotnego, pozbawionego wszelkich sprzętów i o tak niskim pułapie, że stać tam było niemożliwością, można było tylko siedzieć na podłodze.<sup>109</sup>

Sama racja żywnościowa obowiązująca w karcerze była nadzwyczaj niska. Przykładowo: dzienna norma żywności dla więźnia nie wyraźniającego normy wynosiła: 300 gramów „czarnego chleba żytniego”, 5 gramów mąki, 25 gramów gryki lub makaronu, 27 gramów mięsa i 170 gramów kartofli dziennie, dla więźnia zamkniętego w izolatorze było to: 300 gramów „czarnego chleba żytniego”, wrzątek oraz „ciepły posiłek płynny” raz na trzy dni.<sup>110</sup> Również warunki przebywania w karcerze należały do jednych z najgorszych. Janusz Bardach opisuje celę o obślizgłych z wilgoci ścianach, w której na całej podłodze była lodowata woda, zaś służąca za pryczę ława była przegniła i zbyt wąska, żeby leżeć na niej na plecach.<sup>111</sup> Pomieszczenia były bardzo niskie, panowało zimno i wilgoć. Od woli komendanta zależało czy więzień przebywał w celi w ubraniu, czy tylko w samej bieliźnie, czy wychodził na spacer, czy też pozostawał w zamknięciu przez dłuższy czas. O karcerze w specłagu (obozie o specjalnym reżimie) wspomniała Wiktoria Kraśniewska:

<sup>108</sup> A. Kuusinen, *Pierścienie przeznaczenia. Życie Sowieckiej Rosji od czasów Lenina do czasów Breżniewa*, Warszawa 1988, s. 126.

<sup>109</sup> F. Olechnowicz, *Prawda o Sowietach. Wrażenia z siedmioletniego pobytu w więzieniach sowieckich 1927-1933*, Warszawa 1937, s. 65.

<sup>110</sup> A. Applebaum, op. cit., s. 241.

<sup>111</sup> J. Bardach, G. Kathleen, op. cit., s. 233.

Mamy dwa więzienia w więzieniu, karcer i bur. Bur jest lżejszy, zamyka się w nim zaraz po powrocie z roboty i wypuszcza rano prosto na razwod. Pajkę dostaje się normalną, nie karną jak w karcerze. Zawsze też te kilkanaście godzin nie jest się zamkniętym, żyje się z innymi. Specłag wprowadził więc stopniowanie kar. Karcer - to samo dno. Bur trochę lepiej, a normalna zona- niemal sanatorium. Takie bywa odczucie tego, kto przeszedł cały ów więzienny ciąg.<sup>112</sup>

Innym sposobem karania więźniów było ograniczanie im kontaktu ze światem zewnętrznym. W roku 1930 jedna z instrukcji regulaminu więziennego mówiła o nieograniczonej ilości wysyłanych przez i do więźniów paczek i listów. Z roku na rok możliwość wysyłania i odbierania poczty zmniejszała się. W 1939 roku prawo widzeń mieli już tylko więźniowie wyrabiający normy, raz na pół roku. Liczbę paczek ograniczono do jednej w miesiącu. Równocześnie z powyższymi ograniczeniami istniała obozowa cenzura, zatrzymująca wszelką korespondencję, w której poruszano niewygodne sprawy – liczbę więźniów w obozie, regulamin obozowy, pracę wykonywaną przez więźniów lub nazwiska strażników. W latach późniejszych wyłącznie od komendanta zależało czy skazany dostanie paczkę i w jakim będzie ona stanie.<sup>113</sup> Dodatkowo miejsca usytuowania obozów były na tyle niedostępne, że poczta tam po prostu nie docierała. W związku z zaistniałą sytuacją zekowie sami wymyślali sposoby ominięcia cenzury. Gorbatow zdradził sposób wysyłania listu poprzez wyrzucenie, napisanego na bibułkach papierosowych i zalepionego chlebem tekstu, z wagonu transportowego. Do listu dołączano rubla i karteczkę z prośbą do znalazcy o przyklejenie znaczka i wrzucenie listu do skrzynki.<sup>114</sup> Często zdarzały się sytuacje, że listów nie wysyłano, gdyż w obozach brakowało papieru oraz przyrządów do pisania. Instrukcje dotyczące paczek były jeszcze bardziej zaostrzone. Ich otwieranie mogło odbywać się tylko w obecności strażnika, który konfiskował każdą, zakazaną rzecz. Paczki pozostawione w magazynie narażone były na kradzież, dlatego wszystko, co dostawali więźniowie należało od razu spożyć.

### 3. Bunt i ucieczka

Znaleźliśmy się teraz na korytarzu między dwoma palisadami, którymi krążyły patrole. [...] Jak oszaleli skakaliśmy jeden przez drugiego poprzez ostatnie zasieki u stóp drugiej palisady. Powstawaliśmy prawie bez tchu i sprawdziliśmy, że wszyscy są po drugiej stronie, zaczęliśmy biec.

Sławomir Rawicz<sup>115</sup>

<sup>112</sup> Cyt. za.: B. Skarga (W. Kraśniewska), op. cit., s. 118.

<sup>113</sup> A. Applebaum, op. cit., s. 243-245.

<sup>114</sup> A. Gorbatow, *Lata pokoju i wojny*, Warszawa 1988, s. 149-150.

<sup>115</sup> S. Rawicz, *Długi marsz*, Londyn - Warszawa 1993, s. 96.

Niemal we wszystkich obozach GUŁagu panowało przekonanie o niemożliwości ucieczki. Obozy ogrodzone były drutem kolczastym, przy bramie mieściły się wieżyczki wartownicze. Położenie łagrów również nie zachęcało do ucieczek. Poza zoną ciągnęły się lasy tajgi lub wyludnione stepy. Do łagrów nie dochodziły często żadne drogi, a najbliższe ludzkie osiedla oddalone były o setki kilometrów. Więźniowie podejmujący się ucieczki pozbawieni byli jedzenia, dachu nad głową oraz wody. Dodatkowym utrudnieniem była nieprzychylna postawa mieszkańców. Osoby bez dokumentów posądzane były o zbiegostwo, odstawiane do siedziby miejscowych władz i tam rozstrzeliwane lub odsyłane z powrotem do obozu. Bywało, że istniały osiedla trudniące się poszukiwaniami zbiegów, za złapanie których czekały nagrody pieniężne. Najsurowszą karą za zbiegostwo była śmierć. Ciała uciekinierów wystawiano zazwyczaj na widok publiczny. Zwłoki leżały na obozowym placu do miesiąca czasu.<sup>116</sup> Lata dwudzieste charakteryzowały się małą liczbą ucieczek. Łagry nie stanowiły wielkich kompleksów, były lepiej strzeżone i bardziej szczelne. Dopiero w okresie gwałtownej rozbudowy systemu obozów pracy wzrosła diametralnie liczba zbiegów. Brakowało strażników, a bliskość fińskiej granicy zwiększała szanse uciekinierów. W 1930 roku ujęto 1174 zbiegów, dwa lata później już 7202, zaś w 1933 – 28370.<sup>117</sup>

Zdecydowaną większość ucieczek organizowali więźniowie kryminalni. Odpowiednią porę w obozach na południu stanowiła wiosna lub lato – głód można było zaspokoić grzybami, korzeniami lub mchem reniferskim. Na północy była to zima, kiedy zamarzały bagna i trzęsawiska. „Urkowie”, bez większych problemów, potrafili po ucieczce odnaleźć się w przestępczym światku większych, rosyjskich miast. Ucieczka nie była dla nich zbyt wielkim ryzykiem, gdyż złapanemu kryminaliście dopisywano tylko parę lat do zazwyczaj dwudziestopięcioletniego wyroku. Kryminalni doskonale radzili sobie z realiami towarzyszącymi im podczas ucieczki. Często decydowali się na akty brutalnej przemocy, zabijając strażników lub pracowników wolnonajemnych. We wspomnieniach znajdują się również wzmianki o ludożerstwie. „Urkowie” czasami zabierali ze sobą dodatkowego więźnia, który później miał im posłużyć jako pożywienie. Więźniowie polityczni decydowali się na zbiegostwo znacznie rzadziej. Spowodowane to było brakiem doświadczenia i organizacji oraz sposobem ich ścigania - bardziej energicznym i zapalczywym. Grono uciekinierów składało się głównie z mężczyzn. Jednak zdarzały się przypadki ucieczek wśród kobiet. Anne Applebaum wspomniała o ucieczce młodej Cyganki, która podjęła ten krok dowiedziawszy się, że w pobliżu stacjonuje tabor.<sup>118</sup>

<sup>116</sup> A. Żygulin, op. cit., s. 284-285.

<sup>117</sup> A. Applebaum, op. cit., s. 369.

<sup>118</sup> Ibidem, s. 371.

Dariusz Rogut opisał kilka przypadków ucieczek z obozu w Kutaisi. Były one skutkiem braku spełniania obietnic rychłego zwolnienia Polaków z obozu, niemożnością zaakceptowania warunków życia obozowego oraz różnorodnością charakterów więźniów. Każdy zdawał sobie sprawę z ryzyka, towarzyszącego próbie ucieczki. Duża odległość do Wilna powodowała konieczność pokonania tej drogi koleją. Należało również przygotować prowiant oraz zorganizować walutę. Problemem było zdecydowanie się czy uciekać samotnie, czy też wtajemniczyć współwięźniów. Ucieczka samotna umożliwiała szybsze poruszanie się, jednak szanse przeżycia w wypadku choroby zwiększały się jedynie dzięki pomocy kolegów. Dodatkowo na poszukiwania zbiegów wyruszały specjalne grupy operacyjno-poszukiwawcze, działające w miejscach najbardziej prawdopodobnej trasy ucieczki zbiegów. Rogut zanotował jedną ucieczkę kobiet z podobozu nr 1, zorganizowaną w sierpniu 1946 roku, przez trzy więźniarki. Dwie z nich pracowały jako sprzątaczkę poza zoną, a jedna z nich doskonale władała językiem rosyjskim, co umożliwiało swobodne nawiązywanie kontaktów. Codzienne wyjście do pracy zamieniło się w pierwszy etap ucieczki. Więźniarki dojechały przypadkowym samochodem ciężarowym do miasta Suchumi, skąd dalej pociągiem do Moskwy. Tam też zostały zatrzymane przez żołnierzy przybyłych z obozu w Kutaisi, którzy poszukiwali zbiegłych kobiet w okolicach prawdopodobnej trasy ich ucieczki. Po powrocie do obozu uciekinierki utrzymywały, iż nie zamierzały uciekać, a jedynie zwiedzić Gruzję. Z braku dowodów ewidentnie obciążających, zostały skazane na kilka tygodni karceru.<sup>119</sup>

Bunty i strajki cieszyły się znacznie większą „popularnością” od ucieczek. Mimo, iż wielu autorów wspomina o braku woli walki wśród więźniów, upokorzeniach doznanych podczas przesłuchań oraz w samym obozie, wycieńczeniu oraz głodzie, które nie pozwalały myśleć o zorganizowanym oporze, to w łagrach zdarzały się liczne przypadki protestów oraz strajków. Bunt był powszechną metodą stosowaną przez „urków” do wymuszania na władzach obozowych licznych ustępstw. Protesty kryminalistów zdarzały się także podczas transportów wagonami. Więźniowie wskutek braku wody i jedzenia, wszczynali hałas lub kołysali wagonem, co groziło jego wypadnięciem z szyn i wykolejeniem pociągu. Protesty kobiet w transportach objawiały się nagłym atakiem hysterii, piskiem, krzykiem oraz miotaniem się. Często organizowane były strajki głodowe, podejmowane głównie przez więźniów politycznych. Dla administracji obozowej strajki, objawiające się sprzeciwem wyjścia do pracy, były bardzo uciążliwe. Nie tylko powód dyscyplinarny był istotny, ale również możliwość niezrealizowania ekonomicznych celów obozu. W związku z tym protesty karano bardzo surowo – przywódców zazwyczaj rozstrzeli-

---

<sup>119</sup> D. Rogut, op. cit., s. 179-184.



wano, innych wtrącano do karceru. Jednak nawet perspektywa śmierci nie powstrzymywała więźniów od strajkowania. Do historii przeszła rewolta w obozie Ust'-Usie.<sup>120</sup> Na jej czele stanął pracownik wolnonajemny Mark Rietiunin (komendant łagpunktu Lesoried, należącego do Workutłagu). Powody wszczęcia buntu nie są do końca jasne. Wiadomo, że Rietiunin był wstrząśnięty rozkazem NKWD zakazującym zwalniania z obozów więźniów politycznych oraz sądził, iż Niemcy wkrótce opanują terytorium Rosji, zaś więźniów z wszystkich łagpunktów rozstrzelają. Rewolta rozpoczęła się w styczniu 1942 roku. Więźniowie najpierw obezwładnili strażników, opanowali obozowe magazyny, wydostali się z obozu i dotarli do miasta Ust'-Usa. Wkrótce w centrum miasta wybuchły regularne walki skazanych z milicją oraz wezwanymi przez władze miasta posiłkami. Więźniów rozproszonych po pobliskiej tundrze wyłapano. Niektórzy przed pojmaniem popełnili samobójstwo, innych rozstrzelano, jeszcze innych skazano na dodatkowe wyroki. Bunt jednak nie był zwykłym strajkiem kryminalistów. Miał wyraźnie antysowiecki charakter i polityczne tło. Skutkiem buntu było wydanie memorandum do komendantów obozów z żądaniem pozbycia się z łagrów elementów kontrrewolucyjnych i antysowieckich. Akcja zakończyła się rzekomym ujawnieniem ogromnej liczby organizacji spiskowych, istniejących w systemach obozowych.

O buncie w obozie w Kutaisi napisał również Dariusz Rogut. Przyczyną strajku z 1947 roku była frustracja wśród Polaków, spowodowana brakiem zwolnień (mimo zapewnień władz) z obozu. Protest rozpoczęła grupa kobiet i mężczyzn odmową wykonania rozkazu wyjścia do pracy. Władze obozowe zareagowały dość ostro, grożąc poważnymi konsekwencjami. Niepowodzenie metody zastraszania zmusiło komendanta do próby pertraktacji. Jednak i to nie przyniosło skutku, gdyż Polacy zażądali natychmiastowego podania daty zwolnienia ich z obozu. Rozpoczęły się przesłuchania i szukanie przywódców buntu. Żaden z więźniów nie zamierzał się jednak „złamać”. Władze obozowe zmuszone były do pójsścia na ustępstwa. Polakom wymieniono zniszczoną odzież oraz zwiększono racje żywnościowe. Pojawiła się również data odesłania grupy do Polski. Panujący optymizm, towarzyszący przygotowaniom do wyjazdu, wkrótce zamienił się w rozpacz. Zakłamanie sowieckich władz ujawniło się z wielką siłą. Polacy zostali podzieleni na grupy, załadowani do wagonów i przewiezieni do kolejnych miejsc odosobnienia – w Astrachaniu, Stalingradzie i Borowiczach.<sup>121</sup>

<sup>120</sup> Obóz położony w miejscowości Ust'-Usa u zbiegu rzeki Usy i Peczory, częściowo pełniący funkcję obozu przejściowego, skąd dalej więźniów kierowano do Workuty (S. Kalbarczyk, *Wykaz łagrów sowieckich, miejsc przymusowej pracy obywateli polskich w latach 1939- 1943*, cz. I, Warszawa 1993, s. 269.).

<sup>121</sup> D. Rogut, op. cit., s. 199-209.

---

STANISŁAW FUDALI

**GASNĄCE MRZONKI I WSCHODZĄCE  
MGLISTE NADZIEJE.  
(WSPOMNIENIA ÓWCZESNEGO MAŁOLATA)**

Jesień w 1942 roku na kazachskich stepach i w syberyjskich tajgach przyszła jak zwykle – w połowie września. Opustoszały kolchozowe pola, poszarzał step a lasy przyoblekły się w rdzawo-żółte listowie; z dnia na dzień w przyrodzie robiło się coraz smutniej. Jeszcze smutniej było w sercach i duszach polskich zesłańców, wszystkim tym, którym nie udało się opuścić ZSRR z Armią Andersa. Dopóki ta armia była, choć vegetująca w środkowo-azjatyckich półpustyniach, istniały nie iskiere nadziei, lecz głębokie przekonanie, że rząd polski na obczyźnie poprzez swoją ambasadę w Kujbyszewie (obecnie Samara) wyekspeduje nas wszystkich z „gościnniej” ziemi radzieckiej do może niezbyt gościnniej, ale normalnie ludzkiej ziemi perskiej, irackiej czy indyjskiej. Nie wyobrażaliśmy sobie, że może być inaczej – przecież to **nasz polski rząd!** – chodzi tylko o czas i kolejność przy ewakuacji; pozostawienie nas przez polski rząd na Sybirze, pod „opieką” NKWD, było zupełnie niewyobrażalne, niemożliwe w naszym przeświadczeniu. Ewakuację Armii do Persji w sierpniu 1942 r., wraz z pokaźną liczbą osób cywilnych uważaliśmy za początek końca naszej sybirskiej gehenny i niecierpliwie oczekiwali na wiadomość o terminie wyjazdu; od podania tego terminu zależało, czy trzeba szykować się do kolejnej zimy, już trzeciej. Chodziło przede wszystkim o robienie zapasu opału – drewna i „kiziaków”.<sup>1</sup>

Smutek tej jesieni zapowiadały już w lecie nie do końca zrozumiałe posunięcia władz, zarówno radzieckich jak i polskich. Oto co 22 sierpnia 1942 r. z Kustanaja do mojej matki<sup>2</sup> pisała p. Wanda Szczerbian, która

---

<sup>1</sup> *Kiziak* (nazwa regionalna, oryginalna) – materiał opałowy stosowany w bezleśnych regionach, wytwarzany z odchodów krowich lub wielbłądzych, zmieszanych i udeptanych ze słomą; warstwę grubości ok. 5-8 cm tnie się na kwadraty i suszy na słońcu; tłą się raczej bez płomienia, dając stosunkowo dużo ciepła.

<sup>2</sup> Przebywaliśmy wtedy w Kazachstanie, we wsi Presnoreduta, presnogorkowskiego rajonu, kustanajskiej oblasti.

odważyła się z presnogorkowskiego *rajonu* wyruszyć do kustanajskiej Delegatury ambasady polskiej w nadziei, że uda się jej wyjechać na południe, do środkowo-azjatyckich republik radzieckich: *tu w Kustanaju żyje się tylko nerwami w ciągłej rozterce. [...] Kochana Pani! Wiadomość jakoby zostały rozwiązane wszystkie Delegatury na terenie ZSRR i, że wszyscy Polacy mają iść do kolchozów jest fałszywa jak wiele innych wiadomości. Owszem, na rozporządzenie władz polskich zostało rozwiązanych kilka placówek polskich, ale Polaków nigdzie nie wysyłają ani zabierają do kolchozów. Odwrotnie, z Kustanaja co kilka dni wyjeżdża po kilka rodzin na południe, np. 20/VIII wyjechało 36 rodzin, z Kustanaja i poszczególnych posiołków. Ostatnio rejestrowano rodziny wojskowe i wiele innych również na wyjazd. Z tą listą rodzin wyjechał do Jangi-Jul p. por. Szczepaniak, skąd przyśle trebowanie. [...] Władze nasze zapewniają nas, że wszyscy pojedziemy „etapami” – inaczej nie mogą nas zabrać. Proszę też pisać prośbę do Dowódcy Sił Zbrojnych w Jangi-Jul z prośbą o przysłanie zapotrzebowania. Ja pisałam taką prośbę, którą złożyłam na ręce jednego z p. oficerów, który przyjechał po swoją rodzinę (sędziego z Brodów). Obiecał solennie, że mi to załatwi. [...] My, a raczej ja siedzę tu jeszcze nie zameldowana; o ile nie wyjadę na południe, przeniosę się do pobliskiego kolchozu. Życie w Kustanaju bez pomocy Delegatury, bez stołówki, jest niemożliwe. Najgorsza bolączka to drzewo – 1 m. 1500 rub., litr mleka 30, a co najważniejsze, że w żadnym wypadku nie meldują. Rodziny wojsk. stałych pensji już otrzymywać nie będą – tylko pomoc doraźną. [...] My tu w Kustanaju nie tracimy wiary, pewni, że już niedługo, a skończy się nasza niedola. ... To ostatnie zacytowane zdanie tego listu nie było nawet pobożnym życzeniem, ani „ku pokrzepieniu serc”, ale banalnym samopocieszeniem, do którego absolutnie nikt nie przywiązywał najmniejszej uwagi, bo na skończenie naszej niedoli nie zanosilo się, co każdy z nas czuł, choć o przyczynach tego nie wiedział.*

A jeszcze niedawno, parę miesięcy temu, nastrój wśród zesłańców był zgoła inny, diametralnie przeciwny do obecnego. Przepojeni byliśmy nadzieją, i wiele na to wskazywało, że istnieje realna szansa pożegnania na zawsze nieprzyjaznej nam przyrody i wyraźnie nieprzychylnych władz, nie tylko nam, ale i swoim obywatelom. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że o powrocie w rodzinne strony w obecnej wojennej sytuacji nie może być mowy, ale łudziliśmy się wydostać z ZSRR przez Persję, okupowaną wtedy przez Wk. Brytanię i ZSRR. W porze wiosennych roztopów, 19 kwietnia 1942 r., pisała p. Anda z Kabani<sup>3</sup> do mojej matki: *[...] dzisiaj pani Bobrowiczowa dostała list od syna, pisze, że my wszyscy wyjedziemy do Persji bez żadnego wyjątku. Pisze, że już by byli nas transportowali, gdyby nie mokro i te błota; czekają, jak tylko będzie tro-*

<sup>3</sup> Nazwiska p. Andy nie znam, a Kabań – to nazwa wioski w presnogorkowskim rejonie.

chę sucho, to nas zaraz będą zabierać. [...] Wydawało się wtedy, że lada moment, a nie będzie tutaj nas.

Pod koniec września zamiast spodziewanego sygnału do wyjazdu zaczęły w stepy i tajgi przenikać przygnębiające wieści: Armia polska w ZSRR już nie istnieje, cywilna ludność z obozów przy Armii, ta, co z wojskiem nie wyszła,<sup>4</sup> jest rozmieszczana po kirgizkich, uzbeckich i turkmeńskich kolchozach i sowchozach (mimo że przed miesiącem takim „plotkom” nie dawano wiary), obwodowe delegatury ambasady polskiej o wyjeździe niczego nie mówią, bo nie wiedzą, strużka rozprowadzanych przez nie tzw. „darów amerykańskich” coraz mocniej wysychała. Pani Wanda na południe nie wyjechała i do pobliskiego kolchozu się nie przeniosła, a 17 października 1942 napisała do Mamy: [...] *Ewakuacja rodzin na południe zakończona. Będą wyjeżdżały jeszcze niektóre rodziny na indywidualne przepustki, czyli wezwania...*<sup>5</sup> **Wygasty mrzonki** o porzuceniu tego piekielnego radzieckiego rajku, **zgasły nadzieje!** Nowo mianowany ambasador w ZSRR, Tadeusz Romer, w swoim noworocznym orędmu<sup>6</sup> do amnestionowanych polskich zesłańców był dość powściągliwy co do perspektywy opuszczenia ZSRR. Był sam środek zauralskiej zimy, ale po takich wieściach powiało jeszcze większym chłodem.

Radykalnie osłabło podróżowanie polskich zesłańców po bezmiarach „sowieckoj rodziny” nie tylko z powodu niesprzyjającej temu pory roku, ale i utrudnień władz, coraz częściej nie respektujących, lub wyraźnie lekceważących, dane nam przez nie świstki o amnestionowaniu, uprawniające do poruszania się po całym terytorium ZSRR. Nasze nadzieje na rychłe opuszczenie „rajku rad” w miarę upływu czasu, w którym nie działało się nic, co przybliżałoby to nasze marzenie, stawały się coraz mniej ziszczalnymi mrzonkami, a i te na przedwiośniu 1943 r., gdy dokuczał nie tylko chłód, ten metaforyczny i ten fizyczny, ale i autentyczny głód, powoli rozplywały się w nicość. Przestaliśmy marzyć o wyjeździe – trzeba było wziąć się za bary z rzeczywistością i zajadle walczyć o przeżycie. Głód chwycił za gardło niemal każdą zesłańczą rodzinę, ale i miejscowych też. Gasła wszelka nadzieja.

Ostatecznie mrzonki o wyjeździe do Persji czy Indii zagasty pod koniec kwietnia 1943 r., gdy odebrano nam świstki o amnestionowaniu i

---

<sup>4</sup> Zesłańcy po „amnestii”, jeżeli tylko byli w stanie, jechali na południe do środkowo-azjatyckich republik radzieckich, w pobliże miejsc rozlokowania Armii Polskiej, aby czuć się bezpieczniej i korzystać z jej opieki.

<sup>5</sup> Dalszych losów p. Wandy Szczerbian nie znam.

<sup>6</sup> Przesłanym telegraficznie do Delegatury Ambasady, skąd pocztą rozesłano jego zakończenie: „*Chociaż w tym roku ku wielkiemu ubolewaniu nie będziemy mogli spędzić Święta Bożego Narodzenia w gronie rodzinnym, w ten święty wigilijny wieczór łączę się sercem z każdą polską rodziną i z każdym Polakiem, wszystkim życzę szczęścia i wolności dla naszej ojczyzny, i – w nadziei, że prędzej niż minie nadchodzący rok – śle serdeczne pozdrowienia.*”

wręczono radzieckie *pasporty* z ważnością na 5 lat, do roku 1948. Tym razem nikt terminu tego nie wiązał z terminem zesłania, jak w roku 1940, bo trwała wojna i sytuacja z dnia na dzień mogła się radykalnie zmienić; Niemcy dostały porządnego łupnia pod Stalingradem, Wielka Brytania mimo amerykańskiego wsparcia robiła bokami, a Stany Zjednoczone były daleko i swoją wojenną obecność w Europie ograniczały do pompowania w nią przestarzałej broni w ramach *land lease*. Nikt nie wiedział, czym ta zabawa skończy się dla nas. Ostatnie posunięcie władz radzieckich, czyniące z nas pełnoprawnych obywateli ZSRR, dobiło nas moralnie – cywilnie byliśmy uśmierceni. Mimo wiosny w przyrodzie, w naszych duszach zapanowała polarna noc. Czarna rozpacz ogarnęła nas znowu, jak przed trzema laty, gdy rozpraszeni byliśmy po „niehumanitarnej ziemi”.

Niemal równocześnie z tymi tragicznymi dla nas wydarzeniami, poniosła się niezrozumiała wieść: powstał w Moskwie Związek Patriotów Polskich i będzie organizować nową armię polską, która nie wyjdzie z ZSRR, ale u boku Czerwonej Armii będzie bić się z Niemcami, by wyzwolić Polskę od niemieckiego okupanta. Słuchaliśmy tego z niedowierzaniem i nie przywiązywaliśmy wagi: skąd w Moskwie wzięli się polscy patrioci? – przecież takich zapędzono do obozów i więzień, a po „amnestii”, ci, co wyszli z łagrów i nie zdążyli do Andersa, błąkają się teraz po bezmiernych zauralskich połaciach w poszukiwaniu swoich wywiezionych rodzin. Jakoś trudno było przyjąć za możliwe, aby polski żołnierz, któremu w 1939 wbito nóż w plecy, a potem poniewierano w więzieniach i łagrach, zdobył się na braterstwo broni z czerwonoarmistą, co ten nóż w plecy mu wbijał. Bez większego więc zainteresowania, a nawet z całkowitą obojętnością przyjęliśmy do wiadomości zupełnie nieklarowny fakt powstania ZPP – *Znowu rozsiewają złudzenia!* – i wrzuszaliśmy wymownie ramionami, tym bardziej, że nie było przy tym mowy o naszych dalszych losach – czy ktoś ulży naszej doli, jak i kiedy? A przed nami stały sprawy bardziej ważne i bardziej realne: trzeba się było zmagać z brutalną rzeczywistością.

Gdy w lecie zaczęto poprzez *wojenkomaty* powoływać starszych chłopaków do polskiego wojska, a więc realizować zapowiedź, i w miejsce wydawanej w Kujbyszewie gazety *Polska* zaczęła do nas docierać wydawana w Moskwie *Wolna Polska*, o zabarwieniu wyraźnie proradzieckim, zwróciliśmy nieco uwagi na nowopowstały Związek Patriotów Polskich – tyle, na ile pozwalały zmagania o przeżycie. Na jego czele stała Wanda Wasilewska, powieściopisarka, ale to nazwisko niczego nam, małolatom, nie mówiło. Naszym matkom też mówiło niewiele, bo w ich środowisku popularność Wasilewskiej, autorki *Ojczyzny* (wyd. w 1935 r.), była raczej nikła. Nazwiska pozostałych założycieli: Berling, Lampe, Zawadzki – też nikomu nie były znane. Dopiero późną jesienią, gdy polska dywizja wykrwawiła się pod Lenino (12-13.X.1943) na Smoleńszczyźnie, doszło do nas, że dowódcą tej dywizji był pułkownik Zygmunt Berling, niegdyś legionista.

Pół roku później, na przedwiośniu 1944, gdy już nie było co do ust włożyć, a żadne zielsko spod zalegającego step śniegu jeszcze nie wylażło, i niczego do jedzenia ukraść się nie udawało, postanowiłem pójść do polskiego wojska, pod radziecką komendę, mimo że Sowietci zaraz po wkroczeniu w 1939 zamordowali mi Ojca. Podczas narady rodzinnej Matka westchnęła: – *Spróbuj, może chociaż ty się uratujesz!* – nasz byt był bowiem śmiertelnie zagrożony. Napisałem więc podanie o przyjęcie do polskiego wojska. Nie, aby zostać bohaterem bądź zrobić karierę wojskową. Miałem wtedy 14 i ½ lat, i nie chciałem cierpieć męki powolnego zdychania z głodu – *Na froncie trafi mnie kulka lub nie, a przynajmniej dostanę coś zjeść!* – rozumowałem prymitywnie. Czekałem na odpowiedź, a gdy nie nadchodziła, zaś śnieg ze stepu zlażł i na kolchozowych polach rozpoczęto prace, zamiast do wojska poszedłem na *пахню* orać, bo tam 3 razy dziennie dawali chochlę *bołuszki*. W połowie maja 1944 r. otrzymałem odpowiedź z wojska. Negatywną – byłem za młody. Nie dane mi było zostać bohaterem! Nie żałowałem tego – choć zamiast oczekiwanej wojskowej grochówki<sup>7</sup> musiałem zadowalać się kolchozową *bołuszką*.

Odmowna treść odpowiedzi nie poruszyła mnie tyle, co nazwisko podpisującego to pismo: kpt. Marian Naszkowski – przywódca stanisławowskiej grupy komunistycznej, którego w 1938 roku za działalność przeciwko Państwu Polskiemu mój Ojciec, sędzia Sądu Okręgowego w Stanisławowie, skazał na 8 lat więzienia; za to Ojca w listopadzie 1939 roku skazano na rozstrzelanie a 10 grudnia zamordowano. Ten podpis uświadomił mi charakter tego wojska polskiego, i już nie żałowałem, że mnie do niego nie przyjęto. Więcej, nabrałem przekonania, że po skumanii się komunistów polskich z radzieckimi nie mamy co marzyć o powrocie w rodzinne strony, do „swoich”. Być może rodzinom tych, co poszli do „kościuszkowskiego” wojska<sup>8</sup> i nie zginą na froncie, pozwolą wrócić, ale innym – nie; a właśnie należeliśmy do tych „innych”. Od lata 1944 r. straciliśmy wszelką nadzieję, że kiedykolwiek opuścimy miejsce zesłania. W jesieni tegoż roku rodzinom „kościuszkowskich” żołnierzy pozwolono wyjechać na Ukrainę (gdzie też łatwo nie mieli), a o nas nawet pies z kulawą nogą nie pomyślał; tak wówczas sądziliśmy. Najlepszą strategią w takim wypadku było dostosować się do realnych warunków, nie łudzić siebie, że „w jesieni nas stąd zabiorą, a na pewno na wiosnę”, co dotychczas było pocieszającym sloganem, ale stać się jednym z „tutejszych”. Matka moja nie umiała pogodzić się z taką strategią, ciągle wierzyła w „cud”, modliła się oń, ale przyjąć ją musiała; innego wyjścia nie było. Ja natomiast „cud” powrotu traktowałem sceptycznie, bo musiałem

<sup>7</sup> Dopiero grubo po wojnie dowiedziałem się, że w tym czasie w I Armii Polskiej w ZSRR grochówka była nieziszczalnym marzeniem; najczęściej zastępowała ją „zupa” z brukwi.

<sup>8</sup> I Dywizja Polskiej Armii w ZSRR utworzona w r. 1943 nosiła imię Tadeusza Kościuszki.

wziąć się za bary z brutalną codzienną rzeczywistością – miałem już prawie 15 lat i czułem się w obowiązku wesprzeć schorowaną matkę w zdobywaniu środków do życia, ośmioletni wówczas młodszy brat nie mógł tego zrobić. Rozumowałem wówczas stosunkowo prosto: *skoro mam pozostać tu na zawsze, to im prędzej stanę się „tutejszym”, tym lepiej dla mnie*; nie zamierzałem się zruszyć, a jedynie żyć w realnym świecie i otoczeniu, dostosowując się do istniejących warunków. W jakimś stopniu udało mi się to, i może dzięki temu przetrwałem w nienajgorszej kondycji.

W maju 1945 zakończyła się wojna, konferencja w Poczdamie potwierdziła prawa Stalina do Europy Wschodniej i uwolniła Aliantów od zwracania sobie głowy Polską i Polakami, pozwalając im „umyć ręce” w „sprawie polskiej”. Przez jakiś czas żywiliśmy jeszcze jakąś nikłą nadzieją, że ktoś w Europie o nas się upomni, ale mijały tygodnie i miesiące, i nic w tym zakresie się nie działo. Polski rząd w wyzwolonym Kraju zajęty był „utrwalaniem” swojej władzy „ludowej”, emigracyjny w Londynie kombinował jak się umocnić w warszawskim Rządzie Tymczasowym, Francja i Anglia o swoich przedwojennych zobowiązaniach wobec Polski nie puszczały pary z ust, a generalissimus Stalin zacierał ręce, zadowolony z wygrania wojny i wyprowadzenia w pole niedawnych sojuszników. W „*Wolnej Polsce*”, kolportowanej wśród Polaków rozsiadanych w bezmiarze „bratniego” kraju, pisano o przemianach w wyzwolonej Ojczyźnie, powiększonej o Ziemię Zachodnią i zubożonej o Kresy Wschodnie, a o naszym losie nikt nie wspominał; coraz bardziej umacniało się w nas przekonanie: **spisano nas na straty!** 27 maja 1945 r. dość minorowo, acz nie rozpaczliwie, pisałem do Cioci w Brzesku<sup>9</sup> m.i. *Ja pracuję w polu, ażeby zarobić trochę zboża na zimę, bo na ewakuację nie ma na razie nadziei. [...] Przez zimę myśleliśmy, że na wiosnę wyreewakujemy się z Sybiru, tymczasem nie stało się tak. Kazali sadzić nam kartofle i pracować jak dotychczas. Więc posłusznie wypełniamy to przykazanie, bo nie jesteśmy w stanie protestować. [...] bardzo proszę napisać do nas parę słów nadziei i pociechy, ażeby mamę trochę podnieść na duchu, bo ona całkiem przygasała, jak przyszło się sadzić kartofle, bo całą zimę żyła mamą tą jedynie nadzieją, że na wiosnę wyjedziemy z tego letniska, gdyż ono nie bardzo dodatnio wpływa na zdrowie mamy.*

Na początku 1946 roku, kiedy już mi do szczętu spopieliała myśl o powrocie, znów po stepach i tajgach gruchnęła wieść: **Wracamy!** – wielokrotnie już głoszona, a nigdy dotychczas nie spełniona; trudno mi było w nią uwierzyć, ale wielu uwierzyło, i tym razem nie zawiodło się – **wróciliśmy!** Inicjatorem tego powrotu, a może tylko jego współinicjatorem, był Związek Patriotów Polskich, nie doceniany przez nas wówczas jako

<sup>9</sup> Ciocia, Janina Dziedziniewiczowa, listu tego nigdy nie otrzymała, bo wrócił on do mnie 20 VIII 1945 (data na stemplu pocztowym) z dopiskiem: *Согласно инструкции по обработке М.Ж.Д. кор-цуй*, czego znaczenia nigdy niezrozumiałem.

ten, co może odmienić nasz los; *chwala mu za to!* ZPP podjął się też trudu organizacyjnego całego tego przedsięwzięcia i za to należą się mu osobne dzięki, bo trud to był niemały. Oto ocalały fragment instrukcji dotyczącej naszego powrotu, opracowanej przez ten Związek dla Kustanajskiej oblasti.<sup>10</sup>

I. Pełnomocnik Polskiej Delegacji w Radziecko-Polskiej Komisji Mieszanej do Spraw Ewakuacji Kustanajskiego Obwodu w pracy swojej opiera się o Zarządy Rejonowe, Koła Lokalne i aktyw ZPP.

III. Repatrianci przed wyjazdem otrzymują zaświadczenia uprawniające ich do wyjazdu do Polski.

Zaświadczenia będą wystawiane w dwóch językach, polskim i rosyjskim, na specjalnych formularzach wydawanych przez Polsko-Radziecką Komisję Mieszaną.

IV. Repatrianci ponoszą koszty wyżywienia sami. Żywność dostarczą odpowiednie organizacje radzieckie po cenach państwowych.

Repatrianci nie ponoszą kosztów transportu i opieki lekarskiej. Zabrania się pobierania jakichkolwiek opłat na ewakuację.

V Zaświadczenie podpisane przez pełnomocników obu Delegacji zostaną przekazane tym urzędom milicji, które od danych osób przyjmowały podania. Milicja będzie wydawać zaświadczenia nie wcześniej niż na 10 dni przed wyjazdem transportu, przy czym tylko repatriantom, którzy jadą tymi transportami.

Repatrianci do granicy zachowują radziecki paszport względnie zaświadczenie zastępujące paszport. Repatrianci nie mający takich dokumentów, winni zaopatrzyć się w fotografię dowolnego formatu, która pozwoli stwierdzić ich tożsamość. Fotografia zostanie naklejona na odwrocie rosyjskiej strony zaświadczenia ewakuacyjnego. Na granicy organa kontrolujące odbiorą repatriantom rosyjską (lewą) stronę zaświadczenia ewakuacyjnego i paszport radziecki. Repatrianci zachowują polski tekst zaświadczenia ewakuacyjnego.

Zarządy Rejonowe i Koła Lokalne ZPP winny zawiadomić repatriantów przed wyjazdem o tej procedurze. Należy z naciskiem podkreślić konieczność zachowania do granicy paszportu, względnie zaświadczenia zastępującego paszport (ewentualnie fotografii). Bez nich bowiem przejazd przez granicę jest niemożliwy.

VI. Strona radziecka wyznacza kierownika transportu, obywatela radzieckiego, który odprowadza transport do granicy. Pełnomocnik Polskiej Delegacji Kustanajskiego Obwodu wybiera zastępcę kierownika transportu spośród repatriantów, człowieka energicznego, cieszącego się bezwzględnym zaufaniem i autorytetem wśród wyjeżdżających.

VII. Pieniądze ponad 1000 rubli (złoty) na osobę repatrianci składać będą za pokwitowaniem w specjalnych granicznych Kasach Banku Pań-

Na tym zachowana część tej **Instrukcji** się kończy.

W ciągu paru tygodni, w miarę jak pozwalały warunki klimatyczne (roztopy wiosenne i nie przejezdność dróg), ściągnięto zesłańców do punktów zbornych, załadowano do wagonów (też bydłęcych<sup>11</sup> jak w 1940 r.), i

<sup>10</sup> Oryginał tego fragmentu, ze względu na fatalny stan techniczny, nie nadaje się do reprodukcji.

<sup>11</sup> Teraz jednak nie sarkaliśmy na bydłęce, a raczej: spartańskie, warunki, i nawet ich nie dostrzegali; byliśmy radzi, że jedziemy: „do swoich”.



powieziono na zachód. Mieliśmy nieśmiałą nadzieję, że po 2 tygodniach jazdy będziemy wśród swoich, na rodzinnej ziemi, tymczasem po dwóch tygodniach byliśmy ze swoimi, ale nie „swoimi”, stłoczeni w transportach w Brześciu nad Bugiem i po tygodniowym postoju przekroczyli granicę państwową; po raz pierwszy w życiu – w 1939 granica przekroczyła nas. Po następnych 2 tygodniach byliśmy już, po 6 latach rozstania, w rodzinnym gronie. Zakończyła się nasza Odyseja zesłańcza. – *Dzięki łaskawości Matki Bożej* – stwierdziła nasza Matka – *Wróciliśmy*. Figlem Historii jest, że wyprawili nas na tę Odyseję komuniści radzieccy, a zabrali z niej – polscy, zaś tajemnicą — to, że do okazania swej łaskawości Matka Boża posłużyła się komunistami różnej maści. Zaludnialiśmy ziemie opuszczone (wcale nie dobrowolnie) przez Niemców.

W taki sposób dokonał się wers patriotycznej pieśni z okresu walki o niepodległość:

*Z trudu naszego i znoju, Polska (choć Ludowa) powstała by żyć.*

\*

Związek Polskich Patriotów, choć był fasadowym ugrupowaniem, przyczynił się do dwóch znamienych dla Polaków dokonań:

1. Utworzenie Armii Polskiej w ZSRR, która obok Armii Czerwonej walczyła z hitlerowskimi Niemcami na ziemiach polskich i niemieckich, co niewątpliwie miało pewien wpływ na ustalenie zachodnich i północnych granic powojennej Polski, i

2. ewakuacja do kraju Polaków wywiezionych w czasie wojny w głąb ZSRR.

Gdyby nie te historyczne dokonania, nie wiadomo, jaki byłby kształt granic Polski po wojnie, i jak wielu z nas, zesłańców, byłoby w stanie złożyć swoje kości w ojczystej ziemi. Po wykonaniu tych zadań, nie oczekując na nagrody czy słowa uznania, Związek rozwiązał się 11 sierpnia 1946 r., w niespełna 3 miesiące po zakończeniu akcji repatriacyjnej Polaków z Syberii; nikt później nie nawiązywał do tych dokonań ZPP, ani w PRL-u, ani tym bardziej w III RP. Szkoda, że tak łatwo zapominamy o sprawach dla Polaków i Polski nie bez znaczenia, zwłaszcza gdy dokonali ich niemili nam ludzie, o innej opcji politycznej.

\*

I ma koniec **refleksja**. Gdyby w Jałcie nie podzielono powojennej Europy i w Poczdamie tego nie potwierdzono, to nie byłoby wysiedlenia Niemców z ziem po wschodniej stronie Odry, i nie byłoby tych ziem w granicach powojennej Polski, bo Anglia z Francją zapomniały o gwarantowaniu polskich przedwojennych granic. Nie byłoby też Kresów Wschodnich w granicach powojennej Polski, bo ZSRR wrócił do swoich przedwojennych granic (tyle że sprzed wojny niemiecko-radzieckiej).

Byłaby więc Polska po II wojnie z przedwojennymi granicami na zachodzie, północy i południu, i z wojennymi granicami na wschodzie; tylko Gdańsk, być może, nie byłby już wolnym miastem, a w pełni należał do Polski. W takiej sytuacji nie byłoby w Polsce miejsca dla nas, sybiraków; pozostalibyśmy na Sybirze, bo nikt nie pomyślałby o nas – ani alianci, ani rząd londyński, a rządowi w Warszawie sprawilibyśmy tylko kłopot, jak obecnie repatrianci z Kazachstanu. I przyszłoby nam złożyć swoje kości na rozległych obszarach *необъятной страны*.

Gdyby więc nie kaprys Stalina, by Polskę usatysfakcjonować Ziemiami zabranymi pokonanym Niemcom (bo na pewno nie ruszyło go sumienie z powodu zabrania nam Kresów Wschodnich) i gdyby nie wyludnienie tych ziem, to mogłoby tak się stać, jak „gdybałem” wyżej.

---

## RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom-Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

W przyszłości podobny monograficzny numer naszego pisma chcemy przeznaczyć na opisanie losów polskich dzieci na zesłaniu. Wiemy też z napływającej do redakcji korespondencji, że z artykułów publikowanych na łamach „Zesłańca” korzystają uczniowie oraz nauczyciele historii, uważając publikowane w nim teksty za ważny materiał uzupełniający podręczniki szkolne.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków, pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej oraz systematycznie drukuje je czasopismo „My Sybiracy” wydawane przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące zesłań Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

\*

### RELACJA Z DOMIESZKĄ SARKAZMU

W zbiorach Instytutu Polskiego i Muzeum gen. W. Sikorskiego (kolekcja 138, t. 288) znajduje się relacja opatrzona numerem 11631. Jej autorką jest Anna Urbanowicz, uczennica, ochotniczka. Niestety, wiadomo o niej tylko tyle, co można wywnioskować z niniejszego tekstu. Sądzę, że była córką oficera rezerwy, przed wojną administratora podwarszawskiego majątku. W kwietniu 1940 roku razem z matką, bratem, babcią Stanisławą oraz ciocią z synem, została zatrzymana przy nielegalnym przechodzeniu przez granicę w rejonie Ostrowi Mazowieckiej. Ciekawą postacią była babcia, prawdopodobnie mieszkająca w Białymstoku (w województwie białostockim?), żona zmarłego wcześniej majstra włókienniczego (osadnika?) pochodzenia niemieckiego o nazwisku Goltshall. Po krótkim pobycie w zaimprovizowanym areszcie w Lubotyniu Anna i jej babcia zostały przewiezione do Szepietowa, tam przeprowadzono wstępne śledztwo i uwolniono S. Goltshall. Natomiast Annę Urbanowicz dowieziono wagonem do więzienia w Białymstoku.

Znamy już sporo relacji z tego miejsca przekłętego przez ofiary NKWD i potem Gestapo. Relacja jednak Anny zawiera kilka oryginalnych informacji i ocen z życia więźniarek. Autorka obiektywnie opisała zachowanie funkcjonariuszy, także w tym przypadku zdobyła się na drwiny. Prawdopodobnie otrzymała wyrok 5 lat pobytu w łagrze. Nie opisała drogi na wschód. Wiadomo jedynie, że trafiła do Nowego Koksynu w Kazachstanie. Ten obóz dopiero powstał, więźniarki zatrudniono przy sypaniu wałów kanałów nawadniających. Sławomir Kalbarczyk w wykazie łagrów sowieckich uwzględnił dane z relacji A. Urbanowskiej, ale nie korzystał z niej bezpośrednio, a poprzez książkę: S. Mora, P. Zwierniak (K. Zamorski, S. Starzewski), *Sprawiedliwość sowiecka*, Włochy 1945.

Dane z łagru nie zasługują na miano rewelacyjnych, są jednak ciekawe, zawierają bowiem interesujące zdarzenia. I w tym przypadku autorka nie stroni od sarkazmu, zwłaszcza przy charakterystyce osób. Warto też zwrócić uwagę na proces wymuszonego przystosowywania się łagierniczek do barbarzyńskich warunków bytu i pracy.

W sumie relacja to warta poznania w całości. Mam nadzieję, że dzięki Czytelnikom uda się uzupełnić dane o autorce, a jeszcze cenniejsze byłyby inne wspomnienia o łagrze Nowy Koksyn.

*Adam Czesław Dobroński*

\*

### Aresztowanie

Dnia 19 czerwca 1940 r. zostałam aresztowana w okolicy Szepietowa<sup>1</sup> na linii Zambrów – Ostrów-Mazowiecki za chęć przedostania się do Warszawy. Miałam wówczas zaledwie ukończone lat 17-cie. Fama głosiła, że na granicy aresztują tylko ludzi w wieku od 18 do 60-ciu, z wyjątkiem matek z małymi dziećmi. Czy rzeczywiście istniała taka ustawa – nie wiem. Stwierdzam tylko, że przebywałam w zamknięciu z moją matką i bratem dwuletnim przez tydzień.

Ze strażnicy nadgranicznej, gdzie nas aresztowano, zostaliśmy przewiezieni autem do Lubiatyna.<sup>2</sup> Na auto wsadzono kilkanaście osób. Byli tam mężczyźni w sile wieku, kobiety z małeńkimi dziećmi, młodzi chłopcy lat 16-17 i naturalnie nieodstępni wartownicy z karabinami. Była to pora popołudniowa, chmury zwisały ciężko nad horyzontem, ludzie jadący na aucie mieli myśli równie szare jak niebo. Paru młodych optymistów stwierdziło, że przewożą nas tylko dla załatwienia pewnych formalności, i że odzyskamy wolność po przyjeździe na miejsce. Ale inni, bardziej doświadczeni i mniej różowo spoglądający na świat, snuli jak najczarniejsze horoskopy.

Nagle auto stanęło. Z kabinki wyskoczył żołnierz z karabinem. Na pobliskim wzgórzu majaczyła druga taka sama szara postać, również z bronią w ręku. Rozległ się strzał. Ktoś szepnął: – „Przywieźli nas na to pustkowie i pewnie zaraz rozstrzelają!”. Moja matka kurczowo przycisnęła brata do piersi i tylko zbielejącymi ze strachu ustami rzuciła mi słowa: – „Módl się!” Za chwilę roz-

<sup>1</sup> Prawdopodobnie chodzi o Szumowo.

<sup>2</sup> Poprawnie: Lubotynia, obecnie siedziba władz gminnych w pow. Ostrów Mazowiecka, woj. mazowieckie.

legł się drugi strzał. Sytuacja stawała się napięta do niemożliwości. Staralam się robić wesołą minę i tłumaczyłam mamie, że to przecież niemożliwe, żeby bez powodu zabito tyle ludzi. Ale grobowe miny *strielków* nie wróżyły nic dobrego. Wreszcie auto ruszyło. Właściwie nic się nie stało. Ale przez tych parę chwil przeżyliśmy więcej, niż przez miesiąc normalnego życia.

Po przyjeździe do Lubiatelyna [Lubotynia] znowu czekały nas jakieś formalności. Znowu pytania o imię, nazwisko, *otczestwo*, rok urodzenia, stan cywilny, miejsce pochodzenia, zawód, o wszystkich przodków aż do prababki, wliczając w to stryjów i kuzynów, itd. Mimo to jesteśmy dobrej myśli, tym bardziej, że służąca miejscowego *komandira* przyniosła memu braciszce mleko. Strażnik w tej chwili odwrócił się i udał, iż nie widzi, że dziewczyna zbliża się do aresztowanych i dzięki temu biedne dziecko, które od tygodnia żyło wodą i sucharkami, mogło się trochę pokrzepić. Aż mu oczka pojaśniały z zadowolenia. Za chwilę posłyszaliśmy kroki za drzwiami.

Ciekawe było, jak wyglądało nasze więzienie – była to zwykła wiejska chata jednoizbowa z sienią. Sień ta zastępowała korytarz więzienny i tam właśnie rezydował strażnik. Izba była podzielona deskami na dwie części: w jednej siedzieli mężczyźni, w drugiej kobiety i dzieci. Mimo, iż była to polska chata, okna już zasłonięto na sposób sowiecki wielkimi kawałkami dykty tak, że chociaż powietrze wpadało do środka, nie można było nic widzieć, co się działo na zewnątrz. Szyb naturalnie brakło, ale doskonale zastępowały je żelazne kraty. Jedynym oknem na świat był mały otwór w drzwiach, przez który, jeżeli strażnik nie był bardzo zły i zostawił drzwi od sieni otwarte, można było widzieć kawałek podwórza i parę promieni słonecznych. A z drugiej strony głowę towarzysza niedoli wyglądającego taką samą dziurą z męskiej przegrody.

Podłoga w izbie była drewniana i położywszy na niej koc można było spać. Poza to rozwalony piec był doskonałą imitacją stołu. Rozrywek towarzyskich też nie brakło w tym apartamencie: jeżeli nawet strażnik w przypływie złości zamknął otwór w drzwiach, można było przez dziury między deskami przyglądać się, co robią mężczyźni za przegrodą. Co prawda zajęcia ich były mało ciekawe, gdyż poza małymi wyjątkami siedzieli bez ruchu i dumali nad swoim losem. Właśnie przez szparę między deskami podawałam list naszemu przewodnikowi, kiedy usłyszałam zgrzyt klucza w drzwiach. Pomyślałam, że na pewno jakieś nowe pytania, a może... może wolność...

Do izby wszedł *komandir* i oznajmił nam: – *A nu, ženszyny biez dietiej, sobirajties* (kobiety bez dzieci zbierajcie się). Minę miał dumną i złą, i tak właśnie wyobrażałam sobie gestapowca. Trzasnął drzwiami i wyszedł nie słuchając wcale mojej mamy, która starała się coś mu tłumaczyć. Ponieważ żadna z nas, oprócz babki staruszki lat 65, nie uważała się za *ženszczynu biez dietiej*, bo mama była z braciszkiem, ciotka też z synem, a ja też uważałam się jeszcze za dziecko, nie zrobiłyśmy żadnych przygotowań do wyjazdu. Za parę minut znowu zjawił się *komandir* i tym razem już wyraźnie oświadczył: – *Goltshall Stanisława Josipowna (moja babka) i Urbanowicz Anna Edmundowna z wieszczami wychaditje*. Mama rzuciła się do niego chcąc prosić i błagać, żeby nie rozdzielał jej z córką. Za całą odpowiedź otrzymała pogardliwe spojrzenie i drugie trzaśnięcie drzwiami.

Zrozumiałam, że nie ma rady i muszę jechać. Czem prędzej zarzuciłam na siebie drugą sukienkę i futerko, żeby chociaż cokolwiek mieć przy sobie i chciałam się żegnać z matką, kiedy zobaczyłam rzecz straszną. Mama moja chwyciła szklanę z wodą, wrzuciła tam pastylkę sublimatu i już, już podnosiła do ust... Wyrwałam matce truciznę i rzuciłam szklanę o ziemię. Nie miałam już czasu, więc tylko błagałam ciotkę, żeby opiekowała się moją mateńką. Drzwi się otworzyły i znowu usłyszaliśmy głos: – *A nu, wychoditje po bystriej* (to *po bystriej* miało mnie już ścigać, aż do amnestii). Zrobiłam krok ku drzwiom. Matka rzuciła się ku mnie, z jakąś szaleńczą siłą chwyciła mnie w objęcia i nie chciała puścić

Ale twarde ręce strażników sprawiedliwości były silniejsze niż uścisk matczyny. Popchnięto mnie w stronę drzwi. Rzuciłam ostatnie spojrzenie w głąb izby. Zobaczyłam matkę zemdloną u progu i poza nią przerażone oczy mego małego braciszka, niebieskie dziecinne oczęta, które zamiast słońca i radości musiały oglądać ból i rozpacz.

Nie płakałam. Czułam się, jak człowiek uderzony obuchem po głowie. Rok temu straciłam ojca i dom rodzinny, a teraz zabrano mi to, co miałam jeszcze najdroższego – matkę i brata. Nie płakałam. Ale wtedy po raz pierwszy poczułam, co to jest nienawiść.

### Wstępne śledztwo

Następnym etapem był Szepietów.<sup>3</sup> Warunki mieszkaniowe były tam o tyle lepsze, że tym razem więzienie stanowił garaż. W drzwiach kraty były na odmianę drewniane. Można było przez nie wyglądać na podwórko. Co prawda, jeżeli było tam coś do oglądania, to drzwi zamykane i trzeba było się dusić bez powietrza. Jediną ciekawą rzeczą, którą zauważyłam przez tę kratę była jakaś „sowietka” w plihalowskiej koszuli zamiast sukienki. Okna nie były zasłonięte, ale za to były bardzo maleńkie (30 cm x 40) i na wysokości półtora metra. Podłoga z betonu była pokryta (o radości) słomą. Niestety, przy bliższym zetknięciu się słoma ta była mniej przyjemna. Tu po raz pierwszy w życiu spotkałam się z wszami, całe szczęście że na razie z daleka.

Życie w garażu było bardziej urozmaicone niż w Lubiatynie [Lubotyniu]. Przede wszystkim było nas więcej, około 30-40 kobiet. Towarzystwo było b. różne, zaczynając od zwykłych przemytniczek, do tzw. przestępców politycznych. Spory odsetek stanowili Żydzi tzw. *bieżeńcy*, którzy od gnębiciela Hitlera uciekli do *towariszczej*. Towarzysze przyjęli ich zaiste bardzo gościnnie: otrzymali od razu mieszkanie i wikt, i na dodatek zbrojną opiekę. Mimo to wielu aresztowanych nie wierzyło, żeby mogło im się naprawdę przytrafić coś złego, pobyt swój w lokalu zamkniętym traktowali raczej jako przygodę.

Tu właśnie odbyło się moje pierwsze prawdziwe śledztwo, gdyż wszelkie poprzednie moje spotkania z władzami NKWD były raczej spisywaniem personaliów. Tym razem wyglądało to trochę inaczej. Wprowadzono mnie do małego pokoiku. Umeblowanie jego stanowił jedyny stolik i dwa krzesła. Po zatłoczonym garażu wydawał się on dziwnie pusty. Powiodłam wzrokiem po ścianach. Wisiał tam tylko jeden afisz przedstawiający jakąś czarną diabelską rękę z sepi-

<sup>3</sup> Szepietowo, osada i stacja kolejowa, obecnie w pow. Wysokie Mazowieckie, woj. podlaskie.

mi szponami, napis obok głosił, że NKWD dzielnie broni ojczyzny i wylapuje szpiegów. Co to wszystko miało znaczyć trudno pojąć, w każdym razie nastrój był taki, aby jak najbardziej zdezorientować badanego i przestraszyć go.

Po chwili wszedł śledczy. Był to wysoki brunet, porządnie ubrany. Nie miał w sobie ani jednej cechy słowiańskiej, jego hita i niemieckie sztylpy<sup>4</sup> przypominały raczej członka SS. Po paru wstępnych pytaniach o imię, nazwisko, itd. śledczy przystąpił do rzeczy: mówił z początku spokojnie i starał się mnie przekonać, że mój ojciec był polskim oficerem, a co za tym idzie wrogiem narodu sowieckiego. Ja wiedziałam o tem o wiele lepiej od niego, ale mimo to również spokojnie zaczęłam mu tłumaczyć, że ojciec mój był tylko biednym rządcą w jakimś tam majątku pod Warszawą. Wówczas rozpoczął się ogień krzyżowych pytań. Musiałam opowiadać co chwilę co innego; to pyta się mnie, jak ma na imię mój dziadek, a zaraz potem, gdzie mieszkałam przed przekroczeniem granicy, a potem gdzie pracował mój tata, a potem *da capo* [od początku] czy to prawda, że mój ojciec był polskim oficerem.

Całe szczęście, że śledczy mówił po rosyjsku i jeżeli nie wiedziałam co odpowiedzieć na dane pytanie, mogłam udać, że nie rozumiem o co chodzi, gdyż nie znam języka rosyjskiego. Natomiast śledczy doskonale pojmował, co ja mówiłam po polsku i jeżeli czegoś nie mogłam zrozumieć, tłumaczył mi w moim ojczystym języku.

W końcu zaczął krzyczeć, wymyślać mi i grozić najgorszymi karami, bo znudziła się już mu kulturalna rozmowa, gdyż zobaczył, że nie uda mu się złapać mnie na żadnej nieściskości. Przez długie noce bez snu i senne dni doskonale obmyśliłam całą historię mego życia i wyprawy „zagranicę”, to znaczy do ciotki do Warszawy. W całym moim opowiadaniu prawda ograniczała się tylko do imion osób i nazwisk, jakoś dziwnym trafem okoliczności nie pamiętałam (po prostu dlatego, że nie chciałam nikogo narażać). Mogłam sobie pozwolić na tego rodzaju kłamstwa, gdyż matka moja pozostała w Lubiatyniu [Lubotyniu] i przypuszczałam, że została zwolniona (tak mnie zapewniali wszyscy naczelnicy, których o to pytałam), a babka nie była indagowana po prostu dlatego, że wmówiłam w nią i w śledczych, że jest głucha i wariatka, i zabroniłam jej cokolwiek mówić prócz swego nazwiska. Rzeczywiście uznano ją za mało niebezpieczną, gdyż 9-go dnia naszego pobytu w więzieniu – garażu oznajmiono jej, że ma *sbierat się z wieszczami* i zostać zwolnioną. Niestety, byliśmy wtedy z babcią na tyle niedoświadczone, że prosiliśmy, żeby pozwolono babci pozostać i poczekać na moje zwolnienie, w które zresztą nikt nie wątpił, bo przecież w całym świecie i nawet w sowietach chyba zachowane jest prawo, że małoletnich nie wolno więzić. Zresztą potwierdzali to wszyscy śledczy, zawsze obiecywali mi, że wkrótce będę wolna.

Niestety. Po dwutygodniowym pobycie w Szepietowie musiałam podpisać jakąś bardzo mądrze zredagowaną deklarację, że jadę do Białegostoku na dalsze przebywanie pod strażą. Znane „zabieranie się z rzeczami” (których notabene nie miałam wcale), znowu pędzenie pod karabinami do wagonu, w którym miałyśmy

---

<sup>4</sup> Pewnie dziadkowie autorki (nazwisko Goltshall) używali określeń wywodzących się z języka niemieckiego. Chodzi o czapkę i cholewy butów. Oryginalne sztylpy, to cholewy przypisane do kamaszów.

opuścić Szepietów [Szepietowo]. Babcia moja została. Prosiłam na wszystkie świętości, żeby ją odesłano do Białegostoku. Co było z nią dalej – nie wiem.

Jeszcze jeden moment z pobytu w Szepietowie utkwił mi w pamięci. Tyczy się on nie bardzo ciekawej rzeczy, ale która w życiu więźnia odgrywa ogromnie ważną rolę. Była to sprawa ustępu. Ponieważ odżywianie w areszcie było zupełnie różne od tego, które miałyśmy w domu (dostawałyśmy tylko gliniasty chleb, wrzątek i jakąś przypaloną kaszę), każda z nas miała poważne niedyspozycje żołądkowe. Toteż krzyki *do ubornej* rozlegały się przez cały dzień. Jeżeli strażnik był dobry, to wyprowadzał kobiety za każdym razem. Co prawda ceremonia była bardzo skomplikowana. Trzech żołnierzy z karabinami przygotowanymi do strzału i z bagnetami stało na podwórku i osłaniało nasze przejście z celi do ustępu.

Odległość wynosiła 1i½ m (dosłownie półtora metra). Przy drzwiach od celi stał jeszcze jeden strażnik, który po jednej wypuszczał biedne kobiety. W garażu tłoczyła się olbrzymia kolejka chorych niewiast. Pewnego razu stojąc w takiej kolejce osłabłam do tego stopnia, że pierwszy raz w życiu zemdlałam.

Jak wyglądał nasz przejazd z Szepietowa do Białegostoku? Do kolei doszliśmy piechotą, bo była b. blisko. Nasz pociąg stał daleko od stacji. Załadowano nas na pustej łące do wagonu do przewożenia koni. Urządzony on był b. elegancko. Zamiast umeblowania leżało tam parę długich belek, które doskonale zastępowały ławki. Na tych zaimprovizowanych ławkach roztasowało się 7 kobiet z rzeczami. Był to lipcowy gorący dzień. Słońce rozgrzewało żelazny dach wagonu. Duszno było nie do wytrzymania, gdyż jak wiadomo w wagonach do przewożenia bydła są tylko małe wąskie okienka, a drzwi nie można było otworzyć, bo przecież mogłyby więźniarki pouciekać. Nawet przed zamkniętymi drzwiami stało dwóch aniołów stróżów z bagnetami.

Ostatecznie nie byłoby najgorzej w tym wagonie, gdyby nie to, że strasznie chciało się pić. Wobec tego, że na nasze grzeczne prośby: – *Towariszcz, dajcie pożałsta wody*, strażnicy nie reagowali, musiałyśmy w wyraźniejszy sposób objawić swoje niezadowolenie. Zaczęłyśmy tupać, krzyczeć, walić butami i innymi twardymi przedmiotami w ściany. Te wandalskie metody osiągnęły swój skutek, nareszcie otworzyły się drzwi i ukazało się w nich wiadro z wodą. Rzuciłyśmy się na nie łapczywie i piłyśmy, mimo, że była zielona i zgniła, gdyż pochodziła z pobliskiego bagna. Po postoju długości 1 doby na torze szepietowskim ruszyliśmy do Białegostoku. Po przekroczeniu pierwszej bramy więzienia zaczęło się inne życie – życie w klatce.

### Więzienie w Białymstoku

Nim dostałyśmy się do właściwej celi musiałyśmy przejść najpierw odpowiednie przygotowania, a więc tydzień przebywania w ciemnicy, potem spisywanie personaliów, fotografie z profilu i *en face*, odciski palców, wszystko to przerywane bardzo długimi godzinami oczekiwania. Te godziny urozmaicali nam strażnicy straszaniem nas wszystkimi możliwymi sposobami, np. zapowiadali, że po fotografii obetną nam wszystkim włosy. Nie zrobiono tego, ale łyzy z rozpaczny za utraconymi warkoczami zostały wylane.

Jednym z popularnych powiedzonek strażników było: „Teraz to kwiatki, a jeszcze będą jagódki” (*Tiepier eto ćwietoczki, potom jagodki budu*), co miało



oznaczać, że teraz powodzi się nam jeszcze świetnie, a dopiero później zobaczymy, jak to przyjemnie być *zakluczonym*.

Parę słów o tym, co to było więzienie białostockie. Otóż było to stare, masywne więzienie carskie, zmodyfikowane potem przez Polaków.<sup>5</sup> Za czasów bolszewickich znowu zmieniło swoje oblicze. W celach dla 19 osób (wiedziałam, że przed okupacją w takiej celi mieszkało 19 osób, gdyż było tam 19 żelaznych łóżek), siedziało osób 80,90,100, jak to miało miejsce w celi 99, w której ja przebywałam w zimie 1940/41. W celi na jedną osobę (1 łóżko) siedziało 8-10 osób na 3 łóżkach (2 zostały wstawione później) i 6-ciu siennikach. W czasie wielkich aresztowań w lecie 1940 r. w takiej samej pojedynczej siedziało 16 osób.

To przepelnienie było powodem, że b. mały procent więźniów sypiał na łóżkach. Przed okupacją każdy więzień miał swoje łóżko, siennik, stołek i dostęp do stołu. W tym samym więzieniu za czasów sowieckich spałyśmy na cementowej podłodze. Jeżeli ktoś miał koce, mógł je sobie podłożyć, jeżeli nie, musiał spać na gołym betonie. Trzeba dodać, że większość aresztowanych byli to więźniowie polityczni, lub tzw. *granicznicy*, którym nie pozwalano zabrać ze sobą żadnych rzeczy.

Warunki higieniczne smętnie się przedstawiały: zawszenie było b. silne mimo, że wszystkie nasze ubrania co pewien czas dezynfekowano. Co prawda ta dezynfekcja raczej zwiększała ilość insektów, gdyż ubrania rozgrzewano do wysokiej temperatury we wspólnym piecu i wszy przechodziły z ubrań bardziej zawszonych na czystsze. Po wyjściu z takiego pieca wszy były nieco odurzone, ale po pewnym czasie odzyskiwały rezon i dalej gryzły swoich właścicieli. Mimo bezskuteczności tej dezynfekcji poddawane były jej wszystkie rzeczy, nawet nieużywane. Futra także skrapiano jakąś cieczą wszobójczą, która niby nie miała ich niszczyć jak parówka, ale też pozostawiała trwałe ślady.

Dezynfekcja była przeważnie połączona z łaźnią. Kapałyśmy się mniej więcej raz na miesiąc. Trzeba pamiętać, że było to lato, w celach było duszno do niemożliwości, ludzie się pocili. Co dzień rano wypuszczano nas do umywalni, w której można było obmyć twarz. Kiedy pewnego razu strażnik zauważył przez wizyterkę, że myjemy się całe, cała cela została ukarana całodziennym zamknięciem okna (było to równoznaczne z zamknięciem dopływu powietrza w pojedynczej, w której znajdowało się 10 osób). Zaczęło się to od tego, że strażnik z wielkim krzykiem wpadł do umywalni, kiedy byłyśmy w stroju adammowym, a raczej ewowym i zaczął nam wymyślać najordynarniejszymi wyrazami. Wymieniać ich zdaje się nie trzeba, bo repertuar był ustalony jeden na całe ZSSR i to, zdaje się, było jednym z dowodów jedności narodowej. Oburzenie strażnika wynikało stąd, iż nie mógł zrozumieć, że człowiek może odczuwać potrzebę umycia czegoś jeszcze oprócz czubka nosa.

Najbardziej tragiczną jednak była kwestia ubikacji. Wyprowadzano nas do ubikacji raz dziennie. Czasami tylko, jeżeli strażnik miał dobry humor, pozwalał nam wyjść także popołudniu. W ciągu 15 minut w ubikacji o trzech sedesach musiało się załatwić 30 kobiet. Trzeba wziąć pod uwagę, że przy naszym siedzącym trybie życia większość z nas cierpiała na obstrukcję. W celi stała tzw. *paraszka*, która w nagłych wypadkach zastępowała ustęp. Można so-

---

<sup>5</sup> Więzienie to rozpoczęto budować około 1908 roku i prawdopodobnie ukończono rok później. *Areszt śledczy w Białymstoku 1905-2005*, Białystok 2005, s. 7 (ustalenia Marcina Zwolskiego).

bie wyobrazić jaki był zapach w celi, kiedy nie pozwolono jej w czas wynieść i zawartość zaczęła się wylewać na zewnątrz.

Tak więc żyliśmy całe miesiące w zaduchu i smrodzie. Przez pierwsze trzy miesiące mego pobytu w więzieniu byłam raz na spacerze. Potem *progulki* zdarzały się co miesiąc, a kiedy wybuchł tyfus i władze widziały, że muszą zmienić swój stosunek do więźniów, chodziłyśmy na spacer co tydzień. Ciekawie wyglądały te nasze spacerki. Otóż w obrębie murów więzienia wybudowano zagrody z desek wysokości około 3 m, popularnie zwane wśród więźniów *świarniakami*. Nad każdą taką zagrodą górowała budka strażnicza, a w niej strażnik z bronią. Wymiary tych zagródek zależały od ilości więźniów, którzy mieli tam spacerować, dla większych cel po 80-100 osób około 15 m na 10 m, dla mniejszych 10 x 10. W takich to zagrodach spacerowałyśmy w kółko, jak konie w kieracie i byliśmy szczęśliwe, że chociaż przez te 5 czy 10 minut możemy oddychać świeżym powietrzem.

Kwestia odżywiania wyglądała następująco: więźniowie śledczy dostawali 600g. chleba, po sądzie 700 g. Rano otrzymywałyśmy chleb i pół litra herbaty – takeśmy szumnie nazywały ten napar z suszonej marchwi i buraków. W południe  $\frac{3}{4}$  l. zupy, przeważnie trochę pęcaku zarzuconego na wodę okraszzonego oliwą albo cuchnącą rybą. Wieczorem pół litra takiej samej zupy, która nazywała się kaszą, bo była nieco gęściejsza. Menu nie zmieniało się wcale. Jedynie raz czy dwa dostaliśmy tzw. *szczy* czyli kapuśniak, który naturalnie wprawili nas w cielęcy zachwył. Była to pierwsza jarzyna od paru miesięcy.

Przez pierwsze miesiące pobytu w więzieniu nie wiedziałam, że w ogóle istnieje sklepik. Dopiero kiedy „palaczki” zaczęły się zbyt głośno domagać machorki okazało się, że można ją dostać w sklepiku. Możliwość korzystania z niego zdarzała się około 1 raz na miesiąc, czasem raz na 2 tygodnie, przy czym mogły w nim kupować tylko te panie, które przy pierwszej rewizji oddały rosyjskie pieniądze i miały kwity na nie. Ponieważ większość była bez grosza, nie wiele pomógłby ten sklepik, gdyby nie koleżeńskość, która panowała w celi. Jak coś miała jedna, miały wszystkie. W tym sklepiku można było dostać machorkę, cebulę, chleb, czasami bryndzę. Raz pamiętam była wielka uroczystość: bo *ławioł* sprowadził masło i cukierki.

Stosunek strażników do więźniów był bardzo różnorodny. Zależało to w zupełności od indywidualnych cech strażnika. Niektórzy byli b. ludzcy, jeden nawet został aresztowany za zbyt łagodne obchodzenie się z więźniami. Inni byli obowiązkowi i okrutni. Z prawdziwą umiejętnością umieli wykryć każdą igłę, każdą talię kart, każdy moment kiedy się człowiek zdrzemnął na chwilę. Bo trzeba wiedzieć, że w więzieniu nie wolno było spać za dnia ani nawet leżeć. Nie wolno było płakać, bo zaraz wbiegł strażnik z okrzykiem: – *Czewo rewiosz?* Nie wolno było śmiać się, bo zaraz zostało się skarconym za hałas. Nie wolno było szyc, ani robić żadnych robótek, bo igły, nożyczki i wszelkie inne przybory do szycia mogły służyć jako narzędzia samobójstwa. Nie wolno było pisać, bo to mogłoby spowodować niepotrzebne porozumienie się cel między sobą, a po drugie nie wolno było mieć ołówka i papieru. Mimo to korespondencja na rozwiniętych gilzach kwitła w całej pełni. Czytać było wolno, tylko niestety przez cały czas mego pobytu w więzieniu i w karnym obozie nie miałam w ręku ani jednej książki. Jednym słowem pisanym, jakie spotkałam, były pocięte kartki jakichś polskich instrukcji więziennych, które dano nam kiedyś do wiadomego użytku. Byłyśmy tak spragnione jakiegokolwiek „literatury”, że stu-

diowałyśmy te nudne paragrafy prawne z takim samym zapalem, jak uczniowie z *Szyfowych prac* historię Buckle'a.

Tak więc najbardziej dozwolonym i praktykowanym zajęciem więźnia było bicie wszy. Poza to można było także cicho rozmyślać o swojej niedoli, tylko trzeba było uważać, żeby przypadkiem nie zwrócić oka ku oknu, bo to już wzbudzało podejrzania strażnika. A nuż więzień widzi w zakratowanym oknie jakiś środek ocalenia? Mimo, że praktykowałam rozmowę przez okno z innymi celami i byłam specjalistką od pilnowania „judasza” – wizyterki, zdarzyło mi się tylko raz być w karcerze za śpiewanie „O mój rozmarynie” w łazience podczas mycia się.

Ten karcer, w którym ja siedziałam, nie przedstawiał nic nadzwyczajnego: ot po prostu betonowe pudełko bez żadnych rekwizytów w środku i nawet bez okien. Zimno tam tak, że dygotałyśmy gorzej niż na śledztwie, ale nie długo trwała nasza męka, bo jedna z moich towarzyszek udała zemdenie, a my zrobiłyśmy tak piekielny wrzask, że strażnik nie miał cierpliwości tego słuchać i odprowadził nas do celi.

Pomoc lekarka była może stosunkowo najlepiej zorganizowana. Codziennie siostra obchodziła wszystkie cele. Był to jeden ze stałych punktów programu więziennego na równi ze śniadaniem, kolacją, obiadem, *prowierką*, czyli apelem rannym i wieczornym, i porą chodzenia do ubikacji. Używane środki lekarskie były następujące: maść do świerzb, ichtiol, rivanol, jakiś zielony atrament od czyraków, aspiryna, streptacyt i nieśmiertelne kalihyper-manganicum, słynna „margancówka”, którą aplikowano zarówno do dezynfekowania ran jak i do uśmierzania bólu żołądka.

Ja osobiście przechodziłam w więzieniu b. ciężką anginę. Pomoc lekarka w tym wypadku wyglądała w ten sposób, że po bez mała godzinnym waleniu w drzwi przyszła siostra, zmierzyła mi temperaturę, dała aspirynę i nazajutrz rano przyniosła mi w kubeczku roztwór kali dla przepłukania gardła. Na drugi dzień już zapomniała, że należy mi się płukanie i tak całą chorobę przesłam w celi na wiecznym przeciągu między drzwiami i oknem. Właściwie bez żadnej opieki, żeby zobaczyć doktora trzeba było co najmniej zacząć umierać. Poza to przechodziłam świerzb, który był zresztą epidemią, tak samo jak awitaminoza, która powodowała niesłychanie bolesne owrzodzenia. Szczególnie silnie odczułam bolesność czyraków w celi 99, gdzie w pomieszczeniu o wymiarach około 6 m x 10 m mieściło się 100 osób. Szczęśliwsza i bardziej zadowolona część tego społeczeństwa mieszkała na łózkach, nowicjusze zajmowali podłogę w ten sposób, że te które przyszły ostatnie kładły się koło drzwi, a co zatem idzie *paraszki* i potem powoli posuwały się ku oknu i stołowi.

Otóż ja spałam na podłodze w bliskości źródła przyjemnych zapachów i w ciągu nocy dążące do niego towarzyszki nadeptywały mi na bolące miejsca. Nie była to nieuwaga z ich strony, po prostu leżałyśmy tak ściśnięte, że nie sposób było postawić nogi nie potracając nikogo.

Siostry sanitarne widywałyśmy także podczas rewizji, które były częste i b. dokładne. Rewidowano nie tylko rzeczy i ubrania, bieliznę i włosy, ale nawet osoby bardziej podejrzane badano ginekologicznie. Rewizje przeprowadzały kobiety.

O życiu kulturalnym nie można mówić, bo go nie było zupełnie, chociaż słowo „kultura” nie schodziło z ust wszystkich strażników i śledczych do naczelnika więzienia włącznie. Rzeczywiście władze wkładały dużo „kultury”, która była równoznaczna z perfidnym znęcaniem się w różne zarządzenia, np.

nie pozwalano na sen w dzień, zamykanie okien, zabraniano dodawania więźniom jedzenia (choćby zostało pół kotła strawy, raczej wylewano ją niż dawano więźniom; naturalnie czasami zdarzały się wyjątki, bo nawet w enkawudziście czasami odezwie się serce), zabieranie igieł i nici, nawet Bogu ducha winnych drewnianych szydełek, które to zarządzenia wydawały mi się 100 % bezsensowne, ale które, teraz widzę, miały na celu zmęczyć do ostateczności wytrzymałość nerwową więźnia i tym samym ułatwić pracę śledczemu.

Zmuszano nas do bezczynności i to było najbardziej zabójcze. Młode organizmy, choć wycieńczone, rwały się do jakiegokolwiek bądź pracy, chociażby mycia korytarzy. Niestety, ten przywilej miały jedynie więźniarki, które były już sądzone a po sądzie były tylko te, które zostały aresztowane za kradzież albo coś w tym rodzaju. Te, których śledztwo nie było zakończone musiały siedzieć spokojnie w swoich celach. Na wszelkie nasze prośby o jakiegokolwiek zajęcie odpowiadano, że po sądzie pojedziemy do łagru i tam roboty starczy dla wszystkich.

### Łagier Nowy Koksyn

Rzeczywiście, że w karno-poprawczym obozie pracy roboty wystarczyło a nawet było trochę za dużo. Jeżeli chodzi o mnie, to przez prawie cały czas mego pobytu w łagrze pracowałam przy budowie systemu nawadniającego. Sypałyśmy wały z ziemi, między którymi płynęła później woda. Praca nasza polegała na wykopaniu ziemi, częstokroć bardzo twardej, przesypaniu jej na taczki, a raczej na tzw. *nosilki*, przeniesieniu na odległość od 2 do 15 m na miejsce, gdzie miał być wał, rozgnieceniu grud, wyrównaniu i ubiciu drewnianym ciężkim walcem (tzw. „trambowanie”). Norma wynosiła początkowo 9 m gotowego wału na 1 robotnicę. Niektóre brygady rosyjskie wykonywały tę normę, my Polki wyrabiałymy 20-40 %.

W miarę rozwijania się naszej kolonii, przybywało coraz więcej aresztowanych, w tej liczbie parę brygad męskich. Tutaj od razu zaznaczyło się równouprawienie, jakie panuje w sowietach, normy były jednakowe dla mężczyzn i dla kobiet. Mężczyźni naturalnie wykonywali normy i otrzymywali za to pochwały, i co ważniejsze lepsze jedzenie i prawo kupowania w sklepiku. Jeżeli ktoś nie wykonywał normy, nie mógł korzystać z niego. Powoli, coraz więcej brygad zaczęło wypełniać normę. Było to raczej zasługą dobrych stosunków brygadierskich z *prorabami* i *dzięśnikami* niż zwiększenia wydajności pracy, ale faktem jest, że coraz więcej aresztowanych otrzymywało pełną rację żywności przysługującą *stachanowcom* i *udarnikom*, tzw. tym, którzy wypełniali normę.

Wówczas podniesiono ją do 5 m<sup>3</sup>. na człowieka. O ile przedtem olbrzymim wysiłkiem woli i ostatkiem sił zdołałam pracować stosunkowo dobrze, o tyle teraz wyrobienie 25% normy (najmniejszej stawki, która broniła od imienia *otkaszczyka* tzn. nie chcącego pracować, a co zatem idzie pozbawionego wszelkich praw) było dla mnie niemożliwością. Z dnia na dzień siły mnie opuszczały coraz gwałtowniej, aż w końcu zachorowałam na tyfus. Taki był koniec mojej radosnej pracy dla budowania ZSSR i szczęścia całej ludzkości.

Jak wyglądało to miejsce, gdzie szczęśliwi robotnicy wszystkich narodowości pracowali dla dobra wspólnej Ojczyzny? Kiedy po wielu perypetiach przy-

byliśmy na *uczastok* Nowy Koksyn,<sup>6</sup> było tam zaledwie 12 baraków na pustym stepie. Nie wiem, czy nasze mieszkania można nazwać barakami. Były to po prostu podłużne rowy wykopane w ziemi i przykryte dachem z gałęzi. Od zimna chronił żelazny piecyk. Pamiętam jeden dzień, kiedy *burian* ze śniegiem szalał do tego stopnia, że nie poszliśmy do pracy. W barakach było zimno, bo opału już brakło. Wówczas to z paroma towarzyszami zostałam wysłana daleko w step dla wycinania jakichś krzewów, które służyły potem na opał. Nie miałam wtedy jeszcze 18 lat, które dają wszelkie prawa sowieckiemu obywatelowi, ale prawo ciężkiej pracy podczas burzy przysługiwało mi już w zupełności.

Z czasem baraków przybywało coraz więcej. Ukazały się druty kolczaste dookoła, budki strażnicze i wartownia. Jako dalszy etap postępu zjawily się długie sznury wzdłuż ogrodzenia, do których przymocowane były łańcuchy dla psów policyjnych. Wybudowano kuchnię, magazyn, *wodogrejkę*, a kiedy roboty przy melioracji były już na ukończeniu i kolonia zaczęła się zamieniać w fermę rolniczą, zaczęto nawet budować baraki z cegieł miejscowego wyrobu. W tym to okresie ceglanym ustępy nawet były murowane. Były to piękne białe budynki z olbrzymimi czarnymi literami Ż i M. Jedyną ich wada było to, że jak wszystkie zresztą ulepszenia i inwestycje w obozie, zostały wybudowane parę miesięcy za późno i epidemia tyfusu brzuszego, i głód zdołały już zdziatkwować ludność łagru. Poprzednie ustępy były to po prostu doły głębokości półtora metra, na których połowie były deski; prawie wypełnione po brzegi, nie było komu ich zasypywać i kopać nowych. Pływały w nich jakieś obrzydliwe robaki i larwy much, które po wylęgnięciu się odbywały niedługą, bo około 25-metrową drogę do kuchni albo krótszą, bo około 10 m do baraków mieszkalnych. W takich warunkach należałoby się raczej dziwić, gdyby epidemia nie wybuchała. To była jedna z przyczyn tyfusu. A głód, brud, ciasnota?

Jeżeli brak było miejsca w więzieniu, jeszcze można było sobie to jakoś tłumaczyć. Ale w obozie pracy, gdzie miała panować względna wolność i doskonałe warunki pracy? Odpoczynek nocny wyglądał w ten sposób, [że] jeżeli tylko ktoś w nocy wyszedł, ściśnięte ciała zapelniały momentalnie powstałą lukę i po powrocie trzeba było przesiedzieć całą noc na brzegu zrębu ziemi, który zastępował prycze.

Niedaleko wartowni stał dom naczelnika obozu, który był człowiekiem wolnym i kierownikiem robót. Życie tych dwóch ludzi nie różniło się prawie od siebie, ale za to było zupełnym przeciwieństwem życia „czarnoroboczych”, chodzących na tzw. *obszczyje raboty*. Kasą uprzywilejowaną byli również inżynierowie, prowadzący roboty tzw. *proraby* i podlegający im dziesiątnicy, którzy z kolei doglądali brygadierów. Brygadier był władzą, która bezpośrednio stykała się z robotnikami; mieszkał z nimi razem i w zasadzie powinien był być wybierany przez swoich przyszłych podkomendnych. W rzeczywistości brygadierami były te kobiety, które utrzymywały dobre stosunki z władzami.

Przykładowo początkowo naszą brygadierką była p. Grabowiecka, żona jakiegoś oficera z Lidy. Brygada wyrabiała wówczas 14-18 % normy. Po pewnym czasie dostałyśmy nową „brygadierkę” – młoda rosyjską dziewczynę, która należała do arystokracji obozowej, gdyż została ukarana za defraudację, co

<sup>6</sup> S. Kalbarczyk, *Wykaz łagrów sowieckich, miejsc przymusowej pracy obywateli polskich w latach 1939-1943*, cz. 1, Warszawa 1993, s. 185.

stanowiło przestępstwo najbardziej szanowane w obozie. Potem szły wszystkie inne *bytowyje stati* – przestępstwa administracyjne i złodziejstwo połączone z mordem, a na samym końcu, jako najwięksi zbrodniarze stali więźniowie polityczni. Mimo to często oni właśnie zajmowali naczelne stanowiska po prostu dlatego, że nowe *blagonadiożne* – prawomyślne społeczeństwo nie posiadało odpowiedniego wykształcenia. Jednak usuwano ich zewsząd, gdzie można było się obyć bez fachowców.

Tak więc ta młoda Rosjanka Frajłowa została naszą *brygadirką*. Z początku byliśmy szalenie oburzone, dlaczego, my Polki musimy znosić przełożoną Rosjankę, ale wkrótce zauważyliśmy, że mamy z niej wielką korzyść. Otóż wydajność naszej pracy zaczęła się coraz bardziej zwiększać. Wyrabialiśmy teraz 70%, 80%, 100% a nawet niektóre *zwiena* (grupy po kilka osób pracujących razem) osiągały „stachanowskie” wyniki. Co się stało? Czyżby sił nam przybyło, czy doszliśmy już do takiej wprawy w noszeniu ziemi? Nie, po prostu Frajłowa była bardzo ładną kobietą i nie trudno jej przychodziło wpisywać nam takie procenty, jakie chciała.

*Prorab* zapatrzonej w jej piękne oczy milczał. Dlaczego właściwie starała się ona tak usilnie o poprawę naszego bytu? Przyczynę łatwo zgadnąć: młoda, śliczna dziewczyna była ambitna i lubiła piękne fatalaszki, a nasze panie miały jeszcze sporo dobrze zachowanych rzeczy z Polski. Trzeba było zdobyć sobie ich serca i żołądek, aby trafić do waliz.

Jak wyglądał dzień pracy w łagrze? Pobudka była około godz. 3-ej rano, długo jeszcze przed wschodem słońca. Dyżurna wraz z *dniewalną* (starsza kobieta, która nie chodziła na robotę i miała obowiązek pilnowania baraku) szła po śniadanie, które składało się z pół litra wody po jaglance na osobę, w rzadkich momentach dobrego humoru, nazywałyśmy te lury „zupą”. Na pół godziny przed wschodem słońca zaczynały się rozlegać krzyki dziesiętników, zawchoza i przede wszystkim rozprowadzającego brygady, nawołujące do wychodzenia na robotę. Był to głos wołającego na puszczy. Naturalnie spałyśmy w dalszym ciągu, ewentualnie przetykałyśmy *balandę*. O ubieraniu się nie było mowy, bo spałyśmy w tym samym, co w dzień chodziłyśmy. Rozbieranie się pociągało za sobą konieczność choćby fikcyjnego szukania wszy, a po co to robić, kiedy nawet insekty zostawione w spokoju mniej gryzą? My nie możemy mieć chwili spokojnej, niech chociaż nasze wszy hodują się dobrze. Od takich wynalazków cywilizacji (burżuazyjne *priedrassudki*<sup>7</sup>) jak mycie odzwyczaiłyśmy się już dawno. Teraz i my rozumiałyśmy, że wystarczy wymyć czubek nosa raz na tydzień. Po co to robić częściej? I tak znowu pójdzie się do pracy i *ubabrze* w ziemi.

W końcu, kiedy zaczęto krzyczeć, że sprawdzają w barakach, kto nie wyszedł na robotę, zwlekałyśmy się z posłań i wychodziłyśmy na plac. NKWD wraz z władzami obozowymi szalało po szalaszach wyciągając z wielkim hałasem *otkazczyków* i innych wrogów *radosnowo truda*. Brygady stały tymczasem na placu pod bramą i cierpliwie czekały swojej kolejki wyjścia poza druty na robotę. Wtedy właśnie wschodziło słońce.

Po przyjeździe na miejsce pracy, jeśli nie było w pobliżu żadnej władzy wyższej, a *brygadirka* nie była zanadto gorliwa, kładłyśmy się na taczkach i łopatach i w dalszym ciągu kontynuowałyśmy sen. Działo się tak nie tylko w na-

<sup>7</sup> Kpiąco: burżuazyjne przesady.

szej polskiej brygadzie, ale we wszystkich. W ogóle Polki stanowiły stosunkowo mały procent na Nowym Koksynie. Kiedy słońce rozgrzało już trochę nasze skulone i zmarznięte członki, i równie zmarznięty i senny wartownik przypomniał sobie, że należy krzyknąć: – *A nu, dawajcie-ka po bystriej* – wstawaliśmy i zabieraliśmy się do pracy. Pracowaliśmy b. gorliwie – byliśmy głodne i zależało nam na każdym gramie chleba. Normy chleba zostały zmniejszone po wybuchu wojny niemiecko – sowieckiej. Kto nie wykonał 25 % normy uważany był za *otkazczyka* i dostawał 300 gramów chleba, i na dodatek czasami karcer. Niestety, praca była tak męcząca i organizm tak wyczerpany, że wyrobienie 25 % było szczytem naszych marzeń. To, że nie siedzieliśmy w karcerze zawdzięczamy tylko umiejętności naszej *brygadirki* i temu, że naszym dziesiątnikiem była Polka p. Julia Wołkowa.

O ile ranki były zimne, prawie mroźne, to południe dawało się nam we znaki w wprost przeciwny sposób – upał odbierał nam resztki sił. Ponieważ pracowaliśmy w odległości 5-10-15 km od łagru (kanały budowano coraz dalej, więc i odległość od obozu powiększała się z każdym nowo usypanym wałem), więc obiad przywożono nam na pole. Kiedy pracowaliśmy w odległości 3-5 km chodziliśmy na obiad do obozu. Przerwa południowa trwała godzinę. W czasie tej przerwy przełykałyśmy 850 g. *balandy*, tak nazywałyśmy zupę, był to przeważnie kapuśniak, grochówka albo jaglanka. Czasami można było w niej znaleźć parę włókienek mięsa), na drugie danie była kasza – pęczak, jaglanka, albo soja, ale tylko dla tych, którzy wykonywali co najmniej 70% normy. Ci, którzy byli zdolni wykonać 100% dostawali czasem pierogi na trzecie. Mieli oni także prawo dokupowania sobie chleba i cebuli. Ci, którzy nie mogli sobie pozwolić na kupno posługiwali się metodą daleko prostszą w zdobywaniu witamin – po prostu wykradali z pola wszystko, co na nim rosło w myśl zasady, że w ZSSR *kto nie worujet* [kradnie] *tot nie żywiot*. Nawet surowe kartofle stanowiły przysmak nie lada i ja dotychczas nie mogę zrozumieć, dlaczego właściwie gotuje się ziemniaki, a nie je się ich tak jak jabłek? Wówczas wydawało mi się, że nie ma większego przysmaku, jak młody surowy kartofelek. O tem, żeby upiec albo ugotować sobie ziemniaki nie było mowy, zaraz zjawiał się strażnik z bagnetem i roztrzącał ognisko.

Formalnie w czasie przerwy obiadowej miałyśmy czas dla oporządzenia swoich ubrań, prania itd. W praktyce byliśmy tak zmęczone pracą, że po prostu było nam wszystko jedno, czy nasze ubranie jest całe, czy podarte, czy jesteśmy brudne, czy czyste; jedyną ważną kwestią było napełnienie żołądka i zdobycia chwili snu. Kładłyśmy się więc na ziemię jak nieżywe, aby choć na moment nie czuć ciężkiej motyki w ręce, żeby przez chwilę chociaż odpocząć. Po przerwie pracowaliśmy do zachodu słońca. Dni są długie w Kazachstanie i dzień pracy miał tam 14-15 godzin. Kiedy słońce zaszło, spędzano nas z pola i gromadami pod eskortą strażników wracaliśmy do obozu. Dobrze, jeżeli pozwolono nam od razu iść do baraku, ileż to razy zatrzymywano nas przed bramą obozu i urządzano miting polityczny, kazano krzyżeć „niech żyje Stalin” albo odczytywano wyroki śmierci, jakie ktoś tam gdzieś dostał za ucieczkę z obozu lub *otkaz* w pracy.

Wejść do obozu nie było wcale łatwiej niż wyjść z niego. Najpierw trzeba było przejść przez ręce niezliczonych *prorabów*, rozprowadzających naczelników, którzy liczyli nas jak stado owiec, potem dopiero można było biec do

baraku. Ten cały ceremoniał był już zresztą wielkim postępem w życiu więźniów, bo przedtem robiono jeszcze po kolacji tzw. *prowierki*, tzn. co najmniej pół godziny stania pod gołym niebem i czekania aż strażnicy ze swoją świtą doliczą się wszystkich więźniów.

Na kolację dostawaliśmy wrzątek i chleb, który naturalnie zjadałyśmy od razu, chociaż miał nam wystarczyć na cały przyszły dzień. Zaledwie przełknęłyśmy ostatnie kęsy rzucaliśmy się jak nieprzytomne na posłanie. Była godz. 10, o 3-ej rano znowu pobudka i znowu znojny dzień pracy.

I tak bez ostatku, dopóki sił starczy, dopóki czarna ziemia nie przygarnie na wieczny odpoczynek. Bo w tym obozie, gdzie ja byłam, nie było świąt ani dni wolnych. Pracowało się bez przerwy. Jeżeli był *buran* i nie można było wyjść w pole, nie można było się też poruszać z zimna. Siedziało się na swoim posłaniu zupełnie jak drewniana figura. Często zdarzało się, że nawet deszcz nie powstrzymywał zarządów łagru od wypędzenia nas na robotę i musiałyśmy tak bezczynnie tkwić w mokrej ziemi, w mokrych ubraniach, bo już byłyśmy tak zrezygnowane i zmęczone, że krzyki i groźby, i nawet lufa karabinu nie mogła zmusić nas do żadnego ruchu.

Można by dużo jeszcze pisać o życiu w łagrze. Ale wspomnienia są jeszcze zbyt świeże i zbyt bolesne. Można kiedyś po latach będę mogła mówić spokojnie o tych czasach. Teraz mimo najszczerzych chęci nie nam sił wgłębiać się dalej w tę otchłań nędzy ludzkiej, jakim jest *isprawitielno-trudowej lagier*.

*Ochotniczka Urbanowicz Anna – uczennica*

## • WSPOMNIENIA LWOWIANINA

Byłem aresztowany po północy 30 marca 1940 roku w rodzinnym domu przy ulicy Warszawskiej 63a na Kleparowie. Na wojskowej ciężarówce było już kilku ludzi. Zawieźli nas w górę ulicą Kleparowską, wokół kościoła Świętej Anny i przez Gródecką do ulicy Sądowej, gdzie mieścił się przed wojną sąd grodzki. W piwnicach budynku tego sądu zrobiono cele więzienne – przesłuchiwania więźniów odbywały się w budynku po przeciwnej stronie.

Byłem przesłuchiwany tej samej nocy. Wysoki „czubaryk”, o rysach kaukaskich, oskarżył mnie o zignorowanie wyborów lutowych. Z nieoczekiwaną przez samego siebie odwagą odparłem, czy nie zrobiłby on to samo w sytuacji odwróconej- gdyby tak Polacy wkroczyli do Rosji i po kilku miesiącach żądali od niego głosowania w wyborach polskich. Zaklął grubiańsko, ale zauważyłem w jego oczach zaskoczenie połączone z małym szyderyczym uśmiechem. Rzucił następne pytanie a raczej stwierdzenie: Byłeś w zarządzie szowinistycznej organizacji „Biały Orzeł”? Odpowiedziałem, że owszem, byłem w zarządzie, ale „Biały Orzeł” to czysto sportowy klub. Stwierdził następnie, że należałem do podziemnej organizacji wojskowej. Zaprzeczyłem. Patrzył przez chwilę intensywnie w moje oczy i zapytał: Czy wiesz, że taka organizacja istnieje? – Odparłem, że nie wiem, ale jestem pewny, że jeżeli nie istnieje to wkrótce będzie istnieć. Zaklął znowu i naciskał dalej: - Gdyby taka organizacja istniała, wstąpiłbyś do niej? – Odpowiedziałem, że nie miałbym wyboru, byłby to obowiązek.



Znów wpatrywał się we mnie ciekawie, wreszcie zaśmiał się szyderczo, otworzył drzwi i rozkazał odprowadzić mnie do celi.

Nazajutrz długo roztrząsałem każde słowo tego przesłuchania i dziwiłem się samemu sobie – co we mnie wstąpiło, przecież to ja byłem w ofensywie, ciarki przechodziły mi po krzyżu. Przecież następnym razem zbije mnie na kwaśne jabłko. Podszedł do mnie współwięzień, olbrzymi brodacz, uśmiechnął się przyjaźnie i rzekł, jak gdyby czytając moje myśli: - Nie zmieniaj swoich zeznań, będą pytać to samo za każdym razem – odpowiadaj tak samo jak pierwszy raz, unikniesz nieprzyjemnych komplikacji. – Zapamiętałem jego radę, okazała się zbawienna.

Rozejrzałem się po celi. Było razem około 30 ludzi, ze ścian i sufitu spływała woda, brak było powietrza, małe okienko piwniczne nie wpuszczało prawie światła, żarówka w środku sufitu paliła się cały czas. Uspokoilem się trochę i zacząłem się modlić. Przyszła mi na myśl litania loretańska, którą znałem na pamięć. Odmawiałem ją potem codziennie, we wszystkich więzieniach, w łagrze, w czasie powrotu z łagru na zachód, w Tockoje, w Uzbekistanie, w czasie koszmarnej podróży morzem Kaspijskim do Persji. Jest dotychczas moją ulubioną modlitwą.

Po dwóch tygodniach znalazłem się w Brygidkach. Towarzystwo w celi było mieszane, przeważali złoczyńcy. Przywitał mnie „starszoj” – poznałem go natychmiast, jeden ze słynnych lwowskich kasiarzy, trzech braci Bobeli. Był średniego wzrostu, rudy, z dziwnie ciepłym uśmiechem. Znał mnie i moją rodzinę (byliśmy prawie sąsiadami), objaśnił rutynę w celi i przedstawił kilku najbliższym kumplom.

W godzinach porannych, po przymusowym wszobiciu, odbywała się przechadzka po środku celi. Maszerowało na zmianę trzy pary, na więcej nie było miejsca. Maszerowało na długości około 8 metrów, przy dojściu do dwóch końców, każda para robiła zwrot do wewnątrz i powtarzała następną długość przechadzki. Obserwowałem tych, którzy po kolei chodzili, zainteresowałem się wysokim mężczyzną, z francuskim wąsikiem, uschłą lewą ręką i z kosztownym futrem na ramionach. Zapytałem Bobelę: Co to za łyta? (bogacz). – To nie żaden łyta – odpowiedział – to słynny Krzyworączka, jeden z najlepszych kieszonkowców w Europie. Podróżował na międzynarodowych liniach kolejowych i oczyszczał bogatych pasażerów.

Pod wpływem Bobeli inni tolerowali, a nawet do pewnego stopnia, opiekowali się mną – spałem pośrodku dwóch zestawionych łóżek. Inaczej było z innymi „politycznymi” – spali oni na podłodze (brakowało łóżek), do pewnego stopnia pogardzani. Zainteresowałem się dużym typowym chłopem polskim, rozłożonym w kącie sali; miał około sześćdziesięciu lat a może trochę ponad, nazywał się Andrzej Dyba, miał majątek koło Brodów. Nie był tak prosty jak się wydawało, zwierzył mi się, że był znanym działaczem społecznym, miał kilka odznaczeń za pracę społeczną, w tym złoty krzyż zasługi. Rozpaczkał nad przyszłością swojej rodziny, był przekonany, że już nigdy do niej nie powróci.

Ta raczej ciekawa sytuacja, w której się znalazłem w celi mieszanej nie trwała długo. Po kilku tygodniach zmasowali mnie z przeszło 80 „politycznymi” w celi nie większej jak 8 x 4 metry, widocznie aresztowali taką masę ludzi, że brak im było miejsca na pomieszczenie ich. Łóżek w celi nie było, na podłodze

mogła się wyciągnąć na zmianę tylko jedna trzecia ludzi. Spoczywaliśmy i spali na zmiany, brak było powietrza a przechadzki były nie do pomyślenia. Jednocześnie postanowiliśmy zacząć głodówkę, aż do czasu zmniejszenia ilości ludzi w celi. Odmawialiśmy chleba, zupy i wody przez trzy dni. Grozili, przeklinali, ale po trzech dniach zabrali 15 ludzi. Można było swobodniej oddychać. Pewnego dnia przypadkowo zauważyłem, że przez szparę u dołu drzwi wiał maleńki przeciąg i czyste powietrze. Ku zdumieniu niektórych ludzi ułożyłem się dosyć blisko „parażki”, ale również w zdrowotnym przeciągu przy drzwiach.

Zaczęliśmy się poznawać. Było kilka ciekawych typów, wśród nich dwudziestoparoletni Żyd Aron, z typową semicką twarzą. Aron przyznawał się do komunizmu, a nawet chlubił się tym, że od kilku lat, będąc studentem na Uniwersytecie Jana Kazimierza na stypendium państwowym, był aktywnym komunistą. Dlaczego go komuniści zamknęli? – pomyłka, odpowiadał Aron, która niedługo się wyjaśni. Okazało się, że był trockistą i nie miał szans na zwolnienie. Poznałem również młodego chłopaka z Łodzi, Józia Nowaka, który również przyznawał się do komuny a ojciec jego „siedział” przed wojną za swoje przekonania. Józia posadzali o szpiegostwo. Byliśmy razem przynajmniej 6 tygodni, przesłuchiwano tylko niektórych, Arona kilka razy. Nim zabrali mnie z celi w lipcu, Aron widocznie tracił nadzieję, wyglądał strasznie, skóra mu pożółkła, oczy błyszczały chorobliwie. Po czasowym przebywaniu w Bragidkach znalazłem się w więzieniu „czysto politycznym” przy ulicy Zamarstynowskiej. Był to przedwojenny kompleks sądowy i więzienie garnizonu lwowskiego. Cena, do której trafiłem, była w podobnym stopniu przepelniona jak te, w których siedziałem w Brygidkach. Więźniowie jednak byli innego pokroju, większość stanowili byli wojskowi różnego stopnia, policjanci, strażnicy, jak również wielu Ukraińców.

Już w maju NKWD zaczęła aresztowania wśród Ukraińców. Było to po wybuchu bomby 1 maja pod trybuną zapelnioną oficerami sowieckimi i ich rodzinami, w czasie zawodów sportowych na pływalni wojskowej przy ulicy Kleparowskiej. Ale prawdziwe żniwa na Ukraińców zaczęły się dopiero w lipcu. Do „mojej” celi wtrącano po kilku prawie codziennie. Zabierano ich tej samej nocy na przesłuchania, wielu z nich nie wracało do celi. Tych, którzy wracali, wrzucano do celi jak kupę mięsa, zasiniaczonych i pokrwawionych okropnie. Jeden w nich w wieku około 25 lat, z grubymi rysami chłopskimi, po kilku dniach katuszy, nie wytrzymał. Po powrocie z przesłuchania, gdy wszyscy w celi usnęli, powiesił się na rękawach swojej własnej koszuli, którą uwiązał u góry kaflowego pieca w kącie celi.

Przez pewien czas Polaków nie przesłuchiwano, prawdopodobnie koncentrowali się na Ukraińcach. W celi wytworzyła się powoli pewna atmosfera odprężenia. Ktoś ulepił szachy z chleba i zaczął się turniej. Pewnego dnia spotkałem niespodziewanie w ubikacji-umywalni lub w korytarzu pomiędzy celami Tadzika Fidalskiego, był z innej celi, ale tego dnia strażnicy nawalili otwierając dwie cele naraz. Znałem Tadzika tylko z widzenia, był starszy ode mnie, poznał mnie jednak i krótko rozmawialiśmy. O sobie mówił pesymistycznie, twierdził, że nic go nie uratuje; dowiedziałem się od niego, że Adam Szpularz także „siedzi”, a Dziunek Sokół podejrzanym kapusiem. Sam był bardzo opanowany, taki, jakim go widywałem na wolności, biła mu z twarzy jakaś dziwna szlachetność i dobro.

Z początkiem sierpnia miałem dalszych kilka przesłuchań, NKWD-zista, który mnie przesłuchiwał, był zupełnie odmiennym typem od poprzedniego. Wysoki, szczupły, z twarzą Mongoła i kościotrupa, z zadartym nosem, tak jak daszek jego czapki, której chyba nigdy nie zdejmował. Zadawał mi te same pytania i otrzymywał te same odpowiedzi, wściekał się, krzyczał, przeklinał i bił gumową pałką po nogach – nic nowego powiedzieć mu nie mogłem. Gdzieś z końcem sierpnia lub początkiem września (dokładne daty w takich warunkach nie mają większego znaczenia) niespodziewanie znalazłem się na sali sądowej. Byłem wprowadzony ostatni, po przenoszeniu do innych cel nie mogli mnie znaleźć, gdy wreszcie trafili, wyrwali mnie z celi tylko w gaciach.

Grupa oskarżonych składała się z około 30 ludzi – rozpoznałem Adama Szpularka, Tadzika Fidalskiego i młodziutkiego Kazia Cwynara, innych w ogóle nie znałem. Parodia przewodu sądowego trwała około 40 minut, gadało długo dwóch oskarżycieli a potem dwóch przydzielonych obrońców. Apelowali oni do, zdaje mi się, trzech sędziów, by ze względu na młody wiek większości oskarżonych byli łaskawi w wydawaniu wyroków. Następnie sąd udał się na naradę celem uzgodnienia wyroków. Po nie więcej niż 15 minutach wrócili z wypisanymi maszynowo wyrokami na około 30 ludzi. Adam Szpularz, Tadeusz Fidalski i emerytowany kapitan Michał Kotliński (słyszałem przed wybuchem wojny, że był naszym sąsiadem, wybudował dom niedaleko naszego, za torem kolejowym) zostali skazani na śmierć, reszta na pomiędzy 5 do 15 lat ciężkiej pracy w łagrach. Ja dostałem 10 lat a najmniej Kazio Cwynar, 5 lat. Wszystkich pozbawiono obywatelstwa sowieckiego (w tym miejscu rozległy się ironiczne śmiechu wśród skazanych) i skonfiskowano wszystkie nasz majątek.

W przeciągu tygodnia znalazłem się znów w Brygidkach w jednej z cel „zasadzonych”. Po przybyciu do Brygidek wszyscy byli poddani ścisłej rewizji, rozbierali nas do naga i wszystko było szczegółowo przeszukane. Mój „strzałok” w czasie tej rewizji zapytał mimochodem: - Skolko pouczył? – Diesiątku – odpowiedziałem i wtedy po raz pierwszy usłyszałem od niego tę filozoficzną formułę egzystencji w Związku Sowieckim: – Żyt’ budiesz, Jeb’t nie zachoczysz! – Stu procentowa prawda – przychodziły mi na myśl te słowa w łagrze bardzo często, byłem wówczas tak słaby fizycznie i psychicznie, że gdyby postawili przede mną najpiękniejszą kobietę na świecie i kromkę chleba, sięgnąłbym po chleb.

Po kilku dniach rozdali wśród nas po kartce „bumaszki” i kazali pisać „o pomiłowanie” do Stalina. Oddałem bumazkę czystą, ale nie dali za wygraną, po dwóch dniach wywołali mnie na korytarz. Przy stoliku siedział NKWD-zista, który zapytał dlaczego nie napisałem „o pomiłowanie”. Odpowiedziałem, że pomiłowania nie chcę. Zaklął siarczyście i oświadczył: - Napiszu za was! – Napisał i zażądał podpisu – podpisałem. Po dwóch miesiącach przyszła odpowiedź Stalina – nie pomiłował.

Robiło się coraz zimniej w celi i niespodziewanie byliśmy zadowoleni z przepełnienia, wspólne smrody dawały trochę ciepła. W drugiej połowie listopada załadowali nas do karetek i przetransportowali na stację kolejową Kleparów. Wczesnym rankiem opuszczaliśmy Lwów. Ostatni raz jechałem „sztreką” kolejową Kleparów-Podzamcze. Patrząc przez szparę w wagonie migało mi przed oczyma to wszystko z czym się zrosłem przez 19 lat na Kleparowie – pola i sady, które mogłem wyliczyć po imieniu, ich właścicieli, nasz drewniany dom w odległości nie większej niż 800 metrów od toru kolejowego, przejście

kolejowe przez ulicę Wszystkich Świętych, a potem po przeciwnej stronie strzelnicę wojskową, basen kąpielowy i nasyp wiodący do mostu przeczułicę Kleparowską...

Jechaliśmy w wagonach towarowych, po mniej więcej 60 w każdym, a pociąg był długi. Po dwóch stronach wagonu były dwa rzędy drewnianych pryzc a pośrodku podłogi wyrębana dziura, drzwi z obu stron były zaryglowane. Dostaliśmy po 300 gramów chleba i „kpiatok” przed wyjazdem ze Lwowa – to było wszystko aż do Ufy. Ogromna desperacja i bojaźń przed nieznanym ogarnęła ludzi. Z jakiegoś wagonu wyłamano się (przypuszczalnie przez powiększoną dziurę w podłodze, myśleliśmy też o tym), była jakaś ucieczka, pociąg zatrzymano w czystym polu, kilku „strilków” wpadło również do naszego wagonu, liczyli nas kilka razy a później pobili najbliższych kolbami karabinów.

Pociąg często stał godzinami na bocznicach stacji, było ogromnie zimno, jechaliśmy już wzdłuż południowej Syberii na olbrzymiej przestrzeni pomiędzy Uralem a Irkuckiem. Prawie wszyscy mieliśmy odmrożone w różnym stopniu nogi lub ręce. Młodziutki Tadziu Rejtan (dziwne fatum jest związane z tym nazwiskiem) zasnął przy ścianie wagonu – z trudem oderwaliśmy całą lewą stronę jego odzieży od desek wagonu, odmroził sobie również część twarzy i głowy (wykończył się w łgrze, gnął za życia, wreszcie zwariował).

Do Irkucka przyjechaliśmy zupełnie wyczerpani. Gdy zagnali nas tam do łaźni parowej, przy wejściu zrobiło mi się ciemno w oczach i zupełnie omdlałem – nie byłem wyjątkiem. Nie wiedzieliśmy oczywiście dokąd nas wiozą. Jak się okazało z Irkucka do Burlągru pozostało jeszcze 2000 kilometrów. Po miesiącu tej koszmarnej jazdy przybyliśmy do kolonii przejściowej łągru, było blisko Bożego Narodzenia. Nie braliśmy tego pod uwagę, wszystkie nasze myśli kierowały się ku przetrwaniu i ewentualnemu ocaleniu.

Gdzieś koło nowego roku 1941, załadowano nas w połowie dnia na otwartą lorę dużej ciężarówki, około 60 chłopca, nakryli płachtą i wieźli do późnej nocy. Mróz był okropny. Stanęliśmy na polanie sosnowego boru, okazało się, że trzech ludzi, którzy siedzieli pośrodku lory, udusiło się, a pięciu siedzących z przodu zamarzło na śmierć. Szczęśliwie byłem jednym z siedzących na samym tyle. Noc była piękna, cicha, gwiazdy jarzyły się tysiącami na niebie, było stosunkowo jasno, otaczały nas wysokie drzewa. Zapaliliśmy ogromne ognisko i w półśnie przetrwali do rana. Rano „starszyj” z trzech żołnierzy (jak się potem okazało byli też więźniami) oznajmił nam, że w tym miejscu mamy zapoczątkować nową kolonię łągierną. Zostawili nam 2 piły, 2 siekiery, 2 łopaty, trochę dużych gwoździ i żelazny piecyk oraz dosyć duży worek mąki. Zapowiedzieli, że po dwóch tygodniach powrócą, rzucili zmarłych na lorę i odjechali.

Konieczność jest matką osiągnięć. W dwa tygodnie postawiliśmy barak a raczej duży szałas, na pół metra od ziemi, z dachem spadającym aż do podwalin, mchem między okrągłakami drzewa. Wewnątrz prycze po dwóch stronach wysłane chrustem, pośrodku żelazny piecyk. Jedynym posiłkiem była zbiegła mąka na gotującej się wodzie.

Jak zapowiedzieli po dwóch tygodniach wrócili, przywieźli kilka bochenków chleba zamrożonego na kamień i więcej mąki, pochwalili robotę i odjechali. W przeciągu kilku tygodni zjechało się więcej skazańców, zbudowano więcej ba-

raków. W maju, gdy wreszcie zaczęła się krótka wiosna, powstała nowa kolonia potwornych żebraków, zdruzgotanych cieni ludzkich, żyjących jak zwierzęta.

Wysyłano nas do oczyszczania terenu szerokości około 25 metrów, po którym miała przebiegać przyszła linia kolejowa. A potem, przez kilka tygodni, pracowałem w kamieniołomach, w których wydobywano materiał do budowy przyszłych mostów i nasypów kolejowych. „Naparnikiem” moim był najpierw młodszy ode mnie lwowianin Władziu Herman. Pochodził z bogatej rodziny, ale nigdy głęboko nie zwierzał się na ten temat. Jego blada twarz była zawsze dziwnie pełna smutku i rezygnacji. Nieoczekiwanie Władziu zniknął z kolonii a naparnikiem moim został olbrzymi ukraiński Żyd z dużą siwą brodą i łysą głową. Aron (jeszcze jeden Aron) wyglądał na starego człowieka, ale faktycznie niedawno ukończył 45 lat. Był w dziesiątym roku swego wyroku, nie spodziewał się jednak, że go wypuszczą. Był raczej przekonany, że (jak mówił ironicznie) „sowiecka władza w swojej niezmiernej dobroci” przedłuży jego wyrok przynajmniej o kilka lat. Była to normalna procedura. Tych, których zwalniali wysyłano do starych kolonii łagiernych, wokół których powstawały z czasem nowe wsie i miasteczka. Łagier, po wypełnieniu planu, opuszczał stare kolonie na południu i przenosił się, wraz z powstającymi nowymi koloniami, na północ.

W lipcu kopaliśmy olbrzymie doły na podwaliny mostów. Pół metra w głąb ziemia była wiecznie zamarznięta. Wierciliśmy w niej głębokie dziury, które wypełniano materiałem wybuchowym i wysadzano w powietrze jak skałę. Niespodziewanie na kilka dni oddzielili mnie od „mojej” brygady i wysyłali codziennie na piaszczyste koryto rzeczne, na którym stały prowizoryczne sita umieszczone na drewnianych ramach. Od poranku do zachodu słońca przesiewałem suchy złocisty piasek a na sitach pozostawały różnego rozmiaru grudki złota. Po długiej całodziennej pracy nie było tego dużo. Nie wiem, co było przyczyną tego interesującego eksperymentu, przypuszczalnie chcieli wy badać procentową zawartość złota w piasku.

Wiosna i lato były bardzo krótkie, razem nie więcej jak 4 miesiące, przyroda zmieniała się w oczach. We wrześniu mieszaliśmy ręcznie olbrzymie ilości cementu, z którego ulewano przęsła mostów. W październiku spadły śniegi i zaczęła się zima na całego. Odłączyli mnie znów od brygady na kilka dni i dowozili do składów cementu, piasku i kamieni. Ładowałem, z pomocą kierowców te materiały na wielkie ciężarówki. Pewnego dnia, za wyjątkiem kilku ciężarówek rano, po południu nikt się nie zjawiał. Położyłem się na desce przy ognisku, które poczawszy od rana paliło się przez cały dzień, i wkrótce zasnąłem. Mróz i zapadający wieczór obudziły mnie, nie mogłem się oderwać od przymrożonej do mnie deski. Gdy wreszcie się wyrwałem natarłem przymrożoną rękę aż po łokieć śniegiem i podnieciłem prawie już wygasły ogień. Ogarnęła mnie trwoga, myślałem, że zapomnieli o mnie. Było już ciemno, gdy przyjechała wreszcie ciężarówka powrotna. Zafasowałem w ten sposób na całe życie barometr w mojej lewej ręce – wierci w niej nieprzyjemnie przed zmianą pogody. W „mojej” brygadzie nikt nie wypełniał normy dziennej, prawie wszyscy byliśmy Polakami. Wyrabialiśmy około 35%, tak, aby nie traktowano nas jak „odkaszczyków”.

W latach siedemdziesiątych ambasada sowiecka w Wellingtonie, Nowa Zelandia, wydała specjalny artykuł propagandowy dla tutejszej prasy, który zawierał opis otwarcia nowej linii kolejowej, o długości przeszło 2000 kilometrów,

łączącej dolinę rzeki Burii z Nikołajewskiem i Krasnowodzkim. Wyczyn ten podkreślano jako jeszcze jedno olbrzymie osiągnięcie gospodarcze władzy sowieckiej w południowej Syberii. Moje protestacyjne listy do redakcji kilku głównych dzienników były zupełnie zignorowane. Rząd Nowej Zelandii nawiązywał wówczas nowe stosunki handlowe ze Związkiem Sowieckim i spodziewał się dużych eksportów do tego kraju produktów mlecznych, baraniny i wełny.

W drugiej połowie października miałem niezwykle sen: stałem na wysokiej górze, w dolinie z mgły wyłaniały się kolumny wojska, rozpoznałem, że to wojsko polskie. Wzruszony odwróciłem się, za mną stał mój starszy brat Mietek, szlochając padliśmy sobie w ramiona... Sen przerwał łągierny dzwon „na podiom”, poderwałem się z barłogu i obudziłem mojego „naparnika” Alojzego, kelnera ze Lwowa. Opowiedziałem mu mój sen, słuchał smutnie i milczał. Wkrótce otworzyły się drzwi baraku i stanął w nich „zakluczonyj” Rosjanin, który pracował w „biurze” kolonii na zmianie nocnej jako telegrafista a mieszkał w naszym baraku. Oznajmił on nam, że otrzymał w nocy bardzo ważny telegram dotyczący „Polaczków” i że wszyscy Polacy po porannej zbiórce zostaną w obozie. Tak się stało, powiedzieli nam, że z powodu wojny z faszystami niemieckimi, władza sowiecka podpisała umowę z Polakami i wojsko polskie będzie formułowane w Związku Sowieckim. Na drugi dzień zajechały ciężarówki i zabrały wszystkich Polaków do kolonii przejściowej, około 60 kilometrów na południe.

I faktycznie, przez pewien czas zwalniali Polaków, szło to jednak coraz wolniej, aż wreszcie z końcem października, tych którzy pozostali odstawiono z powrotem do łagru. Zaczęliśmy się domagać wyjaśnienia. Po kilku dniach zrobiono ogólną zbiórkę i oficer NKWD oznajmił nam brutalnie, że ci którzy byli warci zwolnienia już wyjechali, was zawrócono byście tu „podochli”. Szok był ogromny, w przeciągu krótkiego czasu wielu ludzi załamało się. Z początkiem grudnia skupiono nas w dwóch barakach i wytworzyła się sytuacja wyczekiwaną na najgorsze.

Przyszła wigilia Bożego Narodzenia, chciałem wieczorem podzielić się okruszem chleba, jak opłatkiem, z moim bliskim kolegą z Kleparowa. Niestety, jego reakcja była inna, myślałem, że dostanie ataku szału, był zupełnie załamany. Zawołałem, aby się uspokoił i powiedziałem, nie wierząc we własne słowa, że już jutro mogą otworzyć się drzwi baraku i wywołają nasze „bukwy”, a za kilka dni będziemy w drodze do wojska polskiego. Jak się okazało, były to dziwnie prorocze słowa, wywołano nas w dzień Bożego Narodzenia i z końcem miesiąca byliśmy już w drodze na zachód.

Zwolnienie nastąpiło w krytycznej chwili, morzeni długotrwałym głodem i załamani moralnie wykończylibyśmy się w przeciągu kilku tygodni. Ciała nasze zaczynały puchnąć, nogi nasze były pokryte wrzodami szkorbutu, trapiła nas ciągła gorączka i gryzły wszy. I oto teraz musieliśmy się zdobyć na ogromny wysiłek pokonania wielu tysięcy kilometrów, pośrodku syberyjskiej zimy, w łąchmanach łągiernych, w codziennej walce o zdobycie czegoś do jedzenia. A jednak jakaś przedziwna moc wstąpiła w nasze wycieńczone ciała, która gnała nas na zachód z jakąś fatalną siłą dążącą do wypełnienia wymarzonego celu.

Dowiedzieliśmy się, już po wstąpieniu do wojska, że zawdzięczaliśmy wolność tym współwięźniom, których zwolniono przed nami i którzy podali nasze nazwiska polskim placówkom wojskowym. Po czterech dniach dotarliśmy

do Irkucka. Zatrzymano tam pociąg na kilka godzin bez wyjaśnienia przyczyn. Opuszczając wagon zauważyłem, że na dalekim torze tej olbrzymiej stacji, stał długi pociąg złożony z otwartych lor. Odnieśliśmy wrażenie, że na lorach siedzieli jeden za drugim ludzie. Postanowiliśmy zbliżyć się do pociągu i rzeczywiście, na przynajmniej 30 lorach znajdowały się skostniałe ciała setek żołnierzy, chyba jeńców wojennych, ubranych, tak nam się wydawało, w błękitne mundury. Nie wykluczone jednak, że mundury były innego koloru pokryte powłoką silnego mrozu. Temperatura była chyba blisko 40 stopni poniżej zera, ale niebo było bezchmurne i słoneczne.

Wyszliśmy na miasto a potem przez most na jeziorze Bałkaj przedostaliśmy się do starego Irkucka. Podobało nam się tutaj, stare drewniane domy były malownicze, byliśmy również bardzo głodni. Ulice były puste, ale wkrótce zbliżył się ku nam zachlany Rosjanin i zapytał pijanym głosem: Prykuryt'? Mieliliśmy niewielkie ilości machorki, którą zafasowaliśmy razem z bochenkiem chleba, 100 gram cukru i trochę rubli przed opuszczeniem łagru. Obaj nie paliliśmy. Daliśmy „naszemu” Rosjaninowi szczyptę machorki. Wsypał do „trupki” zrobionej z „Prawdy” i zaciągnął się z widoczną rozkoszą. Potem zmierzył nas wzrokiem, zgadł natychmiast, że wracaliśmy z łagrów (po raz pierwszy usłyszeliśmy z jego ust to, co powtarzano nam w innych miejscach, że społeczeństwo sowieckie dzieli się na trzy grupy: na tych co byli w łagrach, na tych co są w łagrach i na tych, co będą w łagrach), zapytał co robimy w Irkucku. Odpowiedzieliśmy, że jedziemy na zachód, by wstąpić do polskiego wojska i jesteśmy głodni. Zaśmiał się z politowaniem, nazwał nas „durakami” i poradził, abyśmy zapukali do tylnych drzwi pobliskiej restauracji „komsomolskiej”, powiedzieli „zawieduszczej”, że jedziemy do wojska i że jesteśmy głodni.

Zrobiliśmy tak, jak radził – „zawieduszcza” demonstracyjnie zaprowadziła nas do ostatniego stolika długiej, w kształcie podkowy, sali restauracyjnej i przysłała do nas kelnerkę, która podała nam spis potraw. Powiedziałem, aby zaczynała od góry a kończyła u dołu – nie oponowała. Czekaając na pierwsze danie, zobaczyłem w wiszącym naprzeciw lustrze odbitą sylwetkę i zapytałem Artura, czy to ja – potwierdził. Po raz pierwszy od 22 miesięcy zobaczyłem siebie w lustrze i nie poznałem. Zjedliśmy wszystkie potrawy bez trudu a na zakończenie tej biesiady napiliśmy się po kieliszku wódki i szklance gorącej herbaty. Chcieliśmy zapłacić, mieliśmy przecież ruble, za które nic nie można było kupić. Kelnerka jednak odpowiedziała, że na zlecenie „zawieduszczej” zapłata się nie należy. W drodze powrotnej do stacji kolejowej powiedziałem, że jakaś cudowna opieka jest roztoczona nad nami. Artur nie odpowiedział, czułem, że brakowało mu słów.

Stosując tę samą metodę nie głodowaliśmy na całej przestrzeni jazdy od Irkucka aż do Semipałatyńska, gdzie zgłosiliśmy się do polskiej placówki wojskowej. Niestety z transportem do Kujbyszewa było bardzo trudno. Czekaliśmy w Semipałatyńsku przez dwa tygodnie, w międzyczasie wielu ludzi zmarło na epidemię tyfusu. Z końcem stycznia byłem już żołnierzem 6-go Dywizyjnego Batalionu Strzeleckiego „Dzieci Lwowskich”. Cud się spełnił, wydobyłem się z dna przepaści, byłem wśród swoich, zaczynałem zupełnie nowy okres mego życia, wolno wracałem do równowagi.

Jakże przedziwne i nieprzewidziane są wyroki Boskie.

*Tadeusz Trościanko*

\*

Wspomnienia Tadeusza Trościanki otrzymaliśmy od Pani Malwiny Schwieters z Nowej Zelandii. Ona też przysłała tekst, którym nad mogiłą pożegnała Go w sierpniu 1999 roku. Powiedziała wówczas:

„Pożegnaliśmy na zawsze, tj. pogrążona w smutku rodzina (żona, dwie córki, zięć, dwoje wnucząt) i grono przyjaciół oraz znajomych – Tadzika Trościankę. Mszę św. i obrzędy pogrzebowe odprawił wieloletni ks. Stanisław Wrona T.Chr. Tadeusz Stefan Trościanka urodził się we Lwowie w grudniu 1920 r. Nie wywodził się z rodziny zamożnej, ale też nikt w rodzinie nie głodował. Tadzik był jednym z pięciorga dzieci. Młodość płynęła mu szczęśliwie w tym pięknym i szczególnym mieście, którego jedną z charakterystycznych cech był humor i dobroduszość jego mieszkańców. Podobnie jak wielu jego rówieśników, był zapalonym członkiem jednej z drużyn piłkarskich Lwowa. Jako maturzysta aresztowany przez sowietów we Lwowie w 1939 r., po pewnym czasie pobytu w więzieniu, został wywieziony w głąb Rosji i osadzony w jednym z tamtejszych łagrów. Zwolniony z łagru w 1941 r. po rozpoczęciu niemiecko-sowieckiej wojny i układzie Sikorski-Majski, wybrał drogę na południe ZSRR do Uzbekistanu, gdzie formowała się Armia Polska pod dowództwem generała W. Andersa. Razem z nią opuścił ZSRR. Przystosowanie wojskowe odbył na Środkowym Wschodzie. W kampanii włoskiej w randze porucznika dowodził czołgiem. Po demobilizacji w Anglii w 1947 r. Tadzik Trościanka decyduje się na tymczasowe pozostanie na Zachodzie. Dowiaduje się również o śmierci ojca w 1943 r. oraz o fakcie, że matka i siostry zmuszone przez rozwój wypadków opuściły umiłowane miasto.

W 1949 r. Tadzik poślubia Angielkę pannę Doreen Watts. Cztery lata później państwo Trościanka emigrują do Nowej Zelandii. Osiedlają się w miasteczku Huntly, gdzie Tadzik dostaje zatrudnienie na poczcie. W międzyczasie przychodzą na świat dwie córki. W 1958 r. pp. Trościanka przenoszą się do Auckland. Tu Tadzik otrzymuje stanowisko kierownika urzędu pocztowego w dzielnicy Bucklands Beach i piastuje je do czasu przejścia na emeryturę.

W Auckland Tadzik nawiązuje kontakt z miejscową Polonią i od tego czasu udziela się i pracuje społecznie do chwili kompletnej utraty zdrowia. Tadzik był osobą bardzo energiczną, czynną, skromną i koleżeńską. Głęboko wierzący, kochał swoją rodzinę i całym sercem Ojczyznę, a w niej jedyne w świecie dla każdego lwowiaka miasto – miasto Lwów. Ci z nas, którzy znali Tadzika od wielu lat, pamiętają te lwowskie wieczory lub popołudnia organizowane wraz z innymi byłymi mieszkańcami Lwowa, których wichry wojny zagnały aż do Auckland oraz ich występy w innych miastach Nowej Zelandii a nawet w Australii. Pamiętamy te wszystkie obchody rocznic świąt narodowych, w których nie obeszło się bez wspomnień tego miasta – *Semper Fidelis*..

Gdy w 1983 r. powstawała w Nowej Zelandii Organizacja Solidarność w N.Z., której celem była solidarność z ruchem SOLIDARNOSCI w Polsce, Tadzikowi została powierzona funkcja prezesa i tylko śmierć położyła jej kres. Działalność tej organizacji była znaczna, biorąc pod uwagę liczbę jej członków i środków, którymi dysponowali. Sterowała nią niezłomna wola, wysiłek i bezkompromisowość Tadzika Trościanki we wszystkim, co dotyczyło dobra polskiej sprawy.

Żegnaj Tadziu, niech Ci ta garstka Lwowskiej Ziemi, którą córka Wandzia wysypała na Twoją trumnę, ulży na zawsze tęsknocie i światłość wiekuista niechaj Cię ogarnie. Oręduj nam – wciąż jeszcze na ziemskim padole”.

*Malwina Schwieters (Nowa Zelandia)*





---

## KRONIKA

### • NAGRODY „PRZEGLĄDU WSCHODNIEGO” ZA 2008 ROK

Już po raz szesnasty wyróżniono autorów najlepszych publikacji naukowych poświęconych problematyce wschodniej. Ceremonia wręczenia prestiżowych nagród kwartalnika „Przegląd Wschodni” za 2008 rok odbyła się 28 marca 2009 roku w Sali Balowej Pałacu Potockich na Uniwersytecie Warszawskim.

Nagrody w kategorii Dzieła Krajowe otrzymały: **dr Anna Barańska** z Instytutu Historii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego za książkę „Między Warszawą, Petersburgiem i Rzymem. Kościół a Państwo w dobie Królestwa Polskiego (1815-1830)” oraz **dr Joanna Schiller**, profesor na Wydziale Nauk Pedagogicznych Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego za książkę „Universitas Rossica. Koncepcja rosyjskiego uniwersytetu 1863-1917”.

Nagrodę w kategorii Dzieła Zagraniczne przyznano **prof. Stanisławowi Kulczyckiemu** z Instytutu Historii Narodowej Akademii Nauk Ukrainy w Kijowie za pracę „Hołodomor. Wielki Głód na Ukrainie w latach 1932-1933 jako ludobójstwo – problem świadomości”, mającą swoją edycję ukraińską i polską.

Nagrodę w kategorii Dzieje Polaków na Wschodzie przyznano **dr Henryce Ilgiewicz** z Instytutu Filozofii i Socjologii Litewskiej Akademii Nauk w Wilnie za książkę „Societates Academiae Vilnenses. Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Wilnie (1907-1939) i jego poprzednicy” oraz **dr. Krzysztofowi Zajasowski** z Katedry Międzynarodowych Studiów Polonistycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim za książkę „Nieobecna kultura. Przypadek Inflant Polskich”.

Nagrodą Specjalną „Przeglądu Wschodniego” XVI-ej edycji za całokształt pracy i twórczości naukowej uhonorowano **prof. Zbigniewa J. Wójcika**, pracownika naukowego Muzeum Ziemi PAN w Warszawie, członka Zespołu Historii Kartografii w Instytucie Historii Nauki PAN, przewodniczącego Komisji Syberyjskiej Komitetu Historii Nauki i Techniki PAN, członka Polsko-Rosyjskiej Komisji Historycznej. Laureat – jak uznało jury – „przez swój wieloletni trud badawczy przybliżył współczesnym Polakom sylwetki wielkich polskich zesłańców XIX wieku oraz losy, zasługi i dzieje Polaków na Syberii w ogóle”. Laudację wygłosił prof. Antoni Kuczyński z Wrocławia.

Przed dziesięć laty dla uczczenia pamięci Profesora Aleksandra Gieysztorę ustanowiono Nagrodę „Przeglądu Wschodniego” jego imienia, której celem jest honorowanie osób wybitnie zasłużonych w sprawach wschodnich. W tym roku statuetka autorstwa Gustawa Zemły trafiła do rąk **prof. dr. inż. Władysława Findeisena**, specjalisty w dziedzinie automatyki i teorii sterowania, człowieka wielkich zasług – żołnierza Armii Krajowej, uczestnika Powstania War-

szawskiego, rektora Politechniki Warszawskiej w latach 1981-1985, w drugiej połowie lat 80. przewodniczącego Prymasowskiej Rady Społecznej, wraz z prof. Gieysztozem współprzewodniczącym obradom plenarnym Okrągłego Stołu, senatora I i II kadencji, autora licznych publikacji, doktora honoris causa City University w Londynie, Politechniki Warszawskiej, Politechniki Gdańskiej i Technische Universität Ilmenau, odznaczonego Krzyżem Armii Krajowej, Warszawskim Krzyżem Powstańczym oraz Komandorią Orderu „Polonia Restituta”. Tym razem doceniono osobisty wkład prof. Findeisena w akcję stypendialną reaktywowanej w 1991 roku Kasy im. Józefa Mianowskiego – Fundacji Popierania Nauki. Programem stypendialnym objęto w pierwszym rządzie młodych pracowników naukowych pochodzących zza naszej wschodniej granicy: Ukrainy (735 stypendiów), Białorusi (267), Rosji (175), Litwy (85). W sumie w ciągu 15 lat udzielono 1087 stypendiów naukowcom z 31 krajów. Dla sprawy tej Profesor potrafił zjednać wielu hojnych sponsorów. Kasa Mianowskiego ma też w swoim dorobku szereg wydawnictw dotyczących spraw wschodnich.

Przed rozpoczęciem ceremonii zebrani uczcili minutą ciszy zmarłego niedawno prof. Pawła Wieczorkiewicza, laureata Nagrody „Przeglądu Wschodniego” IX-ej edycji. W skład jury weszli: prof. Andrzej Ajnenkiel z Instytutu Historii PAN, prof. Juliusz Bardach z Uniwersytetu Warszawskiego, Andrzej Chodkiewicz – dyrektor Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, dr Adolf Juzwenko – dyrektor Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, prof. Stanisław Mossakowski z Instytutu Sztuki PAN, Jerzy Marek Nowakowski – prezes Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”, Jan Malicki – redaktor naczelny „Przeglądu Wschodniego” oraz prof. Elżbieta Smułkowa i prof. Leszek Zasztowt z Uniwersytetu Warszawskiego, a także Ewa Gieysztor (Jury Nagrody im. Aleksandra Gieyszтора). Nagrody zostały ufundowane przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Fundację „Pomoc Polakom na Wschodzie” oraz Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”. Patronat medialny objęła „Rzeczpospolita” i Polskie Radio dla Zagranicy – Radio Polonia.

*Ewa Ziółkowska*

## MUZEUM JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO W SULEJÓWKU

Redakcja „Zesłańca” otrzymała informację z Fundacji Rodziny Józefa Piłsudskiego, że 10 listopada 2008 roku w przeddzień 90. rocznicy odzyskania Niepodległości została podpisana umowa z Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego o utworzeniu Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku. Uroczystość podpisania odbyła się w Dworku w Sulejówku, domu rodzinnym Józefa Piłsudskiego. Umowę podpisali: Jadwiga Piłsudska-Jaraczewska, reprezentującą Fundację Rodziny Józefa Piłsudskiego oraz Bogdan Zdrojewski Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Fundacja pragnie podzielić się tą wiadomością ze wszystkimi, którzy okazywali jej dotąd pomoc i zainteresowanie oraz liczy na dalszy kontakt z zainteresowanymi.

\*

Celem Muzeum będzie według umowy „pokazanie postaci Józefa Piłsudskiego na szerokim tle historycznym, kulturowym i społecznym”. Muzeum ma

również „przekazać i upowszechnić reprezentowane przez niego wartości i tradycje idei niepodległościowych”. Muzeum znajdować się będzie w Sulejówku – historycznym miejscu zamieszkania Józefa Piłsudskiego.

Fundacja na cele Muzeum wnosi łącznie trzy budynki usytuowane na działce o powierzchni łącznej ok. 3,8 ha, w tym świeżo wyremontowany dworek Milusin – dar żołnierzy za zwycięską wojnę w roku 1920, w którym to dworku Marszałek zamieszkał w 1923 r. i tzw. Drewniak zakupiony wraz z terenem w 1921 r. przez Aleksandrę Piłsudską. Ponadto Fundacja wnosi liczne pamiątki rodzinne przechowywane w czasie wojny na Zachodzie (część z nich jest czasowo przechowywana na Zamku Królewskim w Warszawie, wiele materiałów archiwalnych (prywatne listy, rękopisy, zdjęcia itp.), a także założenia do koncepcji architektonicznej muzeum.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego ze swej strony deklaruje znalezienie środków na pokrycie budowy na terenie działki nowego budynku muzealnego o powierzchni ok. 4,5 tys. m<sup>2</sup> i adaptacje dla celów Muzeum dwu pozostałych budynków znajdujących się (obok Milusia) na terenie działki. Początek prac organizacyjnych i projektowych przewiduje się na rok 2009, a zakończenie wszystkich prac i otwarcie Muzeum – na rok 2012.

(Wg informacji Fundacji Rodziny Józefa Piłsudskiego)

#### • Z ARCHIWALNEJ TECZKI

Zbiory Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego we Wrocławiu wzbogaciły się w 2008 r. o polskojęzyczną część „archiwum Narymskiego” zgromadzonego i przekazanego przez dra. Czesława Bazana. Jest to zespół ok. 1750 kart (44 teczek) obejmujących dokumenty zesłańców do Okręgu Narymskiego. Są tam: wspomnienia zwarte lub w postaci listów, dokumenty (głównie w postaci kserokopii), odręcznie sporządzane przez zesłańców plany miejscowości, kserokopie wykazów zesłańców sporządzane przez mężów zaufania lub samych zesłańców itp. Materiały te zostały w znacznej części wykorzystane w książce pt. *Narymska zsyłka. Lata czterdzieste*, Lublin 2003, autorstwa Cz. Bazana. (red.)

#### WYSTAWA „POLSCY BADACZE SYBERII”

„Posłannictwo cywilizacyjne Polski  
i tu się na wygnaniu wyraziło.  
Broniliśmy zawsze wolności,  
a tu gdzie jej nie ma,  
staraliśmy się ją wywołać  
przez rozszerzenie oświaty i ludzkich pojęć”<sup>1</sup>.

13 października 2008 roku w Prezydium Rosyjskiej Akademii Nauk w Moskwie została otwarta dwujęzyczna polsko-rosyjska wystawa historyczna „Polscy badacze Syberii”, wpisująca się w cykl obchodów Dni Nauki Polskiej w Federacji Rosyjskiej. Jest to kolejne wspólne przedsięwzięcie Archiwum Polskiej

<sup>1</sup> M. Janik, *Dzieje Polaków na Syberii*, Kraków 1928, s. 14.

i Rosyjskiej Akademii Nauk; poprzednie, związane z Dniami Nauki Rosyjskiej w Polsce, dotyczyło historii polsko-rosyjskich kontaktów naukowych i zaowocowała wspólną wystawą i towarzyszącym jej razem przygotowanym katalogiem.

Polska część syberyjskiej ekspozycji składa się z dwudziestu jeden komputerowo opracowanych plansz o wymiarach 1x2 m, zaś w części rosyjskiej zaprezentowano w 14 gablotach oryginalne unikatowe eksponaty przechowywane w Archiwum Rosyjskiej Akademii Nauk oraz w Państwowym Archiwum Federacji Rosyjskiej. Ekspozycja „Polscy badacze Syberii”, przygotowana przez scenarzystów z Archiwum Polskiej Akademii Nauk i jego stałych współpracowników (Joanna Arvaniti, Hanna Krajewska, Izabela Kwiatkowska, Dariusz Kwiatkowski, Dorota Pietrzakiewicz, Tomasz Rudzki, Małgorzata Sobieszczyk-Marciniak, Ewelina Wajs-Baryła) oraz z Archiwum Rosyjskiej Akademii Nauk i Państwowego Archiwum Federacji Rosyjskiej (W. J. Afiani, E. A. Czirkowa, T. G. Krasnowa, L.W. Kriaczkowa, A.A. Litwin, N.W. Litwina, S.W. Mironienko, N. M. Osipowa, L. I. Pancyriewa, I. N. Zasypkina), prezentuje biografie dwudziestu sześciu Polaków w różny sposób związanych z Syberią (Adam Dłużyk Kamiński, Ludwik Bończa Sienicki, Józef Kopeć, Faustyn Ciecierski, Jan Czczot, Józef Kowalewski, Tomasz Zan, Aleksander Czekanowski, Jan Czerski, Benedykt Dybowski, Wiktor Godlewski, Władysław Taczanowski, Roman Szwoynicki, Adam Szymański, Waclaw Sieroszewski, Edward Piekarski, Bronisław Piłsudski, Leon Barszczewski, Leonard Jaczewski, Karol Bohdanowicz, Ferdynand Karo, Stanisław Zaleski, Julian Talko-Hryncewicz, Konstanty Wołosowicz, Józef Morozewicz, Kazimierz Grochowski) oraz ich unikatowe i rzadko dotychczas upowszechniane fotografie, dokumenty, mapy, medale, monety, obrazy i wydawnictwa. Eksponaty udostępnione zostały polskim scenarzystom przez różne placówki naukowe w kraju i za granicą. Wymienić tu należy: Archiwum i Bibliotekę Archiwum Polskiej Akademii Nauk, Archiwum Dokumentacji Mechanicznej (obecna nazwa Narodowe Archiwum Cyfrowe), Archiwum Nauki Polskiej Akademii Nauk i Polskiej Akademii Umiejętności, Archiwum Rosyjskiej Akademii Nauk, Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego, Bibliotekę Litewskiej Akademii Nauk, Bibliotekę Naukową Polskiej Akademii Umiejętności i Polskiej Akademii Nauk, Bibliotekę Uniwersytetu Wileńskiego, Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk, Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie, Muzeum Tatrzańskie im. dra Tytusa Chałubińskiego w Zakopanem, Muzeum Ziemi Polskiej Akademii Nauk i Poczta Polska; część dokumentów pochodzi z prywatnych kolekcji profesora Antoniego Kuczyńskiego, zajmującego się tematem miejsca Syberii w historii i kulturze narodu polskiego i Igora Strojeckiego, prawnuka Leona Barszczewskiego – jednego z bohaterów naszej ekspozycji. Igor Strojecki, wnuk Anny, najmłodszej córki genialnego fotografa Azji, jest organizatorem interesujących wystaw, a także autorem publikacji oraz uczestnikiem konferencji i audycji radiowych poświęconych sławnemu pradziadowi i innym słynnym członkom rodziny Barszczewskich. Opiekunem naukowym wystawy oraz recenzentem tekstów był profesor Zbigniew Wójcik, od wielu lat zajmujący się problematyką syberyjską, w szczególności wkładem Polaków w poznanie i opisanie Syberii, kuratorem ekspozycji zaś pracownik Archiwum Polskiej Akademii Nauk dr Joanna Arvaniti. Fotografie dokumentów opracował i przygotował do wystawy Paweł Ciepiewski z wydawnictwa DRUKWI i Jan Fronczak z Archiwum PAN. Autorką ciekawego projektu graficznego ekspozycji była współpracująca z APAN Ewelina Wajs-Baryła. Uroku każdej planszy dodają umieszczone u dołu fotografie,

prezentujące bajecznie piękne krajobrazy Syberii; zdjęć użyczyli autorom pokazu dwaj młodzi geografowie i podróżnicy Paweł Błaszak i Krystian Pietruszka.

Syberia nazywana jest przez niektórych uczonych przybraną ojczyzną Polaków, a to za sprawą tych naszych rodaków, którzy zapisali się na kartach historii jako jej niestrudzeni badacze, odkrywcy wielu jej tajemnic czy piewcy jej niezwykłego piękna. Spośród wielu Polaków, którzy powędrowali do bezkresnej krainy wiecznych śniegów za karę – etapami, w kajdanach i łańcuchach – lub też z własnej woli i chęci, autorzy scenariusza wystawy wybrali postaci, które ich zdaniem wyróżniają się doniosłością swoich dokonań na Syberii oraz szczególnym zaangażowaniem i poświęceniem się bez reszty sprawie zbadania i opisanie tej tajemniczej i nieznannej wówczas ziemi. Scenarzyści starali się też wyeksponować na wystawie osiągnięcia tych polskich badaczy, których zasługi dla ich przybranej ojczyzny nie były dotąd zbyt często upowszechniane. Na wybór bohaterów pokazu miała oczywiście również wpływ ilość zachowanych materiałów i pamiątek po sybirakach oraz dostępność do tych fascynujących dokumentów. Zamiarem autorów scenariusza było nie tylko wyeksponowanie wybitnych osiągnięć i sukcesów Polaków na Syberii, lecz także, dzięki zaprezentowaniu ich oryginalnych rodzinnych fotografii, osobistych dokumentów, prywatnej i urzędowej korespondencji, notatek, map, pamiątek czy rękopisów prac naukowych, przybliżenie zwiedzającym tych ciekawych postaci, przypomnienie ich burzliwych losów zarówno przed wyruszeniem na Syberię, jak i po ewentualnym powrocie do kraju.

Problematyka syberyjska zawsze budzi emocje i porusza serca Polaków. Wystawa „Polscy badacze Syberii”, na której celowo pominięte zostały wątki patriotyczne i martyrologiczne, prezentuje odkrycia i osiągnięcia naszych rodaków w dalekiej Azji w różnych dziedzinach nauki, kultury i sztuki (antropologia, balneologia, chemia, etnografia, etnologia, farmaceutyka, fotografia, geografia, geologia, glaciologia, górnictwo, językoznawstwo, kartografia, literatura, malarstwo, medycyna, mineralogia, paleontologia, publicystyka i socjologia). Scenarzyści mieli nadzieję, że zaprezentowane na wystawie „Polscy badacze Syberii” unikatowe materiały dostarczą zwiedzającym nie tylko ciekawych informacji, lecz także wielu niezapomnianych wrażeń i szczerych wzruszeń. I rzeczywiście, pokaz dokumentów ilustrujących dokonania naszych rodaków na Syberii wzbudził ogromne zainteresowanie zarówno Polaków, jak i Rosjan, a to głównie za sprawą odmiennego niż dotychczas ujęcia tematu – polscy sybiracy zostali na niej pokazani jako cywilizatorzy pięknej i nieznannej Syberii, nie zaś jako męczennicy zesłani za karę na tę nieludzką ziemię.

Po zaprezentowaniu w Moskwie ekspozycja „Polscy badacze Syberii” została pokazana w czasie jubileuszowych uroczystości związanych ze 150. rocznicą urodzin dwóch wielkich badaczy Syberii, a w szczególności Jakucji, Wacława Sieroszewskiego i Edwarda Piekarskiego, które odbyły się w Jakucku 3-7 listopada 2008 roku pod patronatem Polonii Republiki Sacha. W programie uroczystości była międzynarodowa sesja naukowa, spotkania z władzami Republiki Jakuckiej, miasta Jakucka i Polonią Republiki Sacha, zapalenie zniczy przy pomniku polskich zesłańców oraz wyjazd do miejsc upamiętniających pobyt Polaków w Jakucji.

Natomiast 19 listopada 2008 roku w historycznym gmachu Okręgowego Muzeum Krajoznawczego w Irkucku miało miejsce uroczyste otwarcie teje

ekspozycji, w czasie którego wręczono Karty Polaka najbardziej zasłużonym mieszkańcom tego pięknego i bardzo związanego z Polską miasta. Zaprezentowana w Irkucku wystawa „Polscy badacze Syberii” towarzyszyła międzynarodowej konferencji naukowej pod patronatem Aleksandra N. Antipowa – członka korespondenta Rosyjskiej Akademii Nauk, dyrektora Instytutu Geografii Syberyjskiego Oddziału RAN i przewodniczącego Irkuckiego Oddziału Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego, Jerzego Bahra – ambasadora Rzeczypospolitej Polskiej w Federacji Rosyjskiej, oraz Aleksandra I. Smirnowa – rektora Państwowego Uniwersytetu w Irkucku, zorganizowanej w Bibliotece Naukowej tejże uczelni. W skład Komitetu Organizacyjnego wystawy i konferencji weszli: Ludmiła M. Koleśnik – dyrektor Okręgowego Muzeum Krajoznawczego w Irkucku, Piotr Marciniak – konsul generalny Rzeczypospolitej Polskiej w Irkucku, profesor Bolesław S. Szostakowicz – przewodniczący Historycznej Komisji Kongresu Polaków w Rosji, profesor Mariusz Wołos – dyrektor Stacji Naukowej Polskiej Akademii Nauk w Moskwie. Na konferencji wygłosili referaty przedstawiciele placówek naukowych Irkucka, Moskwy, Omska, Ułan Ude i Warszawy. Jednym z najciekawszych i najbardziej oryginalnych wystąpień był poświęcony Benedyktowi Dybowskiemu referat Siergieja W. Snopkowa – nauczyciela geografii w średniej szkole w Kułtuku, w wiosce, w której w latach 1868-1877 przebywał na zesłaniu badacz i odkrywca fauny świętego morza Buriatów (Bajkału): Benedykt Dybowski. Referaty wygłosiły również: dyrektor Archiwum PAN dr Hanna Krajewska (*Tematyka syberyjska w zbiorach Archiwum PAN. Komisja Syberyjska*) oraz pracownik Archiwum PAN dr Joanna Arvaniti (*Syberia – przybrana ojczyzna Polaków*). Międzynarodowa konferencja naukowa (dodam, że prowadzona była w języku rosyjskim) oraz towarzysząca jej ekspozycja *Polscy badacze Syberii* były niezwykle ważnym wydarzeniem w życiu miasta i całego regionu. Obydwie imprezy uświetnili swoją obecnością: konsul generalny Rzeczypospolitej Polskiej w Irkucku Piotr Marciniak, przewodniczący polonijnej organizacji Polska Autonomia Kulturalna „Ogniwo” profesor Eugeniusz Wrzaszcz i ksiądz Stanisław Jarosiewicz reprezentujący polski Kościół w Irkucku. Uroczystości przyciągnęły również media – miejscowe gazety, radio i telewizję – oraz licznych mieszkańców Irkucka, z których wielu ma polskie korzenie i którzy wyrażali organizatorom swoją głęboką wdzięczność za zainteresowanie bliską ich sercom problematyką syberyjską, a przede wszystkim za ciepły i serdeczny stosunek twórców i organizatorów przedsięwzięcia do polskich sybiraków.

W grudniu 2008 roku oraz w pierwszych miesiącach 2009 roku prezentacja wystawy przewidziana jest w innych miastach dalekiej Azji. Warto w tym miejscu dodać, że każda tablica ma własny stelaż i odrębne, wygodne do przewożenia opakowanie, co znacznie ułatwia transport. Ekspozycję obejrżeli już mieszkańcy Jenisiejska. Wystawa była tam prezentowana od 28 grudnia 2008 do 30 stycznia 2009 roku w Miejskiej Galerii Wystawienniczej. Ekspozycję otworzyła Anna Aleksandrowna, dyrektor Miejskiej Galerii Wystawienniczej w Jenisiejsku, i Dariusz Klechowski, wykładowca języka polskiego na Syberyjskim Uniwersytecie Federalnym. W spotkaniu uczestniczyło około 60 osób, a wśród gości byli studenci polonistyki z Krasnojarska i Irkucka, wykładowcy wyższych uczelni w Nowosybirsku i Ułan Ude oraz członkowie organizacji polonijnych z Jenisiejska i Lesosybirska. Działacze Polonii otrzymali w prezencie od generalnego konsula RP w Irkucku Piotra Marciniaka książki z dziedziny polskiej historii i literatury. Następnie plansze poświęcone polskim sybirakom

zostały przetransportowane do Krasnojarska. Otwarcie ekspozycji miało tam miejsce 13 lutego 2009 roku o godz. 17<sup>00</sup> w Krasnojarskim Centrum Muzealnym. Wystawę otworzył niezwykle aktywny, ceniony i lubiany zarówno przez Polaków mieszkających na Syberii, jak i miejscowych Rosjan konsul Piotr Marciniak i dyrektor krasnojarskiego muzeum Michaił Pawłowicz Szubski. Podczas uroczystości głos zabrali również: Walentyna Bondariewa – zastępca dyrektora muzeum do spraw naukowych, Julia Skidan – prezes krasnojarskiej organizacji polonijnej, Władimir Dacyszyn – profesor historii Syberyjskiego Uniwersytetu Federalnego, Dariusz Klechowski – lektor języka polskiego na wzmiankowanej powyżej uczelni. Mimo bardzo silnego mrozu (około 40 stopni) na ceremonię przybyło ponad 50 osób – wśród zwiedzających byli oczywiście wykładowcy i studenci Syberyjskiego Uniwersytetu Federalnego, działacze polonijni z Krasnojarska i Żeleznogorska, księża i wierni z miejscowej parafii katolickiej. Wystawa była udostępniona zwiedzającym do 10 marca 2009 roku. Potem ekspozycja będzie prawdopodobnie pokazywana w obwodowych muzeach krajoznawczych w małych miejscowościach Kraju Krasnojarskiego. Potem obejrzel ją mieszkańcy Czyty, Omska i Ułan Ude, gdzie wystawa prezentowana była od 24 kwietnia 2009 roku.

Następnie, być może dopiero jesienią 2009 roku, ekspozycja zaprezentowana zostanie w Polsce, m.in. w siedzibie Towarzystwa Naukowego Warszawskiego i Polskiej Akademii Nauk – w Pałacu Staszica w Warszawie. Autorzy chcieliby również zachęcić do obejrzenia pokazu młodzież ze szkół warszawskich i zaoferować jej cykl wykładów na temat niezwyklej dokonań Polskich badaczy w tej odległej krainie (nasi młodzi rodacy niestety nic o nich nie wiedzą), o której Benedykt Dybowski powiedział: „Nie ma na Ziemi miejsca lepszego jak Syberia”.

Pokazowi towarzyszą dwie dwujęzyczne okolicznościowe publikacje. Jedną z nich to wydane przez Archiwum Polskiej Akademii Nauk biogramy bohaterów ekspozycji, druga zaś to katalog wystawy opublikowany przez Archiwum Rosyjskiej Akademii Nauk; obydwie wydawnictwa wzbogacone są reprodukcjami najciekawszych zaprezentowanych na wystawie eksponatów. Wkrótce wydane zostaną również materiały pokonferencyjne zawierające bogato ilustrowane teksty referatów wygłoszonych w czasie międzynarodowej konferencji w Irkucku „Polacy — badacze Syberii”.

*Joanna Arvaniti*

*Archiwum Polskiej Akademii Nauk w Warszawie*

- **DWUDZIESTA ROCZNICA REJONOWEGO ODDZIAŁU  
ZWIĄZKU SYBIRAKÓW W PUŁAWACH**

Związek Sybiraków został powołany na I Zjeździe Sybiraków w 1928 roku, w obecności Prezydenta R.P. Ignacego Mościckiego, a jego honorowym członkiem został Marszałek Józef Piłsudski. Sztandary Związku brały udział w międzywojennych uroczystościach państwowych na równi ze sztandarami bojowymi okrytymi niedawną chwałą zwycięstwa w odzyskaniu Niepodległości. Wybuch II wojny światowej przerwał działalność Związku. Po wojnie pojawiły się niespotykane dotąd w naszej historii rzesze sybiraków powracających z ze-



słań z lat 1939-1944. Władze PRL-u długo nie chciały tego zauważyć. Dopiero w wyniku przemian ustrojowych w naszym kraju powstały warunki do reaktywowania Związku Sybiraków u schyłku 1988 roku.

Rejonowy Oddział Związku Sybiraków w Puławach jest jednym z pierwszych powstałych po reaktywowaniu tego Związku. Pierwotne Koło ZS, powstało dzięki grupie założycielskiej w składzie: Wiktor Bucior, Edward Jabłonka, Maria Niedbalska, Ewa Rasiewicz, Jerzy Różański, Czesław Sankowski, Tadeusz Sobolewski, Adam Wołk, Halinka Wołochowicz, Czesław Woś, Stanisław Zadura i Antoni Zwolak. Zarząd Główny Związku Sybiraków uchwałą z dnia 5 maja 1989 r. nadał członkostwo grupie założycielskiej i zobowiązał do przeprowadzenia Walnego Zgromadzenia. Odbyło się ono w dniu 28.06.1989, uczestniczyło w nim 16 osób członków i 8 kandydatów do Związku. Wyłoniono Zarząd i wybrano pierwszego prezesa, którym został Edward Jabłonka. Powołano na nim też komisje: socjalno-bytową, rentowo-emerytalną, historyczną, ochrony zdrowia oraz prawno-organizacyjną.

W sytuacji braku w czasie powoływania w Puławach Związku Sybiraków odpowiednich struktur wojewódzkich, Koło podporządkowane bezpośrednio Zarządowi Głównemu, podniesiono do rangi Oddziału Terenowego. Wynikało to również z bliskości Warszawy, gdzie nasz prezes Edward Jabłonka, jako członek Zarządu Głównego ZS, przejawiał wielką aktywność w załatwieniu uprawnień dla Sybiraków w różnych instytucjach centralnych (m.in. uprawnień dla dzieci urodzonych na zesłaniu, sposobu orzekania o uprawnieniach „inwalidy wojennego” oraz uprawnień „internowanych w ZSRR” do renty inwalidy wojennego).

Specyfiką terenu, na jakim powstał nasz Oddział było jego położenie, jako przyczółka frontu, przez pół roku jego zatrzymania się, na Wiśle. W tym czasie NKWD dokonywało aresztowań polskich organizacji podziemnych, zsyłając do obozów, za aprobatą tzw. Rządu Lubelskiego polskich obywateli. Wśród ok. 200 członków naszego Oddziału znakomitą większość stanowili Sybiracy aresztowani w 1944 i 1945 r. Wstępowali do związku również z odleglejszych od Puław stron, jak rejon wsi Rozkopaczew czy Opola Lubelskiego.

Sytuacja prawna, wobec odmowy strony rosyjskiej jakiegokolwiek zadośćuczynienia poszkodowanym, tej grupy członków ZS okazała się w inna, bowiem istnieje ciągłość Rządu RP od 1944r. i za jego zgodą były aresztowania i więzienia w sowieckich obozach. Jednak ci Sybiracy musieli drogą sądową starać się o to zadośćuczynienie. Członkowie naszego Oddziału (prezes i przewodniczący Komisji Historycznej) w indywidualnie zakładanych sprawach występowali jako rzeczoznawcy w toku procesu sądowego, świadcząc pomoc prawną. Funkcję prezesa następnie piastowali kolejno po Edwardzie Jabłonce: Ryszard Glijer, Krzysztof Kwiatkowski, Czesław Kłosowski. Obecnie tę funkcję pełni Henryk Skirgajło.

Oddział już od 1991 roku posiada swój sztandar. Wręczenia go dokonał Minister płk Zdzisław Zieliński, kierownik Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, podczas uroczystości składania przysięgi wojskowej młodego rocznika Jednostki Wojskowej stacjonującej w Puławach. Ten właśnie sztandar reprezentował cały Związek Sybiraków podczas kanonizacji o. Rafała Kalinowskiego – patrona Sybiraków – w Rzymie. Zaś na Monte Cassino był to pierwszy „znak” Sybiraków przybyły z Ojczyzny na groby poległych Kolegów.

Delegacje Oddziału uczestniczą ze sztandarem we wszystkich uroczystościach na terenie miasta, kraju i w ostatniej drodze Sybiraków odchodzących na „wieczną wartę”. Nie sposób wyrazić pełni działalności Oddziału, a niektóre ważniejsze wydarzenia to: uczestnictwo w ogólnopolskich pielgrzymkach Sybiraków na Jasną Górę w Częstochowie, spotkania z Papieżem Janem Pawłem II pod pomnikiem Sybiraków w Warszawie, odsłonięciu pomnika Zesłańców Sybiru we Wrocławiu, Marszu Golgoty Wschodu we Wrocławiu, pielgrzymki Sybiraków w Licheniu, we wszystkich Marszach Żywej Pamięci Sybiru w Białymstoku, nadanie jednej z ulic w Puławach nazwy Sybiraków, współudział w wmurowaniu urn z ziemią przywiezioną z miejsc kaźni zesłańców do pomnika poległych na wschodzie na cmentarzu w Puławach, współudział w poświęceniu obelisku organizacjom kombatanckim i zesłańcom Sybiru, nadanie szkole podstawowej w Puławach „Kapituły Pamięci”, a uczniowie tej szkoły opiekują się miejscami pamięci. Współpraca z Zespołem Szkół Średnich w Janowcu k/Puław owocuje uświetnianiem uroczystości organizowanych przez Oddział Związku Sybiraków. Prelekcje w ramach wychowania patriotycznego w szkołach i w Ochotniczym Hufcu Pracy. Udział delegacji ze sztandarem w uroczystości odsłonięcia tablicy poświęconej 2. Pułkowi Saperów Kaniowskich stacjonującemu przed rokiem 1939 w Puławach. Z okazji 75 rocznicy Związku Sybiraków wystawa w Domu Kultury w Puławach poświęcona problematyce zesłańczej ludności polskiej na Sybir. Sympozja historyczne i uroczystości patriotyczno-religijne organizowane z udziałem władz samorządowych miasta i powiatu, organizacji kombatanckich, wojska, harcerzy i społeczeństwa, w tym licznej młodzieży szkolnej. W okresie letnim organizowanie obozów dla wnuków Sybiraków i młodzieży szkół puławskich. Ponadto wydano szereg publikacji wspomnieniowych przez wydawnictwa lokalne, a także liczne artykuły w prasie lokalnej („Gazeta Janowiecka”) i w wydawnictwach związkowych („Zesłaniec” oraz „My Sybiracy”).

W ubiegłym roku została przez Oddział nasz przygotowana koncepcja wystawy „Katyń” oraz dostarczone na nią materiały archiwalne pochodzące z wydawnictwa niemieckiego z 1943r. Przechowała je puławska harcerka, później łączniczka Armii Krajowej. Wystawę przygotował Urząd Miasta i Puławski Ośrodek Kultury „Dom Chemika”, a następnie ekspozycję do Muzeum Oświatowego zaprosił Starosta Powiatu Puławskiego.

Do tradycji weszły spotkania wigilijne władz Oddziału i ogółu członków każdego roku, na którym zarząd zdaje sprawozdanie z działalności i przekazuje informacje i komunikaty z Zarządu Głównego. Jako że jednym z zadań Związku jest udzielanie pomocy najbardziej potrzebującym, Zarząd Oddziału otacza opieką prawną i w miarę możliwości materialną i finansową osoby będące w potrzebie. Obecnie liczba członków wynosi 108, ale jest to: Sybiraków 64, wdów (wdowców) 30 oraz członków rodzin 14. W historii Oddziału nie obeszło się bez drobnych sprzeczek w stosunkach międzyludzkich lecz znaleźli się członkowie, którzy podjęli trud doprowadzenia do pojednania i normalności. Obecnie atmosfera w stosunkach międzyludzkich we władzach Oddziału sprzyja działalności społecznej na rzecz całego Oddziału, zaangażowanie członków Zarządu przy wsparciu duchowym kapelana ks. Józefa Brodaczewskiego rokuje nadzieję na długie lata trwania Oddziału.

*Adam Wołk*

---

- LISTÓW BARBARY ZIĘBY CIĄG DALSZY

Irkuck, 24 marca 2009 r.

Drodzy Moi!

Kończy się syberyjski marzec. Od dość dawna trwa faza przejściowa między zimą a przedwiosniem. Jakby nazwać tę porę roku? Rano jest jeszcze zupełna zima, a po południu – prawie całkiem wiosna. Można by nawet usunąć słowo „prawie”, gdyby nie fakt, że wszędzie leży pełno śniegu, na wyszlizganych zboczach można sobie połamać kości, a o zieleni, to nawet najwięksi fan-taści jeszcze nie marzą. A jednak... O ile rano zdecydowanie konieczna jest kurtka puchowa, o tyle po południu – właściwie nie jest potrzebna żadna. Patrząc na termometr rozgrzany w słońcu, można ulec złudzeniu, że to pełnia lata. Ale nie daję się zwieść: wiem, że po zmroku, gdy będę wracać z parafii, znowu mój nos poszczypie syberyjski mrozek. Choć nie aż taki, jak z samego rana. Tak... Już za dwa miesiące będzie zielono! Tą świeżą, młodą, wczesnowiosenną zielenią. Ach, jak dobrze pomarzyć. Dostaję czasem maile z Sachalina, Kolumby, Kamczatki. Tam zima jeszcze w całej pełni: szaleją purgi, zamiecie i mrozy. A wszyscy, pisząc o zupełnie innych sprawach, nieodzownie wspominają również o swojej tęsknocie za wiosną.

W takiej atmosferze nadchodzi zawsze największe (po Nowym Roku) tu-tejsze święto, czyli tzw. międzynarodowy dzień kobiet (8 marca). Nie wiadomo dlaczego jest ono tutaj często nazywane również świętem wiosny, choć aura w najmniejszym stopniu nie kojarzy się ani z kwiatami, ani z młodymi listkami, ani z niczym w tym rodzaju. Mimo to, wszyscy w uniesieniu mówią o wiosnie i składają sobie życzenia z okazji dnia kobiet. Właśnie to święto wywołuje we mnie największą irytację spośród wszystkich tutejszych *prazdników*. Już nie mam siły tłumaczyć za każdym razem, że „ja dziś nie świętuję, a najbliższe życzenia będę przyjmować na Wielkanoc”. Większość słucha tego z wyrozumiałością należą-cudzoziemcom, ale może ktoś się obraża? Czy ja wiem? Przejdzie mu. Na maile z życzeniami odpowiadam składając życzenia owocnego przeżycia Wielkiego Po-stu, o ile tylko mogę podejrzewać, że mój adresat wie, co to takiego.

Na szczęście już to przeminęło i mam spokój do następnego roku. Ogromnie przykre jest tylko to, że nawet nasi parafianie są tak potwornie prze-siąknięci tym wszystkim, że aż chwytą człowieka zimny dreszcz. Wyobraźcie sobie, że w niedzielę 8 marca przyszło na Mszę o wiele mniej dzieci, niż za-zwyczaj, bo... było święto. A więc się świętuje w domu i nie ma czasu pójść do kościoła. Ale czemuż ja się tak dziwię, przecież to nie dzieci są winne, ani na-wet nie ich rodzice.

Zresztą, gdyby to były największe zmartwienia! Właściwie każda rozmowa ujawnia jakieś niesamowite zakamarki tutejszej mentalności i ukazuje jakieś nowe lub znane mi od dawna tutejsze realia. Ot, choćby spotkanie z Natalią z naszego telefonu zaufania. Przyszła na dyżur bardzo zmartwiona i rozmawiałyśmy trochę. Niedawno jej mama (88 lat) złamała nogę i trafiła do szpitala w sa-mym centrum miasta, koło głównego rynku. Aż trudno uwierzyć w opowieść o tamtejszych warunkach: sale 15 – 20 osobowe, zaduch, brud, odpadające tynki. Dwie pielęgniarka na około 150 osób na oddziale. Właściwie jedyne ich zajęcie,

to zrobienie wszystkim po kolei koniecznych zastrzyków, podanie kroplówek, a potem dzień pracy się kończy. Na dyżurze zostaje jedna salowa. O ile przyjdzie do pracy, jak dodała moja rozmówczyni. Ja nie bardzo zrozumiałam, więc dopytuję, jak to może nie przyjść do pracy? A ona mi na to, że jak zapije, to nie przychodzi. Z kontekstu pojęłam, że to najzupełniej normalne i oczywiste zjawisko. No więc, jak zapije, to wtedy jej nie ma i już.

Nasuwa się Wam zapewne pytanie, jak to wszystko w takim razie funkcjonuje. Otóż, funkcjonuje po prostu dlatego, że przy chorych stale czuwają ich bliscy. Zastrzyków to może nie robią, ale wszystko inne tak. Myją, karmią, podają lekarstwa, sprzątają w salach, piorą itd. Nie mówiąc już o kupowaniu lekarstw i środków opatrunkowych. Oczywiście zamiejscowi są w beznadziejnej sytuacji i naprawdę zazwyczaj mogą liczyć tylko na Boże Miłosierdzie, bo zupełnie dosłownie grozi im śmierć głodowa. Natalia opowiadała, że w ostatnich dniach – z powodu kryzysu – to nawet chleba nie podawano. A jak sobie uświadomię, że chleb tu jest jedzony zawsze i do wszystkiego, to sytuacja rysuje się naprawdę ekstremalnie. Pewnego razu na obiad napisany był ryż i wątróbka. Ale realnie wyglądało to tak, że – owszem – ryż się pojawił, ale wątróbka już nie dojechała. A zatem pacjentom za cały obiad musiała wystarczyć łyżka ryżu. Nikt się tym zanadto nie przejmuje, bo przecież rodziny coś przyniosą. Tylko, jak mówię, gorzej z tymi z innych miast i z wiosek.

Nie działają żadne dzwonki, a raczej w ogóle ich nie ma. Jeżeli ktoś potrzebuje pomocy, to wtedy musi wołać, wykrzykując na całe gardło numer sali. Wyobrażacie sobie tych chorych, wycieńczonych ludzi, krzyczących na cały korytarz? Ja nie bardzo... Ale tak właśnie jest. Poza tym w takich warunkach naprawdę bardzo szybko rozwija się wzajemna pomoc.

Pani Galina poleżała kilka dni, a potem wypisano ją do domu. Bez żadnej operacji, terapii, czy realnej pomocy, poza środkami przeciwbólowymi. Po przeprowadzeniu badań lekarze stwierdzili, że stan jej serca nie zezwala na jakąkolwiek interwencję, więc oni zupełnie nic zrobić nie mogą. Zresztą po co? Przecież ma już 88 lat. A więc trzeba było zebrać manatki i wrócić do domu. Leży teraz w łóżku unieruchomiona, a w dodatku często zapomina, że ma złąmaną nogę i rwie się do wstawania.

Beznadziejność tej sytuacji bardzo przygnębiała Natalię, a rozmowa siłą rzeczy potoczyła się w kierunku spraw duchowych. Ogólna atmosfera podobna jest do tej, jak w poprzednim liście o p. Ninel. P. Galina też wyrosła w czasach ciemności i w atmosferze duchowej śmierci. Nigdy nie miała nic wspólnego ani z Bogiem ani z żadnym Kościołem. Teraz, w swoim wieku i w obecnej sytuacji fizycznej i duchowej, nawet nie jest w stanie pragnąć czegokolwiek, czy uświadomić sobie istnienia świata wiary i ludzi, którzy mogliby przynieść jej Łaskę i choć odrobinę ulgi. Po ludzku patrząc, chyba naprawdę jest za późno i sprawę jej zbawienia trzeba zostawić już tylko Bożemu Miłosierdziu. Teraz, z pewnym przerażeniem, patrzy na to wszystko jej córka. Rozmawialiśmy o tym. Ona też nie ma pojęcia o Bogu i Kościele, ale nigdy nie widziałam w niej jakiegokolwiek wrogości czy lekceważenia. Wręcz przeciwnie – często przejawiała zainteresowanie, zwłaszcza przy okazji naszych wyjazdów do protestanckich ośrodków dla narkomanów. Miała potem wiele pytań związanych właśnie z wiarą. Teraz jest bardzo poruszona i stanem swojej matki i myślą o własnej przyszłości. Oby

to doświadczenie stało się dla niej drogą do Boga. Ale jakże to wszystko trudno, jakże potwornie trudno, kiedy człowiek zaczyna tak późno... W każdym razie ja bardzo cieszę się z tej rozmowy. Była ona możliwa dopiero po kilku latach znajomości. I ufam, że nie okaże się daremna. Natomiast zadaniem dla Was jest modlitwa w intencji tej konkretnej osoby, aby odważyła się na decyzję nawrócenia i poszła konsekwentnie tą drogą.

Zresztą taka rozmowa odkrywa coraz głębsze dna. Ubolewając nad stanem tego konkretnego szpitala, zaczęła też wspominać mimochodem swoje własne wcześniejsze pobyty w tej placówce, tyle że na oddziale aborcyjnym, przed wielu laty. Chodziło jej o to, że od tamtej pory na pewno nikt nie malował ścian, nie wymieniał rur i wszystko niszczyje w naturalnym upływie czasu. A personel? Tak, pamięta, że traktowano ją (i wszystkie inne pacjentki) bardzo źle, brutalnie, poniżająco, wulgarnie. Że wydobywano płód na żywca i bez żadnego znieczulenia. Widać, że to strasznie traumatyczne wspomnienia, mniej więcej takie, jak z wizyty u stomatologa – sadysty. Tyle że jeszcze bardziej porażający jest fakt, że pobyty na oddziale aborcyjnym są tu takim samym elementem ludzkiego życia, jak wizyty u dentysty.

Przez głowę przebiegała mi tylko refleksja, jak to zło rodzi zło, jak grzech zaraża kolejne pokolenia i nakręca spiralę rozpacz. Dodam tylko, że jeden syn Natalii zginął w wypadku, a drugi jest narkomanem, który nie chce się leczyć. Ona sama jest dobrą kobietą, pomaga wiele innym, angażuje się społecznie, ale jej istnienie przenika jakiś przeraźliwy smutek. Smutek człowieka, który jeszcze nie spotkał Boga. A ja, poznając kolejne historie ludzi w średnim wieku i ich rodziców, z każdym miesiącem, tygodniem widzę coraz wyraźniej: nie jest to łatwe, gdy ma się sporo lat; jest coraz trudniejsze, gdy ma się ich coraz więcej; a w końcu robi się zupełnie tragicznie nieosiągalne.

Wracając do wcześniejszych informacji, trzeba uczciwie dodać, że nie wszystkie szpitale w Irkucku wyglądają tak tragicznie. Niektóre są po remoncie i sprawiają wrażenie zupełnie europejskie, ale muszę szczerze przyznać, że choć mam bardzo złe zdanie na temat polskiej służby zdrowia, to jednak - w porównaniu z tutejszą - wydaje się być szczytem marzeń i funkcjonalności.

I tą optymistyczną nutką zakończę swój list, życząc Wam jednak jak najmniej kontaktów z lekarzami oraz jak najwięcej radości z wyczuwalnej już chyba w Polsce wiosny.

Barbara

\*\*\*

Irkuck, 13 maja 2009 r.

Droży Moi!

Nie, nie zapomniałam o obietnicy doniesienia Wam o moich zimowych poczynaniach na Sachalinie. Wyruszyłam na tę daleką wyspę w połowie listopada i nie była to łatwa podróż. Po tym, jak jesienią zbankrutowało w Rosji dziewięć lokalnych linii lotniczych, m. in. dalekowschodnia potęga „Dalavia”, wędrowanie w naszym regionie stało się bardzo uciążliwe: połączenia niewygodne, bilety trudno dostępne. Może z czasem wszystko się utrzęsie, ale ja musiałam lecieć właśnie wtedy z powodu konkretnie zaplanowanych imprez. Nocą przemieściłam się do Chabarowska i właśnie tu, może z powodu nieprzespanej nocy oraz towarzyszącej mi całą drogę pełni księżyca, naszły mnie wspomnienia. Pierwszy raz

pojawiałam się w tym mieście sporo lat temu na kursach dla katechetów ze wschodniej części naszej diecezji. Odkrywałam wówczas tę metropolię położoną nad Amurem i poznawałam tutejszy Kościół oraz katolików Dalekiego Wschodu. Nawet nie marzyłam, że spotkamy się w kolejnych latach tak wiele razy i że moje miejscowe znajomości rozszerzą się daleko poza katolickie kręgi.

A teraz, o wschodzie słońca na lotnisku, na widok wciąż tych samych słupków, pasów, parkingów, przypomniał mi się pewien epizod z tego pierwszego pobytu. Gdy wracałam już do Irkucka, właśnie tutaj – podczas kontroli przed wsiadaniem na pokład - odebrano mi mój mały scyzoryk. Był tak mały, że spokojnie mieścił się w ówczesnych przepisach i przechodził legalnie przez wszystkie inne lotniska. Ale tym razem wzbudził wielkie zainteresowanie pani milicjantki. Może jej się po prostu spodobał? Jednak muszę przyznać uczciwie, że zaproponowała mi... zakopanie go w pobliżu, aby przy następnej wizycie sobie odebrać. No bo skoro nikt mnie nie odprowadzał i nie było komu zostawić... Pomyślałam, że przecież nigdy tu nie wrócę, a zresztą łopaty (a raczej kilofa, bo to był zmarznięty listopad) też nie miałam ze sobą, więc ofiarowałam nożyk pani milicjantce w prezencie. Mam nadzieję, że do dziś wspomina dobrze Polaków. To taki mój wkład w pojednanie między narodami. Natomiast ja nigdy już nie zabieram ze sobą scyzoryków. No bo w końcu szkoda.

Ile razy od tamtej pory odwiedzałam to lotnisko? Nie mogę się doliczyć. W maju, w drodze z Kołomy na Sachalin, właśnie rozwijały się tu młodziutkie świeże listki. Teraz, w listopadzie, świat był przyprószony śniegiem. Tak, to już chyba szósty raz w tym roku. Zawsze tranzytowo. Tak samo, jak tym świtem, o którym teraz piszę.

Ale przecież w tych wspomnieniach nie mogę pominąć pobytu w 1992 roku. Tak, to było lądowanie w drodze z Irkucka na Kamczatkę. Moja pierwsza w życiu podróż na wschodnią Syberię i Daleki Wschód! I ten samolot z dymiąca klimatyzacją. Ech, stare dzieje... Czy mogłam wtedy marzyć o tym, że to kiedyś będzie mój świat? Świat takich przestrzeni i granic, że ogarnąć go nie sposób. Świat, który mnie uświęca i który ja mogę próbować przemieniać. Nie-kiedy trudny to świat, ale dziś naprawdę czuję ogromną wdzięczność.

Wróćmy jednak do tematu. Tamtego listopadowego poranka 2008 roku przemieściłam się do Władywostoku i przyszło mi spędzić caluśki dzień na lotnisku, oczekując rejsu na Sachalin. Jednak było to zupełnie nic w porównaniu z tym, co wydarzyło się w drodze powrotnej, a co może pamiętacie z wcześniejszych listów. Wieczorem nareszcie wylądowałam w Jużnosachalińsku. Czekał na mnie pełniący tymczasowo rolę proboszcza ks. Sebastian z Indii oraz parafialny kierowca Rajmund, miejscowy Koreańczyk. To właśnie ta narodowość stanowi największą grupę sachalińskich katolików, a być może jest nawet w parafii większością. Tutaj prawie wszystko jest trochę inne niż w pozostałych miastach naszej diecezji. Sama stolica wyspy nie jest ani duża (200 tysięcy mieszkańców) ani piękna. Ale jednak klimat jest tu zupełnie inny niż na Dalekim Wschodzie Rosji. I bynajmniej nie mam na myśli wiatrów, śnieżyc i słońca. Chodzi o trudną do nazwania, ale zauważalną atmosferę swobody, otwartości, szerszych horyzontów, głębszego oddechu. I to wcale nie dlatego, że z południowych krańców wyspy widać brzegi japońskiej Hokkaido. Przyczyna jest inna: gaz ziemny. Do gazu przyjechali cudzoziemcy, działa potężna międzynarodowa firma „Sachalin Energy”, w mieście mieszkają tysiące cudzoziemców.

Zarządzaniem i administracją najczęściej zajmują się Amerykanie, Europejczycy, Australijczycy i Japończycy. Przy wydobywaniu i załadunku gazu pracują zazwyczaj Filipińczycy i inni Azjaci. Na wszystkich szczeblach nie brak Rosjan.

Ta rzeczywistość przejawia się wyraźnie także w życiu parafii, która tutaj jest wybitnie katolicka, choć wcale nie jest liczna. A jednak w niedzielę, w murach świątyni, dźwięczy kilkanaście języków i wszyscy ci ludzie swoją obecnością na Eucharystii dają świadectwo powszechności naszego Kościoła. Niestety, ciągłe zmiany księży i tymczasowość ich pobytu, nie wpływają dobrze na stabilność ewangelizacji, katechizacji i zwykłej parafialnej pracy. Mimo to, tradycja otwartości zainicjowana przez pierwszych amerykańskich proboszczów, a tak dobrze harmonizująca z atmosferą całego miasta, jest utrzymywana i wyraża się chociażby w udzielaniu gościny grupom anonimowych alkoholików i współuzależnionych. Zresztą tamtejsza grupa AA tydzień temu świętowała swoje dziesięciolecie. Z dolnej sali w niedzielę korzysta jedna ze wspólnot protestanckich. Trzy razy w tygodniu dostają tu zupę bezdomni, karmieni przez siostry Misjonarki Miłości, wspierane przez zagraniczne wolontariuszki.

Miejsce na to wszystko jest, bo kościół zbudowano piękny, duży, ze sporym zapleczem. Znalazł się również pokój dla mnie na czas trzytygodniowego pobytu. Kontynuowałam rozpoczęte w maju działania zmierzające do zorganizowania grudniowego seminarium na temat terapii uzależnień. Także w tych poczynaniach doświadczyłam dużo większej niż w innych miastach Rosji gotowości do współpracy, otwartości i ufności wobec cudzoziemców ze strony urzędników i decydentów. Szczególnie pozytywnie pod tym względem wspominam kontakty z Uniwersytetem. Natomiast lekarze... No cóż, strachu przede mną chyba tam rzeczywiście nie było, ale – niestety – pasywność i niezdolność do podjęcia radykalnych zmian, tradycyjna – jak w całym kraju. Oh, jakże trudno przesunąć tę potężną maszynę choćby o milimetr... Jakże trudno pokonać bezwład, apatię, bezradność i skostniałe struktury... No cóż, oto moje zadanie na dziś: cierpliwie walić w te mury. A nuż pomału coś zaczniesz wykruszać. Nie od razu, bez fajerwerków, ale... W innych miastach są już pierwsze wyłomy, niekiedy wiele miesięcy po rozpoczęciu naszych starań. Ot, choćby trzy ośrodki terapeutyczne dla uzależnionych w Chabarowsku, w ramach państwowej służby zdrowia. Podobny oddział na Kameczatce. Początki takiego oddziału w Magadanie. Pierwszy prywatny ośrodek we Władywostoku. Ruszająca obecnie pierwsza poradnia ambulatoryjna w Irkucku. A także - co jeszcze ważniejsze – umocnienie i rozszerzenie na kolejne miasta ruchu grup samopomocowych. Jest już kilkadziesiąt spotkań tygodniowo na terenie naszej diecezji, a pewnie połowa z nich odbywa się w parafiach katolickich.

Zresztą z tym środowiskiem o wiele łatwiej mi współpracować, niż z oficjalną administracją. Bo to po prostu żywi ludzie, którym coś się chce. Na przykład żyć, albo zdrowieć, albo pomagać innym, albo bezinteresownie poświęcić swój czas i siły jakiejś wielkiej sprawie. Staraliśmy się możliwie najlepiej przygotować miasto na dużą imprezę, w której ostatecznie wzięło udział około dwustu osób. I to nie tylko z Jużnosachalińska, ale i z sąsiednich miejscowości. Większość była oficjalnie oddelegowana przez wojewódzkie lub miejskie struktury służby zdrowia, oświaty, pomocy socjalnej, więziennictwa, milicji. Ale część zupełnie dobrowolnie reprezentowała wspólnoty kościelne i organizacje pozarządowe. Zajęcia poprowadzili specjaliści z Polski, którzy na tych kilka dni przylecieli z drugiego końca świata.

Szczególnie dobrze wspominam spotkanie u naszych sióstr Misjonarek Miłości, w którym wzięli udział – oprócz gości z Warszawy i miejscowych anonimowych alkoholików – podopieczni naszych gospodyń. Pisałam Wam już o tej dzielnicy ruder, nędzy, rozpacz i samobójstw. O współczesnym trądzie dzisiejszej Rosji: alkoholizmie i narkomanii. A jednak przyszli, uwierzyli nadziei. Może nie do końca, może bardziej uwierzyli siostrom, ale przyszli i mogli zobaczyć na własne oczy, jak w życiu innych ludzi ta nadzieja przemieniła się w realność. Od następnego tygodnia miejscowi AA zaczęli do nich przyjeżdżać regularnie i to stwarza szansę na uratowanie kogokolwiek z dzielnicy „Kirpiczka”. A ponieważ całej sprawie patronuje Matka Teresa, to poprowadzi wszystko odpowiednimi ścieżkami.

Dobrze wspominam też kontakty z protestantami, korzystającymi z pomieszczeń naszej parafii. Nie potrafiłam zidentyfikować co to za grupa, ale za to tożsamość pastora ma interesujące korzenie: jego babcia była Polką z Wilna. Nie wiem, czemu właśnie tak potoczyła się jego duchowa droga, ale widzę, że dla swoich ludzi jest naprawdę ogromnym autorytetem, że Bóg obdarzył go talentem krasomówczym, że potrafi zapalać do służby potrzebującym, czego owocem jest między innymi świeżo uruchomiony ośrodek dla alkoholików, narkomanów i bezdomnych. Z powodu tej ich działalności skrzyżowały się nasze drogi, ale widzę możliwości współpracy także w innych dziedzinach. Jeśli kiedyś będzie mi dane wrócić na Sachalin... Na razie działam internetowo: i z alkoholikami, i z protestantami, i z katolikami.

A zatem kończę tę garść wspomnień z końca ubiegłego roku. Wiele żywych szczegółów już zatarło mi się w pamięci. Jednak zostało dobre wrażenie: wyspy przyjaznej, gościnnej, bezpiecznej, ale i spragnionej Prawdy i Przemiany. Wyspy potrzebującej także Waszej modlitwy.

Pozdrawiam Was wiosennie i gratuluję (głównie sobie) pojawienia się pierwszych zielonych listków w Irkucku.

Barbara



---

## REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- **Bronisław Zaleski, *Wspomnienia z Uralu i stepów kazachskich*, oprac. Andrzej Zieliński, redakcja naukowa Antoni Kuczyński, „Biblioteka Zesłańca”, tom 19, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Wrocław 2008, s. 223, ilustracje.**

Do najwybitniejszych naszych rodaków – badaczy ziem zamieszkałych przez Kazachów i ludów z nimi sąsiadujących w XIX wieku – należy Bronisław Zaleski (1820-1880). Recenzowana edycja źródłowa jego tekstów przybliży dorobek i postać tego badacza i artysty. Książka składa się ze wstępu, przedmowy, ośmiu tekstów Zaleskiego oraz noty wydawniczej. We wstępie Antoni Kuczyński trafnie wprowadził w tematykę dzieła. W obszernej przedmowie Andrzej Zieliński na szerokim tle ukazał losy Zaleskiego. W ośmiu publikowanych listach – relacjach z podróży oraz zesłańczych wspomnieniach badacz i artysta opisał ludy zamieszkujące tzw. Kraj Orenburski (dzisiejszy zachodni Kazachstan i niektóre przylegające do niego terytoria Federacji Rosyjskiej) oraz losy zesłanych tam Polaków. Pracę kończy nota wydawnicza. Konstrukcja książki jest trafna i czytelna.

Edycja objęła głównie teksty dotyczące podróży Zaleskiego po tzw. Kraju Orenburskim około połowy XIX w. Tytuły sześciu z ośmiu publikowanych utworów zostały nadane przez wydawcę. Zdecydowaną większość z zamieszczonych w recenzowanej książce tekstów stanowią listy: pięć obszernych do Róży Sobańskiej i jeden, bardzo osobisty, do przyjaciela Arkadiusza Węgrzynowskiego. Publikowane listy i wspomnienia są bardzo różnej wielkości. Mają od 4 do 54 stron. Podstawą wydania stały się wersje drukowane (jeśli były) skonfrontowane z rękopisami przechowywanymi w Bibliotece Czartoryskich w Krakowie. Zmodernizowano pisownię i interpunkcję. Częściowo zachowano język epoki. We wstępie A. Kuczyński trafnie ukazał znaczenie dorobku Zaleskiego w dziejach stosunków polsko-kazachskich. Jak słusznie zauważył, recenzowana książka jest ważnym krokiem do pełnego ukazania jego udziału „w polskim opisanu Kazachstanu i jego ludów” (s. 6).

W obszernej przedmowie A. Zieliński wszechstronnie omówił losy Zaleskiego. Szczególnie wiele miejsca poświęcił jego pobytowi w tzw. Kraju Orenburskim. Zaleski był tam zesłany za działalność patriotyczną. Opisał także jego późniejsze lata spędzone w kraju i na emigracji. Był tam m.in. sekretarzem To-

warzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu.<sup>1</sup> Zaleski łączył predyspozycje uczonego i artysty. Dał – jak pisze A. Zieliński – wierny obraz opisywanych krain. Był wrażliwy na kulturę zamieszkujących ją ludów oraz na piękno przyrody. Opisał losy naszych rodaków zesłanych w ten rejon w XVIII i XIX w. A. Zieliński przedstawił, wydane w recenzowanym tomie teksty Zaleskiego, na szerokim tle relacji innych Polaków z tej części świata.

Rozpoczynające zasadniczą część książki wspomnienie ma charakter obszernego wprowadzenia. Autor poświęcił go polskim zesłańcom w tzw. Kraju Orenburskim w XVIII i XIX w. Ukazał zróżnicowanie ich losów i stosunek do rozdartego przez zaborców kraju. Przy omawianiu tych zagadnień Autor nie poprzestał na suchych faktach. Przy okazji Zaleski naszkicował również pacyfikację przez Rosję omawianego regionu.

Kolejny publikowany tekst to wspomnienie poświęcone Tarasowi Szewczenko. Ukazał w nim relacje wybitnego ukraińskiego poety z Polakami w czasie jego zesłania. Tekst powstał jako protest przeciw traktowaniu go jako wroga rodaków Zaleskiego. Opisując różne narody mieszkające na terenie tzw. Kraju Orenburskiego, autor tekstów zdecydowanie najczęściej miejsca poświęcił Kazachom (zwanym, zgodnie z ówczesnym nazewnictwem, Kirgizami) i zamieszkanym przez nich ziemiom. Im poświęcone są teksty trzeci, piąty, szósty i siódmy. Omówił głównie ich życie codzienne, wierzenia, rozwarstwienie społeczne, obyczaje, stosunek do obcych, prawo. Uwagę przeciętnego czytelnika zwrócają piękne etnograficzne i przyrodnicze opisy (roślin, zwierząt, krajobrazów, ale także np. geologii) oraz dwie kazachskie legendy (s. 189-200). Opisując piękno przyrody i egzotyczne dla siebie obyczaje Zaleski pamiętał o niewesołej sytuacji ekonomicznej wielu Kazachów w połowie XIX w. Nieprzypadkowo o niektórych z nich pisał „jeszcze widać syna stepu szerokiego ale nędza grzbieta schyliła” (s. 123). Niejako przy okazji we fragmentach dzieła poświęconym Kazachom są też wzmianki o innych ludach i ich kulturze. Przykładem wyznający buddyzm Kałmucy (s. 122-123).

Pozostałe teksty: czwarty i ósmy są poświęcone Baszkirom, Wotiakom, Czeremisom, Tatarom, Mordwinom i Czuwaszom mieszkającym wówczas w tzw. Kraju Orenburskim. Dla dzisiejszego etnografa bardzo cenny jest np. opis ówczesnych stosunków rodzinnych, ubioru, sprzętów, sposobu życia. Są też informacje o relacjach z przybyłymi niedawno dobrowolnie na te tereny Słowianami i Niemcami. Zaleski najczęściej uwagi poświęcił w tych dwóch tekstach Baszkirom.

Autor próbował uchwycić, rozgrywające się niemal na jego oczach, przemiany etnograficzne drogą obserwacji i rozmów. Wskazał np. na wpływy rosyjskie i tatarskie na kulturę Baszkirow. Zwrócił uwagę, że w ówczesnych realiach pochodzenie do osiadłego trybu życia fatalnie wpływało na kultywowanie obyczajów (s. 98). O Wotiakach pisał „Narodowość ich codziennie prawie jak liście jesienne spada i ginie, między sobą jednak własnym odmiennym mówią językiem” (s. 116). Omówił istniejące wówczas różnice i podobieństwa w obyczajach różnych ludów. Przykładowo wskazał na lepszą u Baszkirow niż u Tatarów pozycję kobiety. U tych ostatnich – jak pisze – „kobieta stworzona jest dla dogadzania i służenia mężowi, jego zadowolenie jest jej celem i powinno być szczęściem” (s. 101). Wskazuje np. na fatalne efekty utraty olbrzymich obszarów przez Baszki-

<sup>1</sup> Z najnowszych publikacji najszerzej jego biografię przedstawia Wiesław Caban, *Z Orenburga do Paryża. Bronisław Zaleski 1820-1880*, Kielce 2006

rów na rzecz przybyszów z innych części imperium. W efekcie w ojczyźnie „przybyszom lepiej w niej, przestronniej niż dzieciom własnym.” (s. 112).

Trzeba tu wspomnieć przepiękne opisy uralskiej przyrody i ludzi. Przykładem przedstawienie polowania „W nocy, z ogniami, idą szeregiem naprzeciw biegu wody i spotykane ryby strzelają z łuków. [...] Byłem świadkiem takiego rybołówstwa i był to widok prześliczny. Niebo, skaliste brzegi Inzeru, słowem wszystko dookoła było czarne, tylko w wodzie oświeconej gdzieś gdzieś pękami palącej się kory lub łuczywa brodzący po kolana ludzie, światłem oblani, schyleni nad pędzącą pod nimi wodą, we wschodnich strojach, z łukami, wśród ciszy nocnej i rybaczej wyglądali jak dziwne fantastyczne istoty.” (s. 93).

W nocy wydawniczej trafnie przedstawiono i uzasadniono zasady przyjęte przy wydawaniu tekstów Zaleskiego. Książka została pięknie ozdobiona dwudziestoma sześcioma rysunkami, akwafortami i drzeworytami. Ich autorem jest głównie Zaleski. Ilustracje dobrze przybliżają czytelnikowi opisywane obszary i zamieszkujących je ludzi. Wprowadzają także w atmosferę publikowanych tekstów. Niestety, jak wynika z przypisów, zachowała się tylko część oryginalnych ilustracji dołączonych w XIX w. do listów (np. s. 83 przypis 19).

Wartość edycji podnoszą dobrze zrobione przypisy przybliżające geografię, dzisiejszą sytuację wspomnianych w tekstach miejscowości, przyrodę, etnografię, historię (w tym są też polonika z XX w. – s. 87 przypis 9), wyjaśniające używane w tekście słowa. Ukazują one także, przy okazji różnych twierdzeń, oparowanie przez Rosję opisywanej części świata. Co ciekawe nie wszystkie powszechnie, jak pisze Zaleski, występujące tam w połowie XIX w. rośliny udało się A. Zielińskiemu rozszyfrować (np. s. 178 przypis 27).

Książka jest interesująca, a skromna miękka okładka trafnie wprowadza w jej tematykę zaś dwie mapy pomagają czytelnikowi umiejscowić opisywane regiony w Rosji i Kazachstanie. Korzystanie z edycji znacznie ułatwia indeks osobowy oraz wykaz ilustracji i map. Zaleski nie krył życzliwości dla opisywanych ludów. Nie przemilczał jednak ich wad. Równocześnie nie uwolnił się niestety do końca od europocentrycznego postrzegania opisywanych ludów. Jest ono zrozumiałe zważywszy na okres, w którym powstały teksty umieszczone w recenzowanej książce. Wartość relacji Zaleskiego znacznie podnosi wcześniejsza znajomość realiów carskiej Rosji.

Wszystkie publikowane teksty wiele mówią naturalnie także o polskich zesłańcach z Autorem na czele. Ukazują m.in. sposób postrzegania przez nich rdzennych mieszkańców, wzajemne relacje. Niekiedy tutejsza przyroda przypominała Zaleskiemu o rodzinnych stronach i nasilała tęsknotę za ojczyzną (np. s. 177). Nieprzypadkowo przytoczył też opowieść o tęsknocie u Kazachów: „zapach ten [piołunu] lepiej nad wszystkie słowa i napoje uobecnił mu przeszłość, stanęła tak żywo przed oczami jego duszy, że nie mógł wytrzymać, rzucił wszystko [...] i wrócił nazad do rodzinnego stepu.” (s. 159).

Nie brak udanych prób uchwycenia nastroju chwili. Pisał np. „Byłem zupełnie samotny, kiedy ten brzeg rysowałem; orzeł tylko szerokim skrzydłem zaszumiał raz nad głową, morze huczało, a w wyobraźni snuły się fantastyczne obrazy. Miejsce to doprawdy na teatr niejednej sceny *Fausta* [...], jakby duch śmierci tamtędy przeszedł i wszelkie życie skonało.” (s. 125). W innym miejscu pisał żartobliwie o „zalotnym” najwyższym szczycie Gór Mugodżarskich, który

„domyślał się, że go rysuję i tak wszystkie swe stroje przywdziewał, próbując, co bardziej do twarzy mu będzie.” (s. 178).

Są też informacje o relacjach z bliskimi z kraju (np. s. 153) i opisy intymnych przeżyć autora: „Księżyc [tej nocy] świecił prześlicznie i odbijał się w rozlanym Uralu. Jechaliśmy powoli. Słyszałem mnóstwo głosów na łąkach. Noc cicha, tajemnicza, marzyłem i było mi tak dobrze i błogo, jak już bardzo dawno. Przestrzeń zniknęła i zlała się w nieskończoności. Czułem się w kościele Pana i ze strumieniami światła jakaś dziwna błogość spływała do duszy.” (s. 151).

W nocy wydawniczej Andrzej Zieliński słusznie uprzedza czytelnika, że niektóre fragmenty publikowanych tekstów zostały pominięte. Szkoda, że nie objaśnił, jakiego rodzaju informacje i jak duże fragmenty uważał za konieczne opuścić. Sprawa jest istotna gdyż w książce są dziesiątki nierównomiernie rozrzuconych kwadratowych nawiasów z wielokropkami. Publikowane teksty napisane są pięknym językiem. Mimo upływu lat recenzowana książka świetnie przybliży dzisiejszemu czytelnikowi sytuację Kazachów i innych narodów tzw. Kraju Orenburskiego w połowie XIX w. Edycja pełna jest pięknych opisów przyrody i ludzi, zatem godna jest polecenia zarówno etnografom i historykom XIX w., jak i szerszemu gronu czytelników.

*Tomasz Skrzyński*

- ***Wśród śniegów i bagien tajgi. Relacje leśników deportowanych w 1940 roku z ziem wschodnich II Rzeczypospolitej w głąb Związku Radzieckiego***, opracował Józef Broda, Poznań 2004, s. 836.

Książka z wielkim zapałem przygotowana przez Józefa Brodę, emerytowanego profesora Wydziału Leśnego AR, stanowi drugą, brakującą część monografii Lasów Państwowych. Podjęte bowiem prace nad monografią dla uczczenia sześćdziesięciolecia utworzenia w 1930 r. Dyrekcji Naczelnej Lasów Państwowych doprowadziły do wydania tylko pierwszej (1992) i trzeciej (1997) części. Zaś część druga „Leśnicy i leśnictwo polskie w okresie II wojny światowej”, według pierwotnego założenia miała dotyczyć tylko dziejów leśnictwa i leśników na terenie znajdującym się pod okupacją niemiecką. Omawianie spraw dziejących się w strefie sowieckiej było wówczas tematem zakazanym. Tymczasem zapoczątkowany wydarzeniami w Polsce przełom w 1989-90 przyniósł Europie Środkowo-Wschodniej zasadnicze zmiany polityczne i ustrojowe. Pojawił się jednak problem braku źródeł do tych dziejów. W prasie i niektórych tygodnikach opublikowano apel (z odpowiednią ankietą) do leśników i ich rodzin o nadsyłanie wspomnień z pobytu na zesłaniu. W ciągu 10 lat napłynęło wiele bardzo wartościowych relacji leśników, którzy w lutym 1940 r. na podstawie zarządzenia naczelnych władz sowieckich zostali wywiezieni z rodzinami z całego obszaru sowieckiej okupacji – w jednym terminie i w zasadzie do jednej strefy klimatycznej i gospodarczej (obszar tajgi). Społecznym i obywatelskim obowiązkiem było pozostawienie trwałego świadectwa pamięci po pokoleniu leśników, pochodzących z tej właśnie części ziem polskich. Pięćdziesiąt relacji spisanych przez samych leśników lub ich żony i dzieci razem zesłane, stanowi

znakomity materiał dowodowy, świadczący o losach i cierpieniach. Bardzo wąskie ramy czasowe aresztowania i zesłania (w 90% 10 lutego 1940) oraz wywiezienie do z góry wyznaczonych rejonów i miejsc w ZSRR wszystkich leśników z całego obszaru okupacji sowieckiej, pozwala na odpowiednią rejonizację zesłań pod względem liczebności rodzin leśników.

Autor opracowania przedstawił odpowiednio usystematyzowane relacje, odnośnie rejonów, opatrując je odpowiednimi mapkami co ułatwia orientację. Również relacje są poprzedzane streszczeniami oraz uwagami redakcyjnymi (wyróżnione mniejszą czcionką). Krótką informację biograficzną o danym leśniku, sporządzono na podstawie jego relacji lub uzupełnienia przez rodzinę, co pozwala na spokojną lekturę wspomnień bez konieczności śledzenia dziejów zesłańca i jego rodziny. Wprowadzono w relacjach śródtytuły, które dzielą relacje na części o określonym charakterze, ułatwiające czytanie i rozrywające zbyt długie opisy.

Prof. Broda zbiór wszystkich 50-ciu wspomnień poprzedził obszernym wstępnym opracowaniem: *W trybach stalinowskiego systemu*, przedstawiającym cały mechanizm działania systemu karno-represyjnego w Związku sowieckim oraz roli łagrów i kolonii pracy przymusowej w gospodarce sowieckiej, jako źródła taniej siły roboczej. Na tym tle stają się bardziej czytelne i zrozumiałe cele wywózek obywateli polskich z ziem wschodnich do odległych rejonów ZSRR. Przekształcenia, jakim poddano w 1934 r. NKWD w resort spraw wewnętrznych i jednocześnie w resort gospodarczy obejmujący całość spraw karno-represyjnych przyczyniły się do szybkiego wzrostu liczby łagrów. Jednym ze sposobów rozładowania masowego napływu skazańców było tworzenie tzw. obozów leśnych w odległych leśnych obszarach kraju, w pobliżu rzek, którymi mógł odbywać się spław drewna. Już w 1937 r. jednorazowo utworzono siedem obozów leśnych, a dotychczasową Sekcję Leśną GUŁAG-u przekształcono w Wydział Leśny. W 1938 r. powstało jeszcze sześć tego typu obozów, a w następnych latach tworzone dalsze obozy leśne, nie tylko eksploatacyjne, ale z dużym już udziałem produkcji leśno-drzewnej.

Decyzja o tworzeniu „obozów leśnych” podyktowana była również względami ekonomicznymi. Wyręb lasu nie wymagał specjalnych nakładów. Olbrzymie połacie lasów na północnym i przyuralskim obszarze europejskiej części ZSRR oraz na Syberii pozwalały na odpowiednie rozlokowanie więźniów. W okresie, gdy już polscy zesłańcy pracowali niewolniczo na terenie Związku sowieckiego, na przełomie lat 1941-1942, istniało 25 obozów leśnych lub związanych ze znacznym udziałem produkcji leśno-drzewnej. Prezentuje to Autor w tabeli na podstawie przewodnika encyklopedycznego „Łagry” (1998).

W podrozdziale: *Zsyłki polskich jeńców wojennych z września 1939 roku do łagrów oraz masowe deportacje ludności polskiej w głąb ZSRR w latach 1940-41* – przedstawiono sytuację w jakiej Polacy stali się siłą roboczą w sowieckich łagrach. Natomiast ostatni podrozdział autorski – *Leśnicy z ziem wschodnich ofiarami pierwszej deportacji ludności polskiej oraz ich losy na zesłaniu* – stanowi niezwykle wnikliwą analizę tak rejonów rozmieszczenia zesłańców, jak i warunków ich pracy, chorób i śmiertelności oraz zmiany sytuacji po układzie Sikorski-Majski. Ta część opracowania zawierająca 120 stron, stanowi znakomity, ob-

szerny wstęp do zestawionych 50-ciu relacji z zesłania polskich leśników z ziem wschodnich, prezentowanych na dalszych 700 stronach. Jest to wartościowe udostępnienie tych cennych relacji do wykorzystania przez historyków.

Przedstawię tu jedynie opracowaną przez Autora rejonizację zesłań oraz nazwiska leśników-zesłańców:

I. Północno-wschodnia Rosja Europejska: A. Obwód Archangielski: Genowefa Ratajowa, Piotr Mielnik, Kakaluk (imię nieznane), Stefan Karpowicz, Antoni Wysocki-Borejsza, Nodzyński (imię nieznane), Marcelli Andrzej Bogusz, Witold Grodzki, Siemaszkiewicz (imię nieznane). B. Obwód Wołogda: Ryszard Sierpiński, Stanisław Czaiński, Piotr Bortnik, Jadwiga Pytlarzowa (z domu Bortnik), Bolesław Szczepan Latawiec, Bronisław Wozniak.

II. Środkowy i południowy Ural – strona zachodnia: A. Obwód Kirow: Karol Kulman. B. Obwód Perm (Mołotow): Alfons Antoniak, Stanisław Kulczyki, Ludwik Konarski, Wincenty Zarychta. C. Obwód Orenburg (Czkałow): Piotr Bodnar.

III. Syberia Południowo-Zachodnia: A. Obwód jekaterynburski (swierdłowski): Piotr Opalka. B. Obwód Tiumeń: Krystyna Dymowska (z d. Medweca). C. Obwód Omsk: Roman Zajączkowski, Aniela Kamińska, Alfred Sołtysik. D. Obwód Tomsk: Jerzy Kirsz.

IV. Syberia południowo-wschodnia i Kraj Altajski: A. Kraj Krasnojarski – część południowa: Stanisław Nowak, Władysław Swedus. B. Obwód Irkuck: Jan Rębisz, Mateusz Poniatowski, Jan Księźniak, Władysław Czesław Juszcak, Zambrzycki (imię nieznane), Ryszard Żywno. C. Obwód Kemerowo: Aleksander Szpakowicz, Antoni Jasielski, Ludwik Parowacz. D. Obwód Barnauł (Kraj Altajski): Marian Kowalski, Stanisław Kwapiszewski, Antoni Parczewski, Jerzy Korpetta.

V. Północny Kazachstan i południowy Ural – strona wschodnia: A. Obwód Koczetaw i Celinograd (północny Kazachstan): Waław Reguliński. B. Obwód Czelabińsk (Ural południowy): Teofil Bogumił Hajos, Zygmunt Zagórski,

VI. Lagry. A. Komi ZSRR: Stefan Dawid, Paweł Lewkowicz, Paweł Reguliński, Witold Bujak. B. Kraj Krasnojarski – część północna: Edward Sietko-Sierkiewicz.

Należy nadmienić, że w 2007 r. została wydana nakładem Polskiego Towarzystwa Leśnego – z okazji 125 rocznicy jego powstania – dwutomowa praca prof. dr. Józefa Brody zatytułowana „*Dzieje najnowsze leśnictwa w Polsce 1918-2006*” (t. I, 455s.; t. II, 302 s.). Na szczególną uwagę zasługuje w niej rozdział 8 tomu I (obejmuje on okres międzywojenny i lata II wojny światowej) pt. *Próba określenia wielkości strat gospodarczych i osobowych w leśnictwie polskim w wyniku wojny i okupacji* (s. 419-445), w którym autor stara się szacunkowo określić wielkość tych strat dla jednej tylko grupy zawodowej – leśników.

W odniesieniu do ziem wschodnich pozostających pod okupacją sowiecką jest to pierwsza tego rodzaju ambitna próba ukazania strat osobowych. Autor określa w przybliżeniu – w głównej mierze na podstawie recenzowanej książki *Wśród śniegów i bagien tajgi* – liczby leśników wymordowanych w sowieckich

więzieniach i łagrach oraz wywiezionych w 1940 r. wraz z rodzinami w głąb Związku Sowieckiego, przeważnie do wyrębu tajgi.

Autorowi należą się słowa uznania za podjęcie i zrealizowanie tak ambitnego zadania i uratowanie tą drogą od zapomnienia dziejów leśników ze strefy pod okupacją sowiecką.

*Adam Wołk*

- **Francesca Michalska, *Cała radość życia. Na Wołyniu, w Kazachstanie, w Polsce. Wspomnienia.* Oficyna Literacka Noir Sur Blanc, Warszawa 2007, s. 173 + 3 nlb., il. w tekście, mapy na wklejkach.**

Nominacja tego tomu do prestiżowej nagrody „Cogito”, fundowanej przez „Polskie Radio” i „Telewizję Polską”, wyróżnienie, zaliczenie do siedmiu finałowych laureatów, skłania do recenzyjnego omówienia. Ale nie tylko. Książka jest wyjątkowym przykładem biografii osobistej, którą można określić pojęciem „literatury dokumentu osobistego”. Wszak wątek – życiorys – posłużył jako kanwa, ale „utkana” z niezwykłej siły woli, oraz instynktu życia i posłużyła do opowieści o losach rodziny, sąsiadów, wreszcie Polaków, bowiem postrzeganie wydarzeń rozpoczęła od domowego progu. W miarę wzrastania autorki i przemian losu, jej opowieść rozszerza się na tę część narodu polskiego, którą najwcześniej dosięgła sowiecka represja, właśnie za poczucie polskiej tożsamości narodowej.

Podmiotowość treści i niemal jej interdyscyplinarny charakter ma wyraźnie napotykaną w narracji związki z psychologią i socjologią. Dalej, to postrzeganie krajobrazu kulturowego polskiej wsi kresowej oraz podobnego, ale kazachstańskiego, zasiedlonego w tej części oblasti przez Kirgizów. Inną szczególną cechą tego dokumentu osobistego jest opowiadanie wydarzeń biograficznych wplecionych w kontekst społeczno-polityczny, wszak autorka, jej rodzina i grupa polskich rodzin, naznaczona jest w sowieckiej nomenklaturze urzędowej terminem „trudpieriesielenje”. A to determinowało los i warunki bytu, a także ciągłą śledczą wnikliwość funkcjonariuszy NKWD i zachowanie nie tylko wszelkich innych czynników administracyjno-gospodarczych, a nade wszystko miejscowej ludności. Wszak dla tej ludności „trudoposielency” byli nie tylko wyzyskiwaczami i burżujami, ale nade wszystko wrogami ustroju, jak zapewniała wszechwładna propaganda i indoktrynacja. Co prawda, nędza, wyzucie z większej, poza skromną osobistą własnością, liczba kobiet i dzieci, pozwalała Kirgizom obiektywnie ocenić przybyszów, z czasem skruszyć obawy i niechęć, a ujawnić dobroć serca i litość nad ich przerażającą nędzą.

Ten „dokument osobisty” przynosi pewien zasób spostrzeżeń dotyczących konkretnych zjawisk, wydarzeń i procesów zachodzących w kręgu polskiej ludności kresowej, od lat 30. XX wieku, przez następne kilkanaście lat, tej obserwacji uczestniczącej ujętej w narracji. Dostarcza to materiału faktograficznego do ich naukowej weryfikacji do zrozumienia tych procesów. W określony sposób dopełnia wartości poznawczej tomu dodanie na wklejkach: na verte karty tytułowej wycinka mapy pogranicza z traktatu ryskiego na Wołyniu, oraz podobnej (w innej skali) na drugiej okładce, mapy okolic rodzinnych autorki na s.12 oraz fotografii, a to ofiary głodu w latach 1932-1933, na s. 25, oraz fotoko-

pie dokumentów osobistych na s. 51, 56, 59, 66, 67, 112, 125, 126, 132, 150, 157, 158, 159, oraz 8 fotografii ilustrujących wątki ogólne.

Dodajmy do ogólnej charakterystyki tomu, że opowieść poprzedza słowo *Od Redakcji*, s. 7-10, będące ogólną, więcej jak krytyczną oceną negocjacji pokojowych w Rydze i traktatu granicznego z 18 marca 1921 r. Odwołanie do dzieła Władysława Pobóg-Malinowskiego (wyd. w Londynie w 1983 r.) w całości usprawiedliwia tę wypowiedź, bowiem nowsza historiografia, a mamy tu kilka znaczących studiów, nieco inaczej postrzega okoliczności, a nawet następstwa traktatu.<sup>1</sup>

Natomiast *Posłowie* pióra Tomasza Bohuna, s. 163-174, jest rzeczowym dopełnieniem autorskiej treści książki, bowiem operując liczbami informuje nie tylko o likwidacji „świata dawnej Rzeczypospolitej” na Ukrainie w wyniku bolszewickiej rewolucji, ale dodaje, że w 1926 r. zamieszkiwało tu jeszcze 476.435 Polaków, w tym na wsi 377.688, zaś po klęsce głodu, w wyniku terroru i deportacji, liczba Polaków zmniejszyła się o ponad 120 tysięcy, w końcu lat trzydziestych. Dodajmy, że w 1935 r. z przygranicznych z Polską rejonów wysiedlono na wschodnią Ukrainę około 42 tysiące mieszkańców, wśród których około 60% stanowili Polacy i Niemcy. W tym czasie, latem 1935 r., władze zdecydowały o wysiedleniu ponownie ze strefy nadgranicznej oraz z tzw. Marchlewszczyzny (Dołbysz z okolicą), półtora tysiąca polskich rodzin. Łącznie ok. 45 tys. ludzi, których skierowano do Kazachstanu. Do września 1936 r. zesłano do tej republiki prawie 36 tys. Polaków, w tym 12.486 dzieci. Za sprawą tych ludzi powstało 37 nowych wsi w pustkowiu kazachstańskiego stepu.

Pośród tych ludzi, tych procesów stalinowskiej rzeczywistości na Ukrainie, toczy się akcja opowieści Franceski Michalskiej, rzeczywistości postrzeganej z wrażliwością oraz bystrością obserwacji starszego dziecka i wzrastającej dziewczyny. Wierność w opisie faktów jest wyjątkową cechą tej narracji.

Rozpoczyna ją opis sielskiego krajobrazu rodzinnej Maraczówki w obłasti Winnica oraz pośród położonej na południowy zachód Sławuty, dawniej gniazda Sanguszków, na wprost po polskiej stronie, tuż przy granicy widniejącego Korca, zaś na północy Berezdowa, miasteczka co i z czasem siedziby okręgu. Dodajmy, że w nieodległej okolicy, dwadzieścia parę kilometrów na południu, był Zasław, skąd wywiedli się wcale liczni w dziejach Rzeczypospolitej Zasławscy na jej urzędach i w wojsku, a nieco na wschód leżała Szepietówka. W latach zaboru rosyjskiego była tu siedziba guberni, pogranicznej z austriacką Galicją.

To krąg krajobrazowo-kulturowy w który wpisuje autorka szczegółowe już informacje z Maraczówki. O losach rodziny, w której mężczyźni trzebiła represja, a to brat matki Piotr w 1930 r. został rozstrzelany w Zasławiu, zaś wujek Piotr Wysocki usiłował zbiec do Polski, „bo te dwadzieścia pięć kilometrów do granicy kusiło bardzo...” Został ujęty. „Aresztowano trzech jego braci: Władysława, Pawła i Jana, a także wszystkich młodych mężczyzn spośród

---

<sup>1</sup> Jerzy Kumaniecki, *Pokój polsko-radziecki 1921. Geneza – rokowania – traktat – komisje mieszane*, Warszawa 1985, passim. Henryk Dominiczak, *Granica wschodnia Rzeczypospolitej Polskiej w latach 1919-1939*, Warszawa 1992, passim. Krystyna Gomółka, *Józef Piłsudski wobec kwestii białoruskiej a wschodnia granica Polski w latach 1918-1922. Narodziny Polski Niepodległej. Wizje – realia – opinie*, Warszawa 1988, s. 196-216.



krewnych”, s. 15. Piotr został rozstrzelany, Jan przeżył dziesięć lat na Kołymie, Władysław trafił do Workuty i przeżył, zaś Paweł nigdy nie dał znaku życia... Oto losy najbliższej rodziny w dziecięcym czasie autorki, a do tego „rozkułaczanie” bogatych gospodarzy we wsi, na oczach najbliższych, kiedy „aktyw” niszczył dobytek, a harmonista „przygrywał wesoło, słysząc go było w całej wsi”. Zaś dalej pisze: „...cały dochód z gospodarstwa szedł na pokrycie coraz większych podatków. Ojciec ciężko pracował i jak już uskładał trochę rubli, mówił: „Jeszcze ten podatek zapłacę, może już więcej nie dołożą”. A zaraz po spłacie jednego, przynoszono nakaz płatniczy na następny, wielokrotnie większy od spłaconego. Oprócz pieniędzy trzeba było oddać zboże, bydło, mleko i jaja. W latach 1930-1932 na przednówku nie było co jeść...” s. 19

Tak zaczynał się okres wielkiego głodu. Następuje opis tego dramatu ludności polskiej, zamożnej wsi, ludności wymierającej pośród niewyobrażalnego terroru hapczyków<sup>2</sup>, przeszukujących obejścia, ogrody w poszukiwaniu żywności, cenniejszej odzieży, czy pościeli. I zniszczenie owoców pracy, zagłada normalnego życia, pośród rozmaitych sposobów jego ratowania i ocalania, wreszcie straszna głodowa śmierć. Dalej pisze: „Rok 1933. Znaczna część mieszkańców Maraczówki umarła z głodu. Wielu podobnie jak my, ledwo uszło z życiem. Były zaś wioski, gdzie nie ocalał nikt. Tak wtedy było. Nie tylko u nas, na całej Ukrainie. Władza ogłosiła wkrótce, że osiągnięto całkowitą, dobrowolną i powszechną kolektywizację”, s.30.

Ostatni fragment tej części wspomnień zajmuje opis deportacji. Z Maraczówki wywożono 25 polskich rodzin, by po czterech dobach oczekiwania na punkcie zbornym koło stacji Majdan-Wyła, 1 czerwca 1936 r. wyruszył transport. Po trzech tygodniach „tam gdzie kończyły się tory”, podróż dobiegła końca *W stepie*, bo taki tytuł nosi dalsza część relacji, s. 39-60.

Około pięćset rodzin deportowanych z Wołynia, w szczerym stepie, w niezwykle ciężkiej pracy, rozpoczynało zakładanie nowej osady. Nazwali ją Czernigowka. Wykopali studnię w odległości aż trzech kilometrów od kilku dużych namiotów, z których każdy mieścił przynajmniej 20 rodzin. Równolegle z ciężką pracą, jaką było przygotowanie gliny mieszanej ze słomą, z których formowano „summy”, chowano zmarłych. „Zdarzały się takie dni, kiedy w naszym pięciusetrodzinnym osiedlu, w obce, kazachskie zaświaty odchodziło nawet kilkanaście osób. Byliśmy osłabieni, wyniszczeni przez głód, suszę i chłody”. Wspomniane „summy”, niczym cegły, wysuszone na wietrze i słońcu, układano, tworząc ściany lepianki o wymiarach trzy na cztery metry. Budowano w rogu izdebki ruski piec. Tak przygotowywano się do zimy. Była śnieżna i „z niewyobrażalnymi u nas mrozami”. Wszyscy chorowali na szkorbut, wielu zapadło na kurzą ślepotę. „Stopniowo nauczyliśmy się żyć w stepie”, pisze podsumowując czas pierwszej zimy.

W lecie do chaty-lepianki dobudowywano dodatkowe pomieszczenia, by zgromadzić opał i miejsce dla krowy-żywicielki. W osadzie zorganizowano kołchoz z oborą dla bydła, punkt medyczny i szkołę dla najmłodszych dzieci, a „nauczycielem mógł zostać każdy z przesiedleńców, który ukończył siedem

<sup>2</sup> To ukraińskie określenie funkcjonariuszy GPU, Gosudarstwiennojje Politiczeskoje Uprawlenije, sowiecka policja polityczna, w grudniu 1934 r., przekształcona w NKWD, Narodnyj Komisariat Wnutriennych Dieł, który przejął jej funkcje i znacznie rozwinął przez organizację głównych zarządów, jak słynny „Gulag”.

klas”. Autorka od września 1937 r. rozpoczęła naukę w siedmioklasowej szkole w miejscowości Letowoczne, odległej o 20 km od Czernigowki. Świadectwo jej ukończenia w reprodukcji umieszczono na s. 51.

Był to zarazem początek nowej drogi życia, bowiem zdała egzamin do szkoły felczerskiej w Pietropawłowsku i uzyskała „sprawkę” – dokument NKWD zwalniający z „trudposielenja”, reprodukowany na s. 59, dokument umożliwiający nie tylko naukę, ale przebywanie poza miejscem zamieszkania.

Następny rozdział *Chcę zostać lekarzem*, s. 63-79 jest interesującą relacją nie tylko o nauce w szkole felczerskiej, ile praktyki w szpitalu, a zwłaszcza samodzielnego prowadzenia punktu felczerskiego w Sadyk-Aszczy, pośród Kirgizów. Poprzedza ten fragment tekstu fotokopia paszportów autorki, które dokumentują narrację wpisami zameldowania w wielu miejscowościach. Natomiast relacja jest swoistym świadectwem – opisem stosunków na głębokim zapleczu kraju toczącego „wojnę ojczyznianą”. W jej dzieje wpleciony jest wątek rodzinny – losy siedemnastoletniego brata, wcielonego do Armii Czerwonej, który ranny, pozostał inwalidą ze sztywną w stawie łokciowym ręką, ale mimo to poszedł na pierwszą linię. Poległ pod Berlinem na dwa dni przed zakończeniem wojny. Drugi, starszy brat w tym czasie przebywał na Kołymie i przeżył 10 lat zsyłki.

Dalsza część wspomnień, *Atma Ata*, s. 83-89 to opowieść o studiach w Instytucie Medycznym, które mimo panującego głodu, autorka wspomina z wyraźnym zabarwieniem emocjonalnym. Tę opowieść przeplata relacja z kilkudniowego pobytu w „rodzinnej” Czernigowce. Jest to szczególnie świadectwo o niewiarygodnej pracy jaką rodzice wykonali od początku deportacji w step. „Wyobrażałam sobie chwilę gdy wejdę do domu. »Z pewnością – myślałam – od razu zauważę, jak się sprawy mają, czy jest jakaś żywność, czy nie ma nic«. Rzeczywiście kilka pierwszych sekund wystarczyło: na kredensie zobaczyłam bochen chleba, obok na drewnianej ławce, miskę pełną chłodnych kartofli, a w garnku na piecu-jakaś zupa. Radość ze spotkania była wielka. Nie mniej cieszyłam się z tego, że już nie będę głodować. Mama zaraz zabrała się do lepienia pierogów z serem, była też jakaś potrawka z baraniny i chleb do syta. Jadłam bez przerwy. Mama co chwila podsuwała mi nowe porcje”, s. 94. Potem następuje rozdział *Charków*, s. 103-113 z opisem dalszych studiów w niewyobrażalnych wręcz warunkach zrujnowanego miasta, pośrodku zimy. Ważne dla autorki było poświadczenie w indeksie: „Była to podwójna kartka wyjęta z zeszytu, opatrzona moją fotografią i spisem zdanych egzaminów, z pieczęciami i podpisami profesorów”, której reprodukcję dano na s. 112. Było to zaliczenie pięciu semestrów.

Kolejny etap drogi życiowej autorki rozpoczął się od skierowania na dalsze studia do Czerniowiec, s. 117-127., które są tylko fragmentem narracji, bowiem całą uwagę autorki pochłonęła sprawa wyjazdu do Polski. Jest to bardzo interesujące świadectwo o tych wszystkich przeszkodach jakie były udziałem tysięcy rodaków, których „repatriowano” do Polski. Ale nie tylko. Także opis miasta i napotykanych ludzi, co autorkę na swój sposób zadziwiło - ową odmiennością cywilizacyjną i dała temu szczerzy wyraz w swojej opowieści.

Wreszcie rozdział *Do Polski*, s. 131-146 jest rozpoczęty od pożegnania z rodzinną Maraczówką, ojczystym domem i krewnymi, których losy poznały ofiarami sowiecki terror. Opatrzona jest ta informacja fotokopią listu „rehabilitacyjnego” Antoniego Waśkowskiego, stryja autorki, rozstrzelanego w Kamieńcu Podolskim 8 lutego 1938 r., dokumentu wystawionego w grudniu 1990 r. z

propozycją zadośćuczynienia córce w wysokości dwóch ostatnich pensji straconego ojca... Bliższą, wręcz szczegółową narrację, autorka zamyka zdaniem, „Po dziesięciu latach wieś zmieniła się nie do poznania”.

Dalsza treść, to już relacja o drodze do Polski. „Wreszcie pociąg ruszył. Bez szczególnego pośpiechu. Zatrzymywaliśmy się często na dłuższe postoje, żeby nakarmić bydło. Granicę przekroczyliśmy bez żadnych problemów. Nie mogłam uwierzyć. No, to jestem w Polsce ! Nie do wiary ! Wysiadłam na stacjach, ażeby popatrzeć, jak to w Polsce jest”, s. 134.

Interesujący jest dalszy opis poszukiwania miejsca w Polsce od okolic Zielonej Góry, po Lubień na Dolnym Śląsku, gdzie rozpoczęła pracę w szpitalu. To inny zupełnie rozdział życia autorki, w którym umiejętności pielęgniarskie, łączą się z opisem ówczesnej praktyki lekarskiej, aż do października 1946 r., kiedy autorka rozpoczęła studia w Akademii Medycznej we Wrocławiu. Dziekan „...zaliczył mi trzy lata studiów w Związku Sowieckim ! Kazał jednak zdać ponownie egzaminy z mikrobiologii i anatomii patologicznej oraz w ciągu dwóch lat zrobić polską maturę.”, s. 151. W 1948 r. otrzymała absolutorium i podjęła pracę w szpitalu św. Anny we Wrocławiu oraz wszczęła starania o przyznanie polskiego obywatelstwa, co nastąpiło w grudniu 1949 r. W rok później zdała ostatni egzamin i otrzymała dyplom.

Ostatnie już karty tej barwnej opowieści, to już bardzo prywatne „układanie” życia małżeńskiego, uzupełnione fotografiami rodzinnymi i fotokopiami dokumentów oraz zabiegi o sprowadzenie rodziców z Kazachstanu do Polski. Udało się to szczęśliwie załatwić w kwietniu 1955 r.

Warto przytoczyć ostatnie zdania Wspomnień: „W kilku przypadkach zostałam obdarowana niezwykle przychylnością losu, której nie sposób wyjaśnić inaczej, jak tylko działaniem Opatrzności, roztaczającej nade mną opiekę w nieprzyjemnym, okrutnym świecie. Miałam też przez te wszystkie lata zadziwiające, niewytłumaczalne szczęście do ludzi i wobec wielu z nich odczuwam nadal głęboką wdzięczność. Odzyskałam ponadto Ojczyznę, która była dla mnie zawsze wymarzona i nieznana. Odzyskałam ją jako jeden z tych nieoczekiwanych darów Opatrzności i uważam ją nadal za dar najważniejszy”, s. 162.

Niepodobna do tego zakończenia coś dodać poza zwróceniem uwagi na niezwykle siłę woli i poczucie więzi rodzinnej, które stanowiły pośród przeciwności losu o instynkcie życia i dążeniu do spełnienia marzenia o zawodzie lekarza. Stąd lektura tych wspomnień jest nad wyraz pouczająca, zaś świadectwo polskiego losu narodowego na Wschodzie dojmujące prawdą.

*Mieczysław Wieliczko*

- ***Ofiarom Golgoty Wschodu – Wspomnienia, „Zeszyty Wojniczkie”, rocznik XVII, nr 1/2008. Wydanie specjalne, Wojnicz 2008, s. 98, il. w tekście.***

Omówienie tego wydawnictwa jest tyleż trudne, co i konieczne. Trudne, bowiem formą publikacji odbiega nieco od reguł recenzowanych druków zwartych, a więc o narracji jednorodnej w formie i treści. A ten zeszyt jest zbiorem 12 tekstów o różnej konwencji wypowiedzi, więc nie poddających się jednolitym kryteriom postrzegania podstawowego wymogu opinii recenzyjnej. Stąd

pewne niebezpieczeństwo w ocenie doniosłości, bądź wartości danego tekstu, także z tego względu, że teksty powstawały w różnym czasie, pod piórem bezpośrednich świadków – autorów, albo zostały napisane przez bliskich z rodziny jako relacje o losach i przeżyciach wojennych krewnych.

Wymieniamy te wstępne i ogólne spostrzeżenia, by przedsięwzięcie wydawnicze zespołu redakcyjnego „Zeszytów Wojnickich” przyjąć jako pewien ewenement w całym piśmiennictwie o zesłańczej polskiej martyrologii na Wschodzie w latach II wojny światowej. Określają ów ewenement słowa wstępnej karty, gdzie czytamy: „Pozostanie [...] ten „Zeszyt...” jako widomy znak naszej pamięci o wszystkich pomordowanych i zamęczonych więźniów łagrów i innych obozów pracy katorżniczej, o nieludzko traktowanych jeńcach wojennych i ludności cywilnej, bezprawnie wyrzucanych z własnych domów, skazanej na poniewierkę, głód, zimno, choroby, często śmierć. Chcemy też złożyć wszystkim Ofiarom Golgoty Wschodu hołd należny Im od nas, Ich rodaków, dla których los był łaskawszy i nie doświadczyliśmy tylu cierpień.”

W tych słowach jest uzasadnienie naszej prezentacji zawartości tego wydawnictwa. Dodajmy, że zostało przygotowane łącznie z inicjatywą i budową na cmentarzu w Wojniczu pomnika „**Golgoty Wschodu**” – obelisku w centralnej części nekropolii, obok kaplicy pogrzebowej. Uroczystość odsłonięcia, która 7 września 2008 r. zgromadziła rzeszę mieszkańców, a organizacje i szkoły przybyły z 15 sztandarami, była wydarzeniem o szczególnie patriotycznej wymowie, bowiem to dzień zdobycia miasta przez Niemców w 1939 r. W 2/3 wysokości obelisku, umieszczono odlane z brązu płyty czterech płaskorzeźb, oplecionych drutem kolczastym. Na frontonie obraz MB Katyńskiej i na kolejnych tablicach napisy: „Katyń, Miednoje, Charków, Kresy, Kazachstan, Syberia”, zaś na następnych: „Pamięć nie dała się zgładzić” oraz dedykacyjna, „Pamięci Golgoty Wschodu – Wojniczanie”. Reprodukcję tych tablic umieszczono na tytułowej okładce, zaś na odwrocie podano schematyczną mapkę opisaną: Gdzie przetrzymywano i rozstrzeliwano polskich jeńców, z wykazem: W Katyniu zamordowano ok. 4,4 tys. oficerów z Kozielska, w Miednoje rozstrzelano ponad 6 tys. jeńców z Ostaszkowa głównie policjantów, w Charkowie zamordowano ok. 4 tys. jeńców ze Starobielska. A wszystko oznaczono nazwami miejsc kaźni i pochówku. Przejdźmy do omówienia zawartości „Zeszytu Wojnickiego”.

Biogram Adeli Sygnarowicz (ur. w Wojniczu 1914), opatrzony fotografią sprzed wojny i reprodukcją dokumentu: Zaświadczenie 025926/U-1199/92, zajmuje zaledwie kartkę, s.7-8, a jest to opis życia przez 17 lat i 1 miesiąc na zesłaniu od czerwca 1940 r. na Syberię, potem, od 1944 r. pracy w Lewakumskim Sowchozie (Stawropolski Kraj) u podnóża Kaukazu, aż do powrotu do kraju w maju 1957 r. Nie podobna przeoczyć, że wspomniane Zaświadczenie Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych nosi datę 30.01.1992, a A. Sygnarowicz zmarła w Wojniczu 28.02.1992 r.

Danuta Szyszka zapisała *Losy Stasia*, s. 9-10, na swój sposób niezwykle, bowiem rodzina, po uciekinierce wrześniowej z Jasła, znalazła się na Wschodzie. Dotarli do Archangielska, gdzie mieszkał brat Józefa Pudło. Obydwaj zostali wcieleni do Armii Czerwonej, z której zdołali zbiec i dołączyć do Wojska Polskiego pod dowództwem gen. Wł. Andersa. W drodze represji ich rodziny, zostały deportowane na Syberię. Stanisław Pudło miał 5 lat. W drodze zmarł jego młodszy brat i matka pochowała go w śniegu. Matka stale powtarzała: nazywasz

się Stasiu Pudło, jesteś Polakiem i rodzina mieszka w Polsce koło Tarnowa. Pamiętała...Matka pracowała w kopalni rudy i zmarła, ale nie wiedział kiedy i gdzie. Trafił do ochronki, prawdopodobnie w Kazachstanie, bowiem było tam ciepło...Po wojnie krewni z Biadolin Radłowskich poszukiwali rodziny Pudłów. Bez rezultatu. Ale w 1946 r. Kazimierz Kura wujek Stasia, odnalazł 10-letniego chłopca w Kwidzynie w ochronce sprowadzonych z ZSRR polskich dzieci. Zdołał go odzyskać, przyjął do rodziny i wychował. Stanisław studiował w Uniwersytecie Jagiellońskim, założył rodzinę. Zmarł w 2001 r., ale na zawsze zachował pamięć o zesłańczym dzieciństwie i postaci matki, która ocaliła jego polskość.

Józef Kurtyka swoje *Wspomnienia Sybiraka*, s. 11-50 spisywał przez kilka lat z pomocą najbliższych – starszego rodzeństwa, bowiem miał 11 lat, jak rodzinę deportowano 10 lutego 1940 r. z gminy Kozowa na Podolu. Tu ojciec z Wierchosławic, matka z Michowic k. Dąbrowy Tarnowskiej, kupili ziemię i założyli gospodarstwo nad rzeką Koropiec. Opisuje warunki deportacji dokładnie z datami pobytu w obłasti mołotowskiej, od czerwca 1941 r. w kolejnych pięciu „lesouczastkach”, aż po przesiedlenie w maju 1944 r. do obłasti saratowskiej i kołchozu w miejscowości Frunze. Warto wspomnieć, że o każdym z tych miejsc deportacji zapisał kilka stron, przedstawiając warunki życia rodziny i jej pracy. Zaś w końcu pisze: „W sierpniu 1945 roku nadeszła upragniona wolność. Polacy, którzy chcą, mogą starać się o wyjazd do Polski. Dorośli muszą udowodnić swoją polskość jakimś dokumentem z Polski, w którym byłoby nazwisko i imię. Oczywiście tata na swoje nazwisko miał sporo dokumentów, ale mama nie miała nic. W związku z tym musieli w gminie wziąć ślub.[...] Każdy, kto chciał wyjechać do Polski, musiał podanie napisać osobiście. Mama na swoim podaniu napisała, że jej najmłodszy syn Antoni, który urodził się w 1944 r. we Frunze, też chce jechać do Polski. Podanie wieczorem zaniesiono na drugi oddział, skąd następnego dnia rano miały być przesłane do Marksa. Niestety na Antosia musieliśmy napisać oddzielne podanie”. s. 48.

W kwietniu 1946 r. rozpoczęli podróż do Polski o której tak relacjonuje: „...zawieziono nas do Marksa wozami konnymi i przyczepami ciągnikowymi. Tu na dalszą drogę czekaliśmy dwa tygodnie. Dalej samochodami przewieziono nas do Engelsa, miasta na lewym brzegu Wołgi naprzeciwko Saratowa. W Engelsie czas upłynął na oczekiwaniu na zwożonych z różnych okolic ludzi i kompletowaniu składu transportu. Z powodu braku wagonów datę załadunku i wyjazdu co kilka dni przekładano. Wreszcie podstawiono wagony, wybrano kierownika transportu i jego zastępców. Kierownikiem został Żyd. Później okazało się, że nie brak wagonów był przyczyną kilkunastodniowego oczekiwania na transport, a zwożenie ludzi, przeważnie Żydów, z najodleglejszych okolic Saratowa.

Doliczono się, że w transporcie było około 300 Polaków i ponad 1000 osób pochodzenia żydowskiego. [...] Pociąg nie jechał szybko, gdyż podstawowym paliwem lokomotywy było drewno. Gdy zapas opału się kończył, transport zatrzymywał się w lesie i kto tylko mógł, szedł pomagać w gromadzeniu paliwa. [...] Pod koniec maja wjechaliśmy na ziemie polskie. [...] Po paru dniach dojechaliśmy do stacji Psie Pole we Wrocławiu. I tu znów przykre zaskoczenie. Do wagonów podjeżdżały samochody i zgodnie z kolejnością list, zabierali ludzi narodowości żydowskiej. Rozwożono ich do wcześniej przygoto-

wanych poniemieckich kwater i domów. Natomiast nas rozlokowano w barakach i kazano szukać domów lub gospodarstw na własną rękę.

Po dwóch tygodniach bezskutecznego oczekiwania na Psim Polu PUR przewiózł nas do Konina. Po dziesięciu miesiącach od przyjazdu do Polski przydzielono nam poniemieckie gospodarstwo rolne. Grunty piaszczyste, marne, a dom, jak lepianka, pokryty strzechą. Ale byliśmy szczęśliwi. Po okrutnych przejściach, mieliśmy własny kąt.” Dodajmy, że na s.49 autor dał fotografię rodziny z podpisem: Rosja 1945 rok Saratow-Frunze, a opisane losy dotyczyły dziesięciu osób, z wyjątkiem Antosia na kolanach matki, którego polskie obywatelstwo trzeba było oddzielnie dokumentować.

*Jestem Sybirakiem*, zatytułował swoje wspomnienia, s. 51-60 Aleksy Redzko, ur. 14 grudnia 1928 r. we wsi Kraje w gminie Telechany koło Kosowa Poleskiego, nad Kanalem Ogińskiego, wspomnienia, deportowanego 10 lutego 1940 r. Rodzina liczyła dziesięć osób, z których najmłodszy i dziadkowie zmarli na zesłaniu, zaś matka autora „w drodze powrotnej do ojczystego kraju”. Razem pięć osób pochłonęła zsyłka. Jechali transportem liczącym 82 wagony, jak dorosli policzyli, a chłopiec ciekawy świata, daje to świadectwo o losach rodziny z poleskich Kresów. Jechali najpierw gospodarczą kolejką wąskotorową do Iwancewicz, a stąd już szerokim torem „... jechaliśmy na północ, jak się później okazało w kierunku: Baranowicze-Smoleńsk-Moskwa-Wołogda i Archangielsk. [...] Nas dalej pędzono rzeką 70 km od Archangielska do rejonu Chołmogory, Sielsowiet Koskowo, a później w lasy tajgi między Dźwinę i Peczorę. Lasy były przerażające, bardzo ciemne i ciche, pokryte grubą warstwą śniegu, lasy milczące i ten przesywający na wskroś okrutny mróz. [...] Przywieziono nas w tajgę potężną, dano dorosłym i starszym dzieciom piły i siekiery, które tam nazywają *kałun*. Kazali nam wycinać drzewa i budować sobie domy. Byliśmy w łagrze bez adresu, miejsce naszego pobytu oznaczone było tylko numerem, dla nas był to nr 54, znajdowały się tam tylko stare baraki na wysepce otoczonej bagnami, były tam też dwie duże stodoły. Do baraków napchano ludzi do oporu, ile się tylko dało.

Dalej pisze o pracy matki, której „Dano normę, jako „lesorubczykowi” – 4 kubiki na jedną osobę (matkę), norma ta była bardzo trudna do wykonania, bowiem trzeba było drzewo ścinać piłą ręczną, rozpołowić okrągłaki grube i ułożyć w stosy. Jeżeli ta norma nie została wykonana, dostawała tylko 200 gram chleba, a nie 300 gram, jako pracownik katorżniczy. Ja jako dziecko i syn pani Michalczykowej, pomagaliśmy matkom, żeby norma była wykonana. Dla nas norma chleba wynosiła 200 gram na dobę i gorącą wodę.

My dzieci przynosiliśmy ściętą brzozę do baraku i tępą piłą piłowaliśmy na trociny, po które podchodziły małe dzieci oraz starszankowie i brali do żucia. Gotowaliśmy też brzożowe paki i ten gęsty sok piliśmy. Podobnie postępowaliśmy z igliwem sosny, też ugotowane piliśmy”.

Dalszą część wspomnień wypełniają opisy innych zajęć, zarówno dzieci jak i dorosłych, szczególnie wiosną i latem. Aż wreszcie dodaje: „W tak okrutnych warunkach mieszkaliśmy w tajdze 5 lat. Potem wywieziono nas na południe. Łagry w których mieszkaliśmy przez te lata nigdy nie miały adresu, miały

tylko numery: 54, 55, 6, 72”. Każdy z nich charakteryzuje pisząc: „...drugi łagier, tu znajdowała się komendantura i tu było nam najciężej. Tu też znajdowała się szkoła, gdzie nas dzieci polskie chciano zrusyfikować. [...] W tej szkole nie wolno nam było mówić po polsku, byliśmy pilnowani przez tzw. politruka, chodził między nami i nasłuchiwał jak mówimy, miał zawsze przy sobie witkę z wierzby, którą bił, jak tylko któreś dziecko mówiło po polsku, bił po plecach i dość mocno”. Relacjonuje o zmianie sytuacji po ogłoszeniu tzw. amnestii i o początku powrotu w II połowie 1944 roku: „przewiezieni zostaliśmy przez zalew Morza Białego, na lewy brzeg, gdzie znów czekały na nas wagony, jakimi wywieziono nas na Syberię. Na szczęście były ciepłe noce, drzwi wagonów nie były zadrutowane. Ruszył pociąg, cały jego skład załadowany Polakami. Wracamy! Do Polski! Kierunek: Wołogda – Moskwa – Jarosław – Odessa. Z Odessy przywieźli nas do Sielec nad Okę, do zgrupowania Wojska Polskiego. [...] Stamtąd wywiezieni zostaliśmy do miasta Sumy, gdzie podzielono nas na grupy. Kilka wagonów skierowano do Rejonu Achtyrka, w szumskiej obłści – zamieszkaliśmy w Czupachołce, gdzie przywiezionych zostało 15 rodzin do sowchozu. Tam pracowaliśmy na polach buraczanych.[...] Z Achtyrki–Czupachołka został przygotowany transport ..., a każdym dniem byliśmy coraz bliżej naszego kraju – Polski. Nareszcie jedziemy, mijamy Chełm Lubelski, Lublin (tu staliśmy trzy doby), Łódź i dalej kierunek na ziemie zachodnie. [...] W maju 1946 r. po tułaczce i okrutnych przeżyciach wysiedliśmy wszyscy, których los oszczędził, którzy przeżyli 6 lat katorżniczej tułaczki...Za nami zostały groby najbliższych. W łagrze 54 mój dziadek Aleksy i babcia Jana. Zmarł też mój brat Arkadiusz i moja małeńka siostra Marysia... W drodze powrotnej, wracając do Polski zmarła w pociągu moja mama Anastazja.” Kończącą część wspomnień wypełnia opis trudu w znalezieniu miejsca do ułożenia życia, dopiero we wsi Lublicz, w gospodarstwie które opuściło wojsko, a organizowano PGR, rodzina znalazła warunki do życia. Autor zaś wykształcił się i trafił do Wojnicza. „Z tym miasteczkiem związałem swoje losy na zawsze”, zakończył swoją opowieść.

Kolejny tekst to *Ocalone wspomnienia*, bowiem opowieść Stanisławy Duszyńskiej (1913-1996), spisała w 1993 r. bratanica Emilia Michalik i podała do druku, s. 61-62. W Butyniu k. Wiśniowca na Wołyniu, Aleksander Duszyński w 1926 r. założył gospodarstwo jako osadnik wojskowy. 10 lutego 1940 r. deportacja rodziny, w której trójka dzieci, 11, 2 i niecały rok, dzieliła los zesłania i podróży za Ural, do osady Nikolinsk w rejonie Dubrownoje. „Ulokowano nas w barakach w lesie, gdzie pracowaliśmy przy wyrębie drzew. Dzieci do lat trzech były w żłobku, a większe pozostawione same w barakach. Mężczyźni pracowali przy wyrębie lasu. Kobiety i starsze dzieci przy obróbce i segregowaniu drewna. Praca to była bardzo ciężka.” Po tzw. amnestii kiedy mężczyźni zgłosili się do Wojska Polskiego, władze Łagru wydal�y pozostałe kobiety z dziećmi, tak że opowiadająca przedostała się z dziećmi do Kujbyszewa i znalazła opiekę Ambasady Rzeczypospolitej. Tu zmarł synek, zaś córki by je uratować, przekazała pod opiekę Czerwonego Krzyża. Zostały wyewakuowane do Persji, a następnie przez Indie trafiły do Wielkiej Brytanii. Mąż ciężko ranny pod Tobrukiem, stracił wzrok, został wyewakuowany do Wielkiej Brytanii i odnalazł córki. Młodszą wzięła rodzina ze Stanów Zjednoczonych, a starsza pod-

jęła naukę. Autorka w 1946 r. powróciła do kraju i zamieszkała u brata w Wojniczu. Utrzymywała kontakt z córkami, które pozostały na Obczyźnie.

W dalszej części „Zeszytu...”, s. 63-69 zamieszczono sześć listów Zachariasza Findera, który mieszkał w Wojniczu przy ul. Jagiellońskiej, a po wybuchu wojny znalazł się we Lwowie. Listem z 22 lutego 1955 r. zwrócił się do Zarządu Miasta Wojnicza w poszukiwaniu pozostałej rodziny. Nawiązał korespondencję z Tadeuszem Markiem (1902-1978) i za jego pośrednictwem odnalazł siostrę, która jedyna ocalała z całej rodziny. Zachariasz Finder przebywał w łągrze jeszcze w 1946 r., a korespondencję nawiązał z Krasnojarskiego Kraju ze wsi Tessewo. W 1956 r. powrócił z rodziną do Polski, zamieszkał w Nowej Hucie i stąd nawiązał osobiste kontakty z T. Markiem. Potem wyjechał do Izraela i już nie utrzymywał korespondencji. Dokumentalnym dopełnieniem tego wojnickiego zesłańca, jest reprodukcja koperty z pierwszego listu.

Na s. 70 zamieszczono biogram por. rez. art. inż. Antoniego Bronisława Ożerskiego (1909-1940) pióra W. Bartosza. Zmobilizowany do służby w Ośrodku Zapasowym Artylerii nr 5, wywakuowany do Lwowa, został ogarnięty przez Armię Czerwoną i trafił do obozu w Starobielsku. Figuruje na liście ofiar z tego obozu po nr 2541. Na cmentarzu w Wojniczu na grobie ojca, umieszczono imienną, pamiątkową inskrypcję.

Stanisława Wiatr-Partyka i Elżbieta Stępska w 1992 r. nagrały wspomnienia Wiktorii Izak (ur. 1898) i podały do druku, s. 71-76, która mimo sędziwego wieku z dużą wiernością relacjonowała o losach swojej rodziny deportowanej z Sobutki Polnej na Podolu 10 lutego 1940 r. w okolicy Tobolska, do posesji Uwat. W relacji powtarza się skądinąd znany opis pracy, „...drzewa trzeba było walić, piłować i później oczyścić z gałęzi i te sęki spalić i porzącić na kawałki, tak jak wyznaczył brygadzysta. I to dziewczyny, studentki robiły. Piła i topór i jazda w las, innej roboty tam nie było. [...] Z naszej kolonii było 60 rodzin wywiezionych, to 8 wróciło po wojnie. W Sybirze poginęli.” W 1946 r. po niemal roku pracy w kolchozie na Ukrainie, powróciła z rodziną do Wielkiej Wsi koło Wojnicza.

Sylwetka Antoniego Wesołowskiego (1885-1958) opisana przez wnuka Stanisława Setlika, s. 77-78, jest przywołaniem na pamięć zesłania jeńca z armii austro-węgierskiej w 1915 r. do okolic Tomska, gdzie przez siedem lat pracował jako cieśla na budowach domów i baraków. Powrócił do rodzinnego Wojnicza w 1923 r. po przeżyciach rewolucji bolszewickiej i wojny domowej.

Podobny charakter ma opracowanie Pawła Wojtasa pt. *Józef Cieśla polski oficer z Olszyn zamordowany w Katyniu*, s. 79-83 z fot. symbolicznej mogiły por. J. Cieśli w rodzinnych Olszynach. Dopiero w 1995 r. rodzina zdołała ustalić jego jenieckie losy, bowiem w wykazie nr 35 tzw. listy transportowej z 3 kwietnia 1940 r., figuruje por. Józef Cieśla ur. 4 marca 1899 r. s. Wojciecha. Dopełnia tej informacji lista PSK poz. 5759 Delegatury w Szwajcarii.

Maria Pauksto swoje *Wspomnienia z Syberii*, s. 84-87 rozpoczyna datą 13 kwietnia 1940 r. i deportacja z Kozłowa opodal Lwowa do Kustanaju w Kazachstanie, a stąd do kolchozu, którego nazwy nie zapamiętała. Ale pamięta, że „Ludzie się nas bali, ponieważ propaganda mówiła im, że z Polski przyjadą burżuje-wyzyskiwacze i wrogowie narodu. Na szczęście mój dziadek znał język rosyjski i mógł ich przekonać, jak wielkie nieszczęście nas spotkało. Jedna z Ro-



sjanek długo się nie zastanawiała, przyjęła nas do siebie i powiedziała, że jej mąż i dwóch synów też w podobny sposób znalazło się w łagrach. Dała nam dzieciom ciepłego mleka – ona miała naprawdę dobre serce.” Dalej opisuje pracę matki w kołchozie i zajęcia dzieci, zbieranie w stepie dzikich wiśni, poziomek, grzybów, dzikiego czosnku, szczawiu, słodkich korzeni „jakichś krzewów”... i głód, „...zachorowaliśmy na tyfus [...] Rosjanki, które nie zachorowały, gotowały nam jakieś zioła i dawały do picia. Przynosiły nam wodę, a czasem ugotowały nam zupę. Pomału wracaliśmy do zdrowia. Zostaliśmy w trójkę – dwie osoby nas opuściły. Bardzo się bałam, żeby mama nie umarła, bo co my, małe dzieci zrobimy, jak będziemy żyć?” W końcowej części relacji, podaje o powrocie, „Granicę przekroczyliśmy pod koniec maja [1946 r. M.W.] w Brześciu. Kiedy wjechaliśmy do Polski, zajął się nami Polski Urząd Repatriacyjny i PCK. Przyniesiono nam do wagonów jedzenie i starano się nam pomóc w odszukaniu rodziny lub znajomych, gdzie można byłoby się zatrzymać. Po kilku dniach odnaleźliśmy rodzinę w Więckowicach. Daliśmy znać gdzie jesteśmy i przyjechał po nas mój wujek Józef Dziuba, który nami się zaopiekował. Zatrudnił mamę w gospodarstwie szkolnym, a mnie i siostrę zapisał do Szkoły Podstawowej w Wojniczcu.[...] Na Syberii byłam 6 lat”, kończy swoją relację. „Nie jestem z tego zadowolona co napisałam, bo niektóre zdania są takie sztukowane. Miałam zamiar poprawić, ale nie byłam w stanie – bardzo to wszystko przeżywam i dlatego nie mogłam się skupić na budowaniu zdań – płakałam...”

*O moim ojcu, więźniu Ostaszkowa*, pisze Joanna Sperka z Biadolin Radłowskich, s.88-89 i relację uzupełnia fotografią ojca i funkcjonariuszy policji państwowej z żonami w Stubnie koło Medyki. Jedyna wiadomość przyszła z Ostaszkowa, że jest zdrowy i niech żona zabiera czwórkę dzieci i jak najszybciej wyjeżdża do rodziny w Skarżysku Kamiennej lub w Biadolinach. Niestety, granica na Sanie była już nie do przebycia. „Dzięki ostrzeżeniu jakie dostała od miejscowego sołtysa (Ukraińca) o tym, że będą zabierać Polaków uciekła z domu i nieraz długo się ukrywała. [...] Wreszcie w 1942 roku udało nam się wrócić do Biadolin.” Wspominając ojca, że miał 35 lat, dodaje w końcu, „Co ja mogłam dla niego zrobić ? Kazałam napisać jego nazwisko i miejsce śmierci na naszym rodzinnym grobowcu w Biadolinach”.

Jak na wstępie wspomnieliśmy, różne to teksty, ale mają przynajmniej kilka wspólnych cech: szczerłość wypowiedzi, daleko posunięty obiektywizm w opisie faktów, niejednokrotną ścisłość dokumentalną relacji, a zarazem prawdomówność autorów – świadków, co czyni ten zbiór bardzo prawomocnym świadectwem polskiego, wojennego losu na Wschodzie.

Szczególną niemal część *Zeszytu*, choć rozłożoną na 8 stronicach, jako przerywnik narracji, stanowią wiersze Stanisławy Wiatr-Partyka, ze zbiorku poezji zesłańczej wydanego w 1992 r. pt. *Piołun z kropelką rosy*. W notce biograficznej na s. 89 pisze: „Rosłam w stepie w północnym Kazachstanie i tam zaczęłam pisać wiersze. Podobały się mojej najukochańszej nauczycielce pani Hani Igielskiej, która śpiewała mi Hejnał mariacki i uczyła Polski. Mówiła mi, „Rośnij i pisz o nas, wrócimy i wszyscy będą chcieli wiedzieć. [...] A daty? Wolę nie pamiętać. Jest jedna data, której w moim życiu ominąć nie sposób: 13 kwietnia 1940 r., w Ostaszkowie został podpisany wyrok na mojego Ojca. W tym samym dniu wyruszył transport wiozący moją Matkę i mnie na Sybir.”

Końcowa opinia o zawartości tej publikacji może być tylko jedna – jest to pożyteczna i o nieprzemijającej wartości świadectwa dokumentacja całej rozmaitości faktów z polskiej martyrologii na Wschodzie w latach II wojny światowej.

*Mieczysław Wieliczko*

- ***Wspomnienia sybiraków. Zbiór tekstów źródłowych*, pod red. Jerzego Kobrynia, Bystrzyca Kłodzka: Koło Związku Sybiraków w Bystrzycy Kłodzkiej 2008, ss. 733 (ISBN 978-83-926622-0-4).**

Dwudziesta rocznica działalności odrodzonego Związku Sybiraków jest dla jego terenowych oddziałów impulsem do wzmożonych działań na polu upamiętniania losów tej grupy Polaków. Pojawiają się nowe tablice pamiątkowe, odsłaniane są pomniki, wydawane są również książki. Pośród nich znaczną objętością i starannością wydawniczą wyróżnia się tom *Wspomnienia sybiraków*. Wydało je w 2008 r. Koło Związku Sybiraków w Bystrzycy Kłodzkiej (woj. dolnośląskie). Organizacja ta od początku istnienia oprócz działalności bieżącej duży nacisk kładła – zgodnie z sugestiami Komisji Historycznej przy ZG Związku Sybiraków – na pozyskiwanie świadectw i umieszczanie ich w placówkach specjalizujących się w tej tematyce. Wielką w tym zasługą prezesa Koła, Jerzego Kobrynia, zasłużonego nauczyciela i znanego działacza społecznego. Koło pomagało również w zbieraniu materiałów do prac naukowych, np. magisterskich. Podsumowaniem wysiłków organizacji na tym polu jest przedstawiana tu książka zawierająca ponad 60 wspomnień.

Materiały te powstawały w różny sposób. Część z nich spisali sami autorzy. Niektóre powstały jeszcze przed 1989 r. Wyjątkowe pod tym względem są wspomnienia Bronisława Hassa, spisane już w 1946 r. Pozostałe teksty powstały na podstawie wywiadów przeprowadzonych i utrwalonych na piśmie przez Jerzego Kobrynia. Teksty mają różną objętość od kilku do około dwudziestu stron. Uporządkowano je alfabetycznie według nazwisk autorów. Chronologicznie zawierają się one najczęściej między wybuchem drugiej wojny światowej a repatriacją (tj. 1946 r. lub sporadycznie połową lat 50. XX w.). Na ogół autorzy wspomnień w czasie opisywanych wydarzeń byli starszymi dziećmi lub młodzieżą. Mamy tu jednak także teksty autorstwa osób dorosłych w czasie wojny (np. rodzina Regulińskich). Teksty mają charakterystyczną dla wspomnień formę narracyjną, choć zdarzają się także zapisy wywiadów. Redakcja tekstów ograniczyła się do niezbędnych poprawek językowych, dzięki czemu zachował się autentyczny ton emocjonalny i język. Książkę zaopatrzone, co może mieć wielkie znaczenie dla odbiorcy nie przygotowanego do korzystania z tego typu literatury, w słowniczek skrótów i wyrazów rosyjskich używanych przez autorów przy opisie zwłaszcza życia codziennego na zesłaniu. W książce zamieszczono 160 czarno-białych fotografii, skanów dokumentów osobistych (choć na ogół niewielkiej wielkości są stosunkowo czytelne), szkiców sytuacyjnych itp. Pośród zdjęć dominują fotografie z zesłania: wykonywane do dokumentów, rodzinne i grupowe, robione w czasie pogrzebów. Jest także nieco zdjęć ze służby wojskowej i okresu powojennego.

Wspomnienia poprzedza czterostronicowy wstęp redaktora tomu. Jego zadaniem obok przybliżenia genezy wydawnictwa jest naświetlenie głównych etapów losów Polaków na Kresach Wschodnich i w głębi ZSRR. Same wspomnienia tworzą panoramę losów polskich zesłańców w głębi ZSRR. Znajdujemy tu mnóstwo szczegółów życia codziennego, warunków pracy, wyżywienia i zamieszkania. Wielu autorów nie skupia się tylko na odtwarzaniu losu własnego, ale i dostrzega świat zewnętrzny, opisuje szersze relacje ze społeczeństwem radzieckim, przyrodę. Niektóre wspomnienia zajmują się również okresem powrotu do kraju, kreśląc starania sybiraków, należących do najuboższych warstw polskich osadników na ziemiach zachodnich i północnych, aby odbudować minimalne choć podstawy egzystencji rodzin w nowych warunkach.

Książka *Wspomnienia sybiraków* wzbogaca istniejącą bazę źródłową na temat deportacji radzieckich i życia na zesłaniu obywateli polskich w latach drugiej wojny światowej. Jest wspaniałym materiałem do wykorzystania na lekcjach historii. Dla innych kół Związku może być zachętą do pójścia drogą utrwalania ludzkich historii. Nic tak bowiem nie przemawia do następnych pokoleń jak autentyczny głos świadka historii, jak dzieje rodziny, z którą może się utożsamiać przeciętny czytelnik. Najpiękniejszy pomnik nie da takiej szansy emocjonalnego kontaktu z historią, jak właśnie lektura wspomnień.

Małgorzata Ruchniewicz

- **Agnieszka i Michał Domagała, *Syberia z okna misjonarza*, Ustroń 2008, s. 192.**

Syberia kojarzy się Polakom z katorgą, na którą patriotów zsyłały rosyjskie władze. Chyba tylko nieliczni pamiętają, że Polacy na Syberii prowadzili też badania naukowe i w ogóle przyczyniali się do ucywilizowania tego kraju, choćby jako przedsiębiorcy i administratorzy. Ale przebywali na Syberii także ludzie wiary. Na przykład księża w czasach radzieckich pracujący potajemnie wśród zesłanej tu ludności. Obecnie z Polski wyjeżdżają w tamte strony także ludzie wiary.

Agnieszka i Michał Domagała, wrocławianka i elczanin, to współczesne małżeństwo misjonarzy, które dziesięć lat spędziło prowadząc działalność ewangelizacyjną w Rosji, a głównie na Syberii. Swoje przeżycia utrwalił w książce pod tytułem *Syberia z okien misjonarza*, która urzeka szczerością i humorem, a przede wszystkim mądrością, do której dochodzi się przez wiarę realizującą się w konkretnych doświadczeniach.

Obydwoje poczuli się powołani do pracy misyjnej jako młodzi ludzie. Agnieszka usłyszała raz w kościele znane jej już słowa i stwierdziła, że są skierowane do niej osobiście: „I przepaszę cię i poprowadzę, dokąd nie zechcesz pójść” (J 21,18). To właśnie Rosja, a zwłaszcza Syberia, do której wielu Polaków żywi wciąż awersję, okazała się miejscem, do którego – początkowo – nie chciała pójść. Również Michał przeżył moment powołania do służby misjonarskiej, czytając książkę Elizabeth Elliot *W cieniu Wszechmogącego*, będącą historią pięciu misjonarzy zabitych przez Indian Waorani. Wówczas poszedł do

swego pastora, by zawiadomić go o swojej decyzji zostania misjonarzem. Ten zapytał: „A gdzie chcesz być misjonarzem – w Olecku czy Orzyszu?”. Michał odpowiedział: „Na Syberii”.

Agnieszka i Michał poznali się w trakcie studiów przygotowujących do pracy misjonarskiej. W końcu lat dziewięćdziesiątych XX wieku, już jako małżonkowie, zaczęli wyjeżdżać w celach misyjnych do Rosji. Na początku następnego stulecia wyjechali do Chakasji, gdzie przebywali przez lat sześć, biorąc udział w pracach nad tłumaczeniem Nowego Testamentu na język chakaski.

Chakasja to kraina usytuowana w centrum południowej części Syberii. Chakasowie, których liczebność wynosi około 70 tysięcy, stanowią zaledwie 12% mieszkańców Chakasji. Reszta to Rosjanie, ewentualnie nieliczne grupy innej narodowości, wśród których są też potomkowie polskich zesłańców. Chakasowie, jeśli nie są ateistami, to znajdują się w połowie drogi między swoją rodzimą religią a prawosławiem, narzuconym im przez władze carskie. Nieliczni, poważnie traktujący chrześcijaństwo, wiążą wielkie nadzieje z Nowym Testamentem po chakasku.

Książka Domagałów nie jest jednak monografią niewielkiego syberyjskiego ludu, żyjącego w warunkach postsowieckich. Jest to raczej opis doświadczenia pary Polaków, która musiała w najdrobniejszych szczegółach poznać jego kulturę. Było to konieczne, aby z małutkimi dziećmi przeżyć w Chakasji, gdyż tylko tam – w konfrontacji z przyszłymi czytelnikami – mogły być prowadzone prace translatorskie nad Nowym Testamentem. Agnieszka i Michał potrafili niezwykle interesująco opisać swoje zmagania z kulturą całkiem przecież dla nich obcą. Nie wystarczyło w tym celu ukazywanie kontrastów między kulturą polską a tą zastaną na południowych kresach azjatyckiej części Rosji. Przede wszystkim było potrzebne pełne miłości nastawienie wobec chakaskich sąsiadów, kierowców spotykanych w tanich motelach czy rosyjskich milicjantów.

Dzięki książce Agnieszki i Michała Syberia przestaje być tylko niegdysiejszym miejscem zesłania. Okazuje się, że Polacy mogą być wciąż potrzebni jej mieszkańcom. Potrzebni, by głosić Dobrą Nowinę.

*Grzegorz Pelczyński*

